

PATRICK DEWITT

**POD
MAJOR
DOMUS
MINOR**



Podmajordomus Minor

Patrick deWitt

Podmajordomus Minor

Przełożył i posłowiem opatrzył Krzysztof Majer



Wołowiec 2016

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Tytuł oryginału angielskiego *Undermajordomo Minor*

Projekt okładki Dan Stiles

Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl

Fotografia Autora © by Danny Palmerlee

Copyright © by Patrick deWitt, 2015

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarne, 2016

Copyright © for the Polish translation by Krzysztof Majer, 2016

Copyright © for the *Zbrodnie miłości, niedole ironii. O trzeciej powieści Patricka deWitta* by Krzysztof Majer, 2016

Redakcja Tomasz Zając

Korekta Agnieszka Rymarowicz / d2d.pl, Alicja Listwan / d2d.pl

Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl

Skład Małgorzata Poździk / d2d.pl

We acknowledge the support of the Canada Council for the Arts for this translation.



Canada Council
for the Arts

Conseil des arts
du Canada

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8049-288-2

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Motto

I LUCY ŁGARZ

Eirik i Alexander

II PAN OLDERGLOUGH

III KLARA KUSICIELKA

IV ZAMEK VON AUX

V WKRACZA ADOLFUS

VI MIŁOŚĆ LUCY'EGO I KLARY

O tym, jak Dziwny Nieznajomy ze Wschodnich Stron, Bezbożnik i Deprawator, Klarę zbałamucił

VII O TYM, JAK WYTROPIONO, POJMANO I PONOWNIE UCYWILIZOWANO BARONA

VIII BARONOWA VON AUX

Jak Memel dziatwę nauczał

Bardzo Wielka Dziura

IX HRABIA I HRABINA, KSIĄŻĘ I KSIĘŻNA

Kuriozalne i Straszliwe Zajścia w Sali Balowej

X CHŁOPIEC W SMĘTNYM HUMORZE

Jak doszło do tego, że Memel zamordował swego serdecznego przyjaciela Tomasa

XI PAN BROOM I KARCIARZ TOMAS

Sposób na wydostanie się, czy też ucieczkę z Bardzo Wielkiej Dziury

XII LUCY OSWOBODZONY

Podziękowania

Krzysztof Majer Zbrodnie miłości, niedole ironii O trzeciej powieści Patricka deWitta
Kolofon

Dla Gustavo

To bardzo boli, gdy trzeba się rozstać z udręką. A cały świat jest taki bezdźwięczny.

Robert Walser, *Podróż balonem*, przeł. M. Łukasiewicz

I

LUCY ŁGARZ

GDY MATCE LUCIENA MINORA przyszło rozstać się z synem, nie uroniła ani jednej łzy; była wręcz daleka od płaczu. On zaś cały dzień chodził ze ściśniętym gardłem, wykonując tylko ostrożne, stonowane ruchy, jak gdyby każdy gwałtowniejszy gest groził przerwaniem tamy. Zjedli razem śniadanie, a potem obiad, lecz żadne nie odezwało się słowem. Teraz zbliżała się pora wyjazdu, ale Lucy nie potrafił zwlec się z łóżka; leżał tam w pełnym rynsztunku, to jest w płaszczu i buciorach, tudzież z nasuniętą głęboko na uszy baranicą. Miał siedemnaście wiosen i w pokoju tym przemieszkał całe swoje życie; wszystko w zasięgu dłoni i wzroku przesiąknięte było wspomnieniami dość osobliwego dzieciństwa. Gdy z kuchni na parterze dobiegł go głos matki zadającej sobie jakieś nieodgadnione pytania, Lucy z trudem oparł się potężnej fali smutku. Na podłodze przy łóżku czuwał spakowany kuferek.

Dźwignąwszy się z materaca, stanął wyprostowany i trzykrotnie tupnął nogą: *tup, tup, tup!* Chwycił obrotową, skórzaną rączkę kufereka i ruszył schodami na dół. Po chwili był już na zewnątrz i z pierwszych stopni wiodących do ich skromnego domostwa zawołał matkę. Stała niezgrabnie w progu, mrużąc oczy i strzepując z dłoni mączny pył.

– Już czas? – spytała, a kiedy skinął głową, rzuciła: – Podejdźże tutaj.

Wspiął się ku niej po pięciu trzeszczących schodkach. Matka pocałowała go w policzek, a następnie powiodła wzrokiem po łące, ku górcom okalającym ciasno wioskę i dalej, aż po wał ciemnych, skłębionych chmur. Gdy jej spojrzenie znów spoczęło na nim, było całkowicie pozbawione wyrazu.

– Powodzenia, Lucy. Oby ten baron nie zawiódł się na tobie. Napiszesz, czy ci się poszczęściło?

– Tak zrobię.

– Dobrze. Bywaj więc.

Wbiwszy wzrok w ziemię, matka na powrót zniknęła w chacie i zatrzasnęła za sobą jasnobłękitne drzwi. Pamiętnego dnia przed dziesięcioma laty pomalował je na ten kolor ojciec. Lucy siedział wówczas w cieniu zmizerniałej wiśni, obserwując zagadkową krzątanicę mrowiska; ojciec zawołał go i wskazał przed siebie pędzlem, którego włosie zbiło się w coś na kształt rogu: „Drzwi w smętnym kolorze dla chłopca w smętnym humorze”. Na wspomnienie nałożył się dobiegający z chałupy głos matki, która podśpiewywała właśnie jakąś wdzięczną melodię. Lucy pogrążył się w odmętach melancholii. Zdawał sobie sprawę z absurdalności tego uczucia; w istocie z rodzicami nigdy nie łączyła go szczególna więź. Ścisłej mówiąc, rodzice nigdy nie dbali o niego tak, jak by sobie tego życzył, toteż głębsza relacja między całą trójką zupełnie nie wchodziła w rachubę. Ubolewał więc nad faktem, iż (jak właśnie zauważył) nie ma doprawdy nad czym ubolewać.

Postanowił, że zmitręży nieco czasu, co było jego ulubioną rozrywką. Rozsiadłszy się na odwróconym kufierku i skrzyżowawszy nogi, jak było w modzie, dobył z kieszeni płaszcza nowiutką fajkę. Obchodził się z nią bardzo ostrożnie, niczym z kurczęciem. W fajkę zaopatrzył się zaledwie uprzedniego dnia; nie mając przeto w materii tej jakiegokolwiek doświadczenia, począł pieczołowicie nabijać ją tytoniem o czekoladowokasztanowym aromacie. Przyłożył zapałkę i jął pykać. Po chwili jego głowę spowijały kłęby wonnego dymu i ów nowy wizerunek wydał mu się bardzo intrygujący; że też nikt akurat nie patrzył i nie mógł poczynić na temat Lucy’ego odnośnej uwagi! Choć ów był wątłej postury, a jego bladą cerę od chorowitej dzielił zaledwie jeden odcień, to jednak nie można mu było odmówić pewnego wdzięku: usta miał pełne, rzęsy czarne i długie, a oczy duże i błękitne. W głębi duszy przypisywał sobie urodę z gatunku nieszablonowych, acz niewątpliwych.

Przyjął postawę człowieka pogrążonego bez reszty w refleksji, choć po prawdzie jego umysł był akurat zupełnie beczynny. Trzymając główkę fajki w zagłębieniu dłoni, obrócił ją ustnikiem na zewnątrz i umieścił między środkowym a serdecznym palcem. Jął następnie wskazywać ustnikiem tu i ówdzie – tak bowiem czynili palacze, których widywał

w gospodzie, gdy objaśniali komuś drogę lub gdy wspomniane przez nich zdarzenie wiązało się z jakimś konkretnym miejscem. Lucy'emu w fajce podobało się przede wszystkim to, że dla jej amatora stawała się przedłużeniem ciała, w pełni sprawnym przydatkiem. Nie mógł się już doczekać momentu, kiedy będzie mógł publicznie użyć jej w ten właśnie sposób; potrzebował tylko widowni, której mógłby coś wskazać, oraz czegoś, co mogłoby stać się owego wskazania przedmiotem. Raz jeszcze się zaciągnął, ale że był do tego nienawykły, zaraz uczuł zawrót głowy i gęsią skórkę; postukał więc fajką o dłoń i kudłaty kłęb klapnął o ziemię niczym zwęglona mysz. Lucy przyglądał się niewyraźnym kosmykom dymu sączącym się z tytoniowych strzępów.

Podnosząc wzrok ku domostwu, Lucy począł w myślach sporządzać katalog rzeczy, które mu się tam przydarzyły. Żywot jego był w dużej mierze samotniczy, choć nieobarczony jakimś szczególnym nieszczęściem. Pół roku temu jednak Lucy zapadł na zapalenie płuc i niemal wyzionął ducha we własnym łóżku; przed oczami miał teraz dobrotliwą facjatę wiejskiego kleryka, księdza Raymonda, który już udzielał ostatniego namaszczenia. Tego dnia ojciec Lucy'ego, zajadły bezbożnik, wróciwszy z pracy w polu i zastawszy w swym domu klechę, wyprowadził księdza za ramię, załatwiając całą sprawę rzeczowo, tak jak wyprasza się kota z izby. Ksiądz Raymond był takim traktowaniem zdumiony; raz po raz spozierał na obcą dłoń ściskającą jego ramię i oczom nie wierzył.

– Przecież syn panu umiera – powiedział (Lucy słyszał to wyraźnie).

– A tobie co do tego? Mniemam, że znasz drogę i dalej już poradzisz sobie sam. Aha, bądź tak dobry i zamknij za sobą drzwi.

Lucy wsłuchiwał się w kroki księdza Raymonda. Brzmiały niepewnie, jak gdyby kleryk powłóczył nogami. Kiedy zasuwka szczęknęła w zamku, ojciec krzyknął:

– Kto tu wpuścił tego człowieka?

– Pomyślałam, że nie zaszkodzi! – odkrzyknęła gdzieś z głębi domu matka.

– Ale kto go wezwał?

– Nie mam pojęcia, kochany. Po prostu się zjawił.

– Wyczuł padlinę, sęp jeden – odparł ojciec i buchnął śmiechem.

Tej nocy, leżąc samotnie w swym pokoju, Lucy na własnej skórze doświadczył przedśmiertnej aury. Niczym ktoś, kto w drgawkach wybudza się ze snu, by za chwilę znów się w nim pogрузić, czuł, że jego dusza prześlizguje się między jednym światem a drugim. Choć stan ów przyprawiał go o trwogę, było w nim też coś miłego, przyjemnie łechcącego. Gdy zegar na wieży wybił drugą, do pokoju wkroczył nieznajomy mężczyzna. Odziany był w bezkształtny wór z materiału przypominającego jutę i miał przyszyzoną, zadbaną bródkę w kolorze brązu wpadającego w czern; na wysokości skroni przez przydługie włosy biegł przedziałek, jak gdyby ułożono je przed chwilą za pomocą grzebienia i wody; bosc nogi przyozdabiał aż po łydki skawalony, prehistoryczny brud. Osobnik ów przedreptał obok łóżka Lucy’ego, by usadowić się w bujanym fotelu stojącym w kącie. Lucy śledził jego ruchy przez wąziutkie szparki sklejonyc powiek. Obecność nieznajomego nie napawała go szczególnym strachem, ale trudno by ją też było nazwać kojącą.

Po jakimś czasie mężczyzna przemówił.

– Dzień dobry, Lucienie.

– Dzień dobry panu – wychrypiał Lucy.

– Co u ciebie?

– Umieram.

Mężczyzna uniósł palec.

– W tej materii akurat nie masz wiele do powiedzenia. – Następnie umilkł i bujał się przez chwilę w fotelu, a czynił to z ewidentnym upodobaniem, niczym ktoś, kto właśnie tę czynność odkrył i znajduje w niej ulgę. Zaraz potem jednak przestał, jak gdyby jego spokój zmaciała jakaś myśl albo wspomnienie. Spochmurniawszy, spytał: – Lucy, czego ty byś chciał od życia?

– Nie umrzeć.

– Ale oprócz tego? Gdyby dane ci było przeżyć, czego byś się spodziewał po swojej przyszłości?

Zgnuśniałe myśli Lucy’ego nie umiały poradzić sobie z uciążliwą łamigłówką tak postawionego pytania. Mimo to odpowiedź zjawiała się

sama, wypływając z ust Lucy'ego, jak gdyby nie miał żadnej kontroli nad uczuciem, które ją zrodziło.

– Że coś się wydarzy – odparł.

Mężczyzna w jutowym worze wyraźnie się zaciekawił.

– A więc nie jesteś zadowolony?

– Jestem znudzony. – Gdy tylko Lucy wypowiedział te słowa, uronił pierwsze łzy, wyznanie to bowiem zdało mu się doprawdy żalosne i wstydził się teraz za siebie i za swój nędzny żywot. Był jednak za słaby na to, by się porządnie rozpłakać, więc gdy łzy obeschły, jął wpatrywać się w płomień świecy i w rozdygotane cienie, które co rusz rozbryzgiwały się o bladą szczelinę między ścianą a sufitem. Jego dusza już się miała oswobodzić, kiedy mężczyzna przeszedł przez pokój, ukląkł przy łóżku, usta przyłożył do ucha Lucy'ego i jął wciągać powietrze. Lucy czuł, jak z ciała uchodzi gorączka razem z wszelkimi niewygodami. Nieznajomy, wstrzymując oddech, wyszedł z pokoju i ruszył korytarzem w stronę sypialni rodziców Lucy'ego. Chwilę później ojciec zaczął straszliwie kasłać.

O świcie policzki Lucy'ego znów się zaróżowiły, twarz ojca zaś pobladła i oczy nabiegły mu krwią tam, gdzie z powiek wyrastają rzęsy. Z nadejściem zmierzchu ojciec był już przykuty do łóżka, podczas gdy Lucy stawiał w swym pokoju pierwsze ostrożne kroki. Nazajutrz, gdy słońce wzeszło, Lucy czuł się wyśmienicie, jedynie stawy i mięśnie miał lekko obolałe; ojciec zaś leżał w swym łożu martwy, z twarzą wykrzywioną krwawym grymasem i dłońmi zeszywniałymi w szpony. Jeden z grabarzy, którzy przybyli po ciało, potknął się przy znoszeniu trupa ze schodów i tak wyrznął głową ojca o kant stopnia, że w czole zrobił się trójkątny wykrot. Mimo to rana nie krwawiła, którego to kuriozum grabarze nie omieszkali gruntownie przedyskutować. Udawszy się śladem tego tercetu, Lucy wyszedł za próg domostwa i patrzył, jak jego skostniałego ojca ładują na brudny wóz. Po chwili pojazd ruszył z miejsca, a trup bujał się raz w tę, raz we w tę, jak gdyby z własnej inicjatywy. Przenikliwy wiatr wdarł się Lucy'emu pod koszulę nocną, a mróz od ziemi dyszał mu chłodem po kostkach. Lucy, podrygując na palcach stóp, czekał, aż przepełni go uczucie

skruchy albo czci, ale na darmo. Nie zjawilo się ani wówczas, ani nigdy później.

W ciągu kolejnych paru miesięcy stało się jasne, że matka ma o Lucym coraz gorsze mniemanie. W końcu przyznała, że choć jego winy nie da się udowodnić, to uważa go za częściowo odpowiedzialnego za śmierć ojca, ponieważ chorobę swą przeniósł mimowolnie na zupełnie zdrowego człowieka, sprawiając tym samym, że ów odszedł przed czasem. Lucy pragnął opowiedzieć matce o mężczyźnie odzianym w jutowy wór, lecz miał niejasne przeczucie, że o zajściu tym nie powinien mówić nikomu, a już na pewno nie jej. Okazało się ono jednak ciężkim brzemieniem; nocami Lucy podrywał się z łóżka przy każdym skrzypnięciu starej podłogi. Gdy już zupełnie sobie nie radził, udał się po pomoc do księdza Raymonda.

LUCY NIE MIAŁ wyrobionej opinii na temat Kościoła. „Pawła od Szawła bym nie odróżnił” – zwykł mawiać, a było to zaledwie jedno z wielu dowcipnych powiedzonek, które sam wymyślił i które w jego mniemaniu godne były zacniejszej publiczności niż te kobiety o tłustych ramionach, sterczące na placu pod fontanną. Lecz w księdzu Raymondzie było coś, co Lucy’ego ujmowało: jakaś szczerłość i najprawdziwsza empatia. Ksiądz Raymond był jednostką moralną i do głębi ludzką: Słowo Boże wypełniał co do joty, a nocami w swych samotnych pokojach czuł, że Duch Święty krąży w jego ciele niczym stadka ptaków. Widok ozdrowiałego chłopaka sprawił klerykowi wyraźną ulgę, choć po prawdzie ulżyłby mu widok jakiegokolwiek żywej duszy. W wiosce mało kto wierzył w Boga, toteż zdarzały się całe dni, gdy do drzwi księdza Raymonda nie pukał zupełnie nikt. Kleryk usadził więc prędko gościa w salonie, stawiając na stoliku tackę przedpotopowych herbatników, które kruszyły się w drobniutki piach, nim Lucy zdołał przenieść je do ust. Równie mało apetycznie prezentował się czajniczek z bladą herbatą, toteż Lucy rychło odzalaował poczęstunek i jął opowiadać o wizycie nieznanego. Potem spytał, kim mógł być ów mężczyzna, ale ksiądz Raymond miał nietęgą minę.

– A skąd ja miałbym to wiedzieć?

– Zastanawiam się, czy to przypadkiem nie był Bóg – oznajmił Lucy.

Twarz księdza zdradzała powątpiewanie.

– Bóg nie łązi nocą po ludziach, żeby sobie pożonglować choróbskiem.

– No to może Śmierć?

– Niewykluczone. – Ksiądz Raymond podrapał się po nosie. – Niewykluczone też, że był to zwykły rabuś. Na pewno nic wam z domu nie zginęło?

– Ojciec nam zginął.

- Hm – zamyślił się ksiądz. Sięgnął po herbatnika, który natychmiast obrócił się w proch. Ksiądz Raymond strzepnął okruchy z dłoni.
- Coś mi się wydaje, że ten osobnik mnie jeszcze odwiedzi – rzekł Lucy.
- Zapowiedział się?
- Nie. Ale tak jakoś czuję.
- No to się świetnie składa. Kiedy następnym razem ujrzysz tego jegomościa, koniecznie spytaj, kim jest.

Ksiądz Raymond nie zdołał zatem rozwiać obaw Lucy’ego co do mężczyzny w jutowym worze; przysłużył mu się jednak w inny, dość nieoczekiwany sposób. Gdy Lucy wyznał, że nie ma żadnych planów na przyszłość, ksiądz zadał sobie trud sporządzenia listów polecających, które następnie rozesłał do każdego zamku w promieniu stu kilometrów. Też owych listów było, iż Lucy odnalazłby się znakomicie w roli takiego bądź innego sługi. Przeszły one wszelako bez echa, z wyjątkiem jednego: odpisał mianowicie Myron Olderglough, majordomus posiadłości niejakiego barona von Aux. Majątek ów mieścił się na pełnym odludziu, pośród szczytów wschodniego pasma gór. Z listu wynikało, iż pana Olderglough ujął zwłaszcza liryczny opis młodzieńca; ksiądz Raymond w swej epistole określił go jako „dryfującą duszę, która tęskni za bezpieczną przystanią”. (Plotka głosiła, że po nocach swego pustelniczego żywota ksiądz Raymond zaczytywał się w powieściach przygodowych, co nie pozostawało ponoć bez wpływu na kształt zarówno jego snów, jak i jawy. Czy była to prawda, nie sposób dowieść; nie ulega jednakowoż wątpliwości, że ksiądz miał słabość do poetyckiej frazy). List wieńczyła propozycja zatrudnienia oraz opis warunków płacy. Posada (pan Olderglough użył tu określenia „podmajordomus”, lecz Lucy i ksiądz Raymond zgodnie stwierdzili, że słowo takie nie istnieje) była niepozorna, co znajdowało swe odbicie w wynagrodzeniu. Lucy jednak nic lepszego nie miał do roboty i nigdzie indziej mu się nie spieszyło, a myśl, iż tajemniczy mężczyzna mógłby znów złożyć mu wizytę, nie napawała go szczególną otuchą; postanowił więc rzucić się w objęcia losu i odpisał panu Olderglough, oficjalnie poświadczając przyjęcie oferty, która to decyzja pociągnęła za sobą szereg

konsekwencji, w tym: prawdziwą miłość, najdotkliwszy zawód sercowy, trwogę pobladłej duszy oraz przemożną żądzę mordu.

LUCY SPOGLĄDAŁ NA WIOSKĘ Bury, która spoczywała (czy raczej skupiła się, bo teraz przypominała mu resztki albo gruzy) w fałdzie doliny. Choć sceneria była nad wyraz malownicza, to widok ciasno stłoczonej osady wywoływał w nim poczucie przegranej i jakiś niejasny wstręt. Czy w ciągu całego życia choć przez chwilę czuł się częścią tej wspólnoty? Odpowiedź brzmiała: nie. W okolicy słynącej z nieokrzesanych olbrzymów Lucy przez sam kontrast jawił się jako okaz wybitnie pośledni. Tańczyć nie potrafił, do wypitki nie miał zdrowia, nie marzyło mu się posiadanie roli ani majątek ziemski, dorastał bez bliskich przyjaciół i żadna z miejscowych dziewcząt nawet na niego nie spojrzała, o względach już nie wspominając – z wyjątkiem Mariny, ale i ów wyjątek okazał się żałośnie krótkotrwały. Lucy zawsze czuł, że od pozostałych mieszkańców wsi dzieli go bardzo wiele; gnębiło go podejrzenie, że znajduje się zupełnie nie tam, gdzie powinien. Przyjąwszy posadę u barona von Aux, przeszedł się po okolicznych domach, by podzielić się nowiną; oczywiście życzone mu wszelkiej pomyślności, lecz życzenia te były dziwnie powściągliwe. Żywot Lucy’ego uważano bowiem za tak nijaki, że mieszkańcom wioski nie chciało się nawet wyrabiać sobie zdania na temat jego wyjazdu.

Naraz otworzyło się okno pokoju Lucy’ego i zjawiała się w nim matka; mocnym ruchem nadgarstków strzepnęła dywanik, który leżał zawsze obok łóżka. Tę eksplozję zgęstniałego kurzu podświetliło teraz słońce; chmura zawisała na moment w powietrzu, a Lucy postąpił nieco do przodu, żeby przyjrzeć się z bliska jej fantazyjnemu zstąpieniu. Gdy owe szczątki (jego własne) obsypały mu włosy i ramiona, matka zauważyła go i spytała:

- Ty wciąż tutaj? Nie spóźnisz się na pociąg?
- Jeszcze jest czas, mamo.

Zmierzyła go zdumionym spojrzeniem, a następnie zniknęła w środku, pozostawiając na oknie dywanik, który zwisał z parapetu niczym cielecy

jęzor. Lucy jeszcze przez chwilę kontemplował opustoszałe okno, po czym z największym trudem oderwał od niego wzrok i chwycił kuferek. Ścieżka wiodła wśród drzew, schodząc w głąb doliny, aż do stacji kolejowej.

Po drodze natknął się na człowieka idącego w odwrotnym kierunku. Mężczyzna ów w jednej dłoni dzierżył sfatygowaną torbę na ramię, w drugiej zaś prowizoryczną laskę. Cerę miał jak u parobka, ale ubrany był odświętnie; kiedy ujrzał Lucy'ego, przystanął i utkwiał wzrok w kuferku, jak gdyby coś go w tym przedmiocie zaniepokoiło.

– Wziął pan pokój u państwa Minorów? – spytał.

Lucy nie pojął zrazu, w czym rzecz.

– Czy wziąłem...? Nie, ja się właśnie stamtąd wyprowadzam.

Mężczyzna wyraźnie się uspokoił.

– A więc nadal mają tam pokój do wynajęcia?

Lucy przechylił głowę na bok, zupełnie jak pies, który słyszy odległy gwizd.

– Od kogo pan się o tym pokoju dowiedział?

– Od samej właścicielki. Wczoraj wieczorem przechodziłem akurat koło gospody, kiedy rozwieszała ogłoszenia.

Lucy obejrzał się w stronę chaty, choć zza drzew nie było jej już widać. Gdy zeszłego wieczoru zagadnął matkę o to, dokąd się wybiera, odparła, że musi się trochę przewietrzyć.

– Wydała mi się uczciwą niewiastą – stwierdził mężczyzna.

– Nieuczciwa nie jest – odparował Lucy, wciąż spoglądając w górę ścieżki.

– A więc pan właśnie dziś się stamtąd wyprowadził?

– Tak, dosłownie przed chwilą.

Ścisząc głos, mężczyzna rzucił porozumiewawczo:

– Ale nie dlatego, że nie odpowiadała panu kwatery?

Lucy przeniósł wzrok z powrotem na parobka.

– Nie.

– Czasem się człowiek zbyt późno zorientuje. Tak było z moją poprzednią stacją. Pod koniec skąpiono mi tam jedzenia, jakbym był niewolnikiem.

– U Minorów będzie się panu wiodło.

– Wydała mi się uczciwą niewiastą – powtórzył przybysz. – Oby tylko nie miała pretensji, że zgłaszam się za wcześnie. Doświadczenie nauczyło mnie, że z takimi sprawami lepiej nie zwlekać. – Machnął w kierunku zbocza góry. – Tędy, prawda?

– Tą ścieżką zajdzie pan pod sam dom – odrzekł Lucy.

– Dziękuję zatem, młodzieńcze, i życzę wszystkiego dobrego. – Mężczyzna skłonił się i ruszył dalej. Już miał zniknąć za zakrętem, kiedy Lucy zakrzyknął do niego:

– A może pan szanowny wspomnieć jej, że mnie spotkał po drodze? Naturalnie, wspomnieć gospodyni?

– Jeśli takie jest pańskie życzenie. – Mężczyzna przystanął. – Ale o kim mianowicie mam wspomnieć?

– Niech pan powie, że spotkał pan Lucy’ego. I nadmieni, o czym rozmawialiśmy.

Parobek najwyraźniej uznał tę prośbę za kuriozalną, ale uchylił kapelusza.

– Masz to pan jak w banku!

Gdy mężczyzna zniknął za drzewami, Lucy’ego nawiedziła nikczemna myśl; i dokładnie w chwili, kiedy osiągnęła swe apogeum, dokoła zaroilo się od podmuchów wietrzyska. Powietrzny słup za cel obrał sobie pierś i twarz Lucy’ego. Niekiedy zdarzało się bowiem, że dmący wiatr brzmiał w jego uszach jak bezdźwięczny komentarz do tego czy innego zamiaru lub postępu. Czy wiatr był z nim w zgodzie, czy nie – któż to mógł wiedzieć? Z pewnością nie Lucy; ale też nie trapił się tym zbytnio. Ruszył dalej w dół zbocza, a jego umysł był jak bęben, jak pięść, jak przepełniony żagiel: brzemienno w energię i impet.

W każdym razie Lucy już na pewno się nie nudził.

POSTANOWIWSZY ZŁOŻYĆ MARINIE pożegnalną wizytę, Lucy udał się do jej chaty, choć nie był pewien, czy ją zastanie. Na ganku nie było ani śladu gargantuicznych buciorów Tora, więc Lucy zapukał do drzwi, po czym oparł się o framugę jak ktoś, kto akurat przechodził obok. Lecz gdy Marina otworzyła drzwi, promieniała tak naturalnym pięknem, że w jego oczach musiały odbić się prawdziwe uczucia: niejednorodna mieszanina uwielbienia i goryczy. W Marinie zaś wizyta Lucy’ego najwyraźniej nie wzbudzała żadnych uczuć. Wskazując kuferek, spytała:

– Wybierasz się gdzieś?

A więc nie wiedziała nawet o jego wyjeździe!

– Tak – odparł. – Wzywają mnie na Zamek von Aux. Zapewne słyszałaś o tym miejscu?

– Nie słyszałam.

– Coś podobnego? To na wschodzie, w wysokich górach. Ponoć niezwykle malownicza okolica.

– Naprawdę nic mi to nie mówi, Lucy. – Zupełnie obojętny wzrok Mariny błędził gdzieś ponad jego ramieniem, próbując zaczepić się na czymkolwiek innym. – I co zamierzasz porabiać w tym niezwykle malowniczym i osławionym zamku?

– Mam objąć posadę podmajordomusa.

– A cóż to takiego?

– To jak majordomus. Mniej więcej.

– Coś mi się wydaje, że mniej.

– Będę pracował u jego boku.

– Chyba pod jego butem. Raczej tak to brzmi. – Rozwiązała sznurek fartucha, a potem związała go ponownie, ciasniej opinając materiał wokół filigranowej talii. – A płaca?

– Uczciwa.

– Ale jaka suma?

– Bez wątpienia uczciwa. Ponadto otrzymałem bilet pierwszej klasy, co poczytuję za miły gest. Najwyraźniej mój komfort leży pracodawcom na sercu.

W rzeczywistości z zamku posłano mu jedynie mizerną zaliczkę, która nie wystarczyła nawet na bilet klasy trzeciej; Lucy musiał zadłużyć się u matki, by pokryć resztę.

Marina spytała:

– Jak właściwie dostałeś tę posadę?

– Z pomocą przyszedł mi zacny ksiądz Raymond.

Wydymając usta w pogardliwym uśmiechu, odparła:

– Naprawdę? Ten szmatławy pajacyk? Ten pokruszony suchar? – Rozbawiło ją to do tego stopnia, że śmiała się głośno i przeciągle. Lucy nie potrafił pojąć, w jaki sposób śmiech tak radosny i uroczy może dobywać się z istoty tak chciwej i antypatycznej. Kolejną rzeczą, która przekraczała granice jego pojmowania, było to, jak może odczuwać tak przemożny pociąg do kogoś, kto (wszak widać to było gołym okiem) jest do cna zepsuty.

Powiedział:

– Możesz się z niego natrzęsać ile wlezie, ale on przynajmniej starał się mi pomóc, czego o nikim innym tu powiedzieć nie można.

Ponieważ Marinie było wszystko jedno, słowa Lucy'ego jej nie dotknęły. Spojrzała przez ramię w głąb korytarza i wyglądało na to, że szykuje się pożegnanie. Do tego jednak Lucy nie mógł jeszcze dopuścić. Obmyśliwszy strategiczny manewr, wydobył z za pazuchy fajkę i wskazał cybuchem skłębione chmurzyska u krańca doliny.

– Na deszcz się zbiera – rzucił. Lecz Marina ani myślała patrzeć na niebo; nie mogła oderwać wzroku od fajki.

– Kiedy to zacząłeś palić fajkę? – spytała.

– Dość niedawno.

– Jak niedawno?

– W sumie to całkiem niedawno.

Ze wzrokiem nieco mglistym, jakby nie całkiem przytomnym, wyszeptała aksamitnie:

– Tor pali papierosy. Zwija je jedną ręką, o tak. – Przesunęła wszystkimi palcami po kciuku, naśladowując ów grymas samozadowolenia i pewności siebie, który był dla Tora tak charakterystyczny. – A wiesz, że już wstępnie rozmawiał z Schultzem o przejęciu gospodarstwa?

Lucy nie miał o tym pojęcia. Jego umysł zalała teraz fala obelg i epitetów; Schultz był wszak właścicielem najprzedniejszej ziemi w całym Bury. Lucy zdołał jednak utrzymać język za zębami, ponieważ zależało mu na tym, by rozstanie z Mariną odbyło się bez sprzeczek. Nie kierował się w tym bynajmniej wielkodusznością; chciał jedynie, by Marina, gdy już zorientuje się, że Tor zrujnował jej życie (co do tego bowiem, że tak będzie, Lucy nie miał najmniejszych wątpliwości), i gdy znów zostanie sama, przypomniała sobie jego dobre maniery i żeby gorycz żalu przez długi czas nie dawała jej spokoju. Przyjmując zatem rzeczowy ton, powiedział:

– To wspaniale, że tak się Torowi układa. A raczej, że układa się wam obojgu. Mam nadzieję, że będziecie razem bardzo szczęśliwi.

Marinę wzruszyły te słowa. Podeszła do Lucy'ego, by go objąć.

– Dziękuję ci, Lucy – rzekła. – Dziękuję. – Jej włosy musnęły jego policzek, a szyję owiał jej oddech. Tę nieoczekiwaną bliskość uczuł w samym dołku, jak uderzenie w dzwon. W jednej chwili przypomniał sobie cały ich romans, który rozegrał się poprzedniej wiosny.

Na początku było dużo spacerowania po lesie, trzymania się za ręce i tęsknego spoglądania w oczy. Po miesiącu Marina pojęła, że bez odpowiedniej zachęty Lucy'emu nie przyjdzie do głowy, by się z nią kochać, toteż postanowiła odpowiednio go zachęcić. Zgorszenie Lucy'ego było tyleż gwałtowne, co krótkotrwałe. Odtąd do porządku dziennego weszła rozpusta wśród bujnych łąk na zboczach doliny rozciągających się poniżej wioski. Lucy'emu ogromnie ulżyło, że wreszcie i on ma swój udział w miłosnej przygodzie, a przy tym pewien był, że Marina ma zadatki na wierną żonę. Kiedy tak leżeli nadzy w trawie, a chmury po krowiemu wędrowały nad górskimi wierzchołkami, on dumiał nad ich wspólną przyszłością. Ile będą mieć dzieci? Otóż będą ich mieć dwoje: chłopca

i dziewczynkę. Będą wiedli prosty żywot. Lucy zostanie nauczycielem albo szewcem, albo poetą – w każdym razie znajdzie sobie jakieś zajęcie, które nie będzie wymagało zbyt wielkiego wysiłku. Co wieczór będzie wracał do ich skromnego domostwa, a rodzina będzie się przy nim tłoczyła, sadzając go w ulubionym fotelu przy kominku. Czy życzyłby sobie filiżankę herbaty? Ależ z przyjemnością, pięknie dziękuję! Co by powiedział na rogalika? Ha, czemu by nie? Rojenia te Lucy przeżywał całym ciałem; przyjemne podniecenie rozchodziło się od ramion aż po podbicia pięt, a palce stóp podkurczały się w promieniach słońca.

W zasadności owych wizji życia szczęśliwego umacniały go kontakty łąkowe z Mariną, które jego zdaniem układały się wprost wybornie. Lecz kiedy któregoś popołudnia podzielił się z nią tym spostrzeżeniem, wyraźnie spochmurniała. Spytał, o co chodzi, a ona odrzekła:

– No wiesz, Lucy... naprawdę, nie musisz tak się ze mną cackać.

Wkrótce potem odprawiła go z kwitkiem, a Lucy, pogrążony w najczarniejszej rozpacz, przez wiele miesięcy medytował nad tymi osobliwymi słowami, i to tak gorliwie, że niemal zupełnie straciły sens. Mimo to nigdy nie zdołał odgadnąć, czego właściwie było jej brak. Teraz jednak dotarło do niego z całą mocą, że dłonie Tora porasta gęszcz brązowych kędziorów, spalonych słońcem na blond, jak również, że w jego łąpsku kufel z piwem przypomina raczej naparstek. Lucy nie cierpiał Tora, dlatego też postanowił w tej chwili wygłosić na jego temat jakieś niebagatelne łągarstwo. Marina właśnie się żegnała, kiedy Lucy powiedział:

– Nim jednak pójdę, muszę ci coś wyznać o tym twoim Torze.

– Ach tak?

– Tak się nieszczęśliwie składa. Nawet, rzekłbym, bardzo nieszczęśliwie. Marina skrzyżowała ręce na piersi.

– Cóż to takiego?

Lucy zastanowił się przez chwilę. Gdy już kłamstwo objawiło mu się w pełnej krasie, złożył dłonie w solennym geście i odrzekł:

– Otóż wiem z zaufanego źródła, że Tor zaręczył się w Horning z inną kobietą.

Roześmiała się.

– Kto ci naopowiadał takich głupstw? To nieprawda!

– Obawiam się, że jednak prawda. I taka jest właśnie przyczyna mojej dzisiejszej wizyty. Wyprowadzam się z Bury na dobre, ale zdzierżyć nie mogłem, że się z ciebie robi idiotkę.

– Niby że ja jestem idiotką?

– Zrobisz z tą informacją, co zechcesz.

Odparła:

– Coś mi się widzi, że jesteś zwyczajnie zazdrosny o Tora.

– To akurat się zgadza, Marino. Jestem zazdrosny o Tora. Ale od tej zazdrości o wiele silniejsza jest pogarda, jaką do niego czuję. Bo gdybyś była moja, nie paradowałbym po Horning z inną kobietą uwieszoną na moim ramieniu i nie przedstawiałbym jej wszem wobec jako tej, którą niebawem poślubię. O ile mi wiadomo, jest o parę lat młodsza od ciebie.

Lucy, kiedy się naprawdę postarał, bywał łgarzem wytrawnym, tego rzadkiego sortu, co to udając rozbrajającą szczerłość, serwuje człowiekowi fakty zupełnie na bakier z prawdą. Zorientowawszy się, że Marina zaczyna traktować jego wynurzenia poważnie, brnął dalej:

– Wieść niesie, że posag również jest niczego sobie. W pewnym sensie trudno Tora winić.

– Dość już, Lucy – odparła. – A teraz powiedz, że to stek kłamstw. Przyznasz, że tak jest?

– Gdybym tylko mógł! Ale to niemożliwe, gdyż mowa o faktach, a ja zawarłem z tobą kiedyś pewien układ. Przypominasz sobie?

Zatrzepotała powiekami, rozglądając się dokoła; nie słuchała uważnie.

– Jaki znowu układ? – wyszeptała.

– Poprosiłaś mnie, bym zawsze był z tobą szczerzy, a ja poprzysiągłem ci, że tak będzie. Marino, na pewno to pamiętasz. Wszak i ciebie ten układ miał obowiązywać.

Jej oczy były puste i markotne. Teraz już wierzyła każdemu słowu.

– Lucy... – powiedziała.

– Żegnaj! – odparł i odwróciwszy się, ruszył w drogę.

Maszerując krokiem sprężystym niczym u źrebięcia, dumiał: „Jakąz niezwykłą rzeczą jest kłamstwo!”. Zastanawiał się, czy nie jest ono aby

najdonioślejszym osiągnięciem ludzkości, i po pewnym namyśle musiał przyznać, że tak się właśnie sprawy mają. Przyszłość napawała go niezmaconym entuzjazmem, i byłaby to doprawdy triumfalna rejterada, gdyby nie fakt, iż uprzedniej nocy w odległym o dwieście kilometrów Ravensburgu pomocnik maszynisty uparł się, by po kolacji zjeść dokładkę sera.

Eirik i Alexander

KIEDY EIRIK, POMOCNIK maszynisty, dowiedział się, że to jego młodszy stażem kolega Alexander dostanie awans, poszedł rozpamiętywać żale w gospodzie. Dla Eirika, z racji jego starszeństwa i lat lojalnej wysługi, był to oczywisty policzek. Zdążył już uraczyć się dziewięcioma kieliszkami śliwowicy, kiedy do gospody wszedł Alexander, przywitał się ze wszystkimi nieznacznym skinieniem głowy, ale nie obwieścił wszem wobec swojego awansu, co rozdrażniło Eirika jeszcze bardziej, bo już na pierwszy rzut oka widać było, że jego kolegę rozpiera duma. Alexander zasiadł obok niego i położył mu dłoń na plecach. W geście tym Eirik wyczuł sporą dozę litości, więc wzruszył ramieniem, by pozbyć się natrętnego brzemienia. Alexander zaproponował, że postawi Eirikowi kolejkę, ale ten odmówił.

– Dziękuję ci bardzo, aż tak jeszcze nie zbiedniałem.

– Życzyłbym nam obu, żebyś podszedł do tego rozsądniej – powiedział Alexander.

– Cóż, pobożne życzenia to smutna rozrywka – odparł Eirik. – Zaufaj ekspertowi.

Na to Alexander spoważniał, a w jego głosie pojawiła się ostrzejsza nuta, którą Eirik słyszał po raz pierwszy.

– Słuchaj no. Musimy ze sobą współpracować. Nie tylko jutro rano, ale i każdego kolejnego ranka. Dogadywaliśmy się zawsze niezgorzej i naprawdę mam nadzieję, że nie będzie teraz między nami nieporozumień.

Eirik złapał się na tym, że patrzy na zwały różowej jak u bobasa skóry na szyi rozmówcy, rozważając przyjemność, z jaką zacisnąłby na nich palce.

I tak jak z nagłym niepokojem zdajemy sobie sprawę, że zostawiliśmy uchylone drzwi od domu, tak Eirik zrozumiał, że mógłby uśmiercić Alexandra: nie żeby faktycznie miał taki zamiar, niemniej jednak taka możliwość istniała.

– Z mojej strony nieporozumień na pewno nie będzie – powiedział Eirik, po czym wstał od stołu, życząc wszystkim dobrej nocy, wykonał przesadny ukłon i przecisnął się między stołami do wyjścia na ulicę. Udał się do domu na kolację, ale i tam nie zaznał ukojenia; wydzielona mu przez żonę skąpa porcja sera tylko pogorszyła już i tak paskudny nastrój. Żona zawsze skąpiła mu sera, ale tego wieczoru przydział był jeszcze skromniejszy niż zwykle. Eirik siedział przy stole sam, ze wzrokiem utkwionym w pustym talerzu, i rozwijał wypracowaną na własny użytek teorię, wedle której jego żona sama potajemnie pałaszowała ser, kiedy on był w pracy.

– Jeszcze sera! – zawołał.

Jej głos, dobiegający ze spiżarni, był wyprany z emocji.

– Nie ma już.

– Jak to możliwe, do cholery, żeśmy w niespełna pół miesiąca zezarli całe koło sera?

– No co ja ci mam powiedzieć? Żresz, to potem nie ma.

– Ale ja właśnie nie żrę! W tym sęk. – Podreptał do kuchni. Jego żona odstawiała właśnie talerze na półkę, plecami do niego. – To ty żresz!

Jej plecy zeszywniały. Odwróciła się, żeby omieść go pogardliwym spojrzeniem, ponieważ wstrętem napawało ją w nim doprawdy wszystko: niewyraźny podbródek, kwaśna woń, koślawe wąsy i przygarbione plecy. Było prawdą, że wyjadała po kryjomu ser. Kiedy tylko drzwi zamykały się rano za Eirikiem, dopadała skrzętnie ukrytego koła, odłamywała pokaźny kawałek i delektowała się nim, zaszywszy się uprzednio w pewnym zakamarku, który służył w ich domu jedynie tym samotnym i samotniczym poczynaniom. Żaden niemal aspekt życia nie przynosił jej satysfakcji, a pałaszowanie sera stanowiło jedną z bardzo nielicznych przyjemności. Teraz jednak zanosilo się na to, że i ta przyjemność zostanie jej odebrana. „No dobrze – myślała. – Bierz i to, nawet tę resztkę mojego szczęścia”. Z czeluści kredensu wydobyła ukryte zapasy sera i rozłożyła na blacie, by

następnie udać się na stryszek, gdzie w samotności zaniósł się niepohamowanym szlochem, użalając się nad sobą tak, że nikt by jej nie dorównał.

Eirik powstał przez chwilę w kuchni, kołysząc się miarowo i przysłuchując rwanym, dławionym lamentom żony. Zdawał sobie sprawę, że należałoby ją jakoś pocieszyć, ale chęci do takich działań całkowicie mu brakowało, za to nie lada podniecenie wywoływała w nim nieoczekiwana nadwyżka goudy. „Potem może do niej zajrzę, a najpierw przekąska” – pomyślał, kładąc ser na stole w jadalni. Skonsumował pół koła, tudzież butelkę wina z czarnego bzu, po czym omdlał na krześle. We śnie nawiedził go cały szereg straszliwych wizji: Alexander wściekle kopulował z jego żoną, pożerając należący do niego (Eirika) ser; jego żona leżała naga na stole, a Alexander nożem do obierania warzyw wycinał z jej obfitych białych łydek eleganckie porcje, bo cała była z sera; jego członek był z sera i ułamał się, kiedy Eirik próbował oddać mocz; jego członek był z sera, a jego żona odgryzała kawałki, kiedy spał. Koszmary te nie dawały mu spokoju przez całą noc, tak więc gdy rano wychodził do pracy, doskwierał mu nie tylko ból głowy, ciężkiej od wina i śliwowicy, ale i mocno nadszarpnięte poczucie wewnętrznego spokoju.

Na stacji zjawił się dziesięć minut po czasie, z przekrwionymi oczami i nimbem wyziewów nad głową. Alexander połapał się, co doskwiera koledze, i uczył zawodowy przymus, by udzielić mu nagany.

– A więc wczoraj na tej śliwowicy się nie skończyło? – spytał.

– Zrobiłem, co musiałem.

– A teraz?

– Teraz będę kontynuował.

A zatem niezbyt fortunny początek! Podczas kolejnych godzin rozmawiali niewiele. Ból i zniewaga nie dawały o sobie zapomnieć, ale Eirik czuł, że jakoś do końca tego dnia, a następny nie będzie już tak okropny. Czas mijał, a on rozmyślał nad cudownością tego kieliszka śliwowicy, który zawsze wypijał po pracy – tego pierwszego kieliszka – i o tym, jak płyn sączył mu się do gardła, pokrywając jego ścianki palnym żarem; kiedy Eirik potem wypuszczał powietrze, w nosie i ustach wciąż

tliła się woń wędzonej śliwki. Ten pierwszy kieliszek śliwowicy zawsze działał zgoła ożywczo; teraz Eirika stopniowo wypełniła szczerą, nieskomplikowaną przyjemność czekania na wizytę w gospodzie. Ponieważ złość nieco ustąpiła, postanowił, że wracając stamtąd, kupi żonie całe koło sera i nawet zachęci ją, by jadła ile dusza zapagnie, i to na widoku – niech tylko jemu także zostawi jakiś słuszny kawałek. A jak zabraknie, to i cóż, że będą musieli kupić następne koło? Co prawda był tylko pomocnikiem maszynisty, ale zarabiał przyzwoicie i od czasu do czasu mogli sobie przecież pozwolić na odrobinę ekstrawagancji, byle nie wydać zbyt dużo naraz. Ładując węgiel, Eirik odnalazł wreszcie swój zwyczajowy rytm i teraz płomienie tańcowały i furczały w piecu jak należy. Pot zalewał mu oczy, cieknąc po nosie i podbródku, ale i to mu nie przeszkadzało. „Życie to nie aż taka gehenna – pomyślał. – Lekko nie jest, ale w przeciwnym razie jakże by było nudno!” Zaczął pogwizdywać, a to oznaczało, że jest zadowolony.

Alexander wyczuł zmianę w nastroju kolegi i sam nieco się uspokoił. Pozwalając myślom swobodnie dryfować, począł dumać nad trudami swej młodości: matka zmarła raptem parę miesięcy po porodzie; ojciec, przez żalobę zupełnie zbity z pantałyku, któregoś dnia po prostu przepadł i nigdy już nie dał najmniejszego znaku życia. Alexandrowi od najwcześniejszych dni wpajano do głowy, że bez względu na to, jaki kształt przybierze jego życie, tylko i wyłącznie od niego zależeć będzie, jak je sobie wyrzeźbi. Jakżeby więc miał nie czuć się dumny, skoro zdobył posiadłość maszynisty? Jego uczucia były zatem jak najbardziej na miejscu; błąd polegał jednak na tym, że na pół godziny przed postojem w Bury postanowił dać swemu zadowoleniu wyraz.

– Mój dziewiczy kurs! – oznajmił. – Przyznać trzeba, że miło jest być maszynistą. – Odwrócił się ku Eirikowi, który milczał, z kamienną miną wpatrując się w dal. Alexander dodał: – Cóż to, stary druhu, nie wolno mi się trochę poprzehwalać?

– A przechwalaj się do woli – odparł Eirik. – Mnie nic do tego.

– Nie mógłbyś się ucieszyć wraz ze mną?

– Kto powiedział, że się nie cieszę?

– Po czym miałbym to niby poznać?

Eirik wbił łopatę w kopkę węgla.

– No dobrze, to czego byś sobie życzył? – spytał.

Alexander zmieszał się.

– Zazwyczaj gdy człowiekowi się poszczęści, koledzy składają mu gratulacje.

Na dźwięk tego ostatniego słowa nastrój Eirika na powrót osunął się w mrok, a śmiertelna trucizna poczęła znów przesączać się do najgłębszych pokładów jego duszy. Szyja Alexandra z pewnością była miękka jak aksamit; palce Eirika poczęły drżeć i zaciskać się w powietrzu. Wrócił do gorączkowego przerzucania węgla; pociąg gnał dalej przed siebie, a Eirik czekał, aż fala nienawiści opadnie, lecz to wcale nie następowało. W istocie fala ta sięgała coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie całkowicie go przykryła. Dał więc za wygraną i czekał już tylko na najdogodniejszą chwilę, by się tego uczucia pozbyć.

Pociąg wtoczył się na stację w Bury. Alexander wyjrzał przez okno; całe jego jestestwo wyrażało spokój. Odwrócił się do Eirika, chcąc wypowiedzieć parę słów zachęty lub też poczynić jakiś drobny komplement, i wówczas dostrzegł, że jego towarzysz bacznie mu się przygląda, a jego oczy są straszliwe, szaleńcze, w groteskowy sposób odmienione. Zaniepokoiło to Alexandra, toteż spytał:

– O co chodzi?

– Chcesz, żebym ci pogratulował? – odparł Eirik.

– Nie uważasz, że się należy?

– Należy się, jak najbardziej. Tylko czyś pewien, że tego chcesz?

Cóż to za osobliwe gierki? Czy Eirik zamierzał potraktować go pięściami? Lepiej więc mieć to już za sobą. Alexander był mężczyzną tęgawym, acz krzepkim i w gospodzie widział niejedną bitkę, toteż nie obawiał się nieszczęsnego sknerusa, którego miał teraz przed sobą. Kładąc dłoń na dźwigni hamulca i chwytając ją mocno, przyjął postawę wyprostowaną i pewną, po czym powiedział:

– Tak, Eiriku, jestem pewien. Dalej więc, do dzieła.

Łopata do węgla wystawała ze skrzyni tak jakoś na ukos. Opowiadając wszystko później towarzyszowi celi, Eirik zwykł spekulować, że przechylona była niejako ku niemu, oferując mu swoje usługi. Zamachnął się, łopata wytyczyła prędko, ciasny okrąg i kant ostrza całym ciężarem spadł na dłoń Alexandra, odcinając gładko trzy pierwsze palce, czwarty zaś pozostawiając, by dyndał w tę i we w tę jak na zawiasie. Alexander gapił się na krew sączącą się z kikutów, a minę miał taką, jakby mu iluzjonista pokazał skomplikowaną sztuczkę.

– Gratuluję – powiedział Eirik. Zebrał palce na ostrze łopaty i cisnął je do buzującego pieca.

LUCY NIE MIAŁ o tych zdarzeniach najmniejszego pojęcia ani też nigdy później się o nich nie dowiedział. Nim dotarł na stację, oszołomionego i chwiejnego Alexandra już odprowadzono, Eirikowi zaś konstabl pomagał zejść na peron. Ponieważ gest ów zdał się oznaką czystej życzliwości, Lucy w sylwetkach dwóch oddalających się mężczyzn nie dopatrywał się niczego niepokojącego, chociaż zastanowiło go, dokąd też na pięć minut przed planowym odjazdem może się udawać pomocnik maszynisty oraz czemu konstabl uparł się, by mu nieść łopatę.

Na ziemię spadały grube krople deszczu. Lucy co chwila mrugał i wzdrygał się, choć właściwie nie przeszkadzało mu, że moknie. Wciąż triumfował na myśl o łgarstwie, jakie zgotował Marinie, więc paskudna aura, zamiast osłabiać jego optymizm, jedynie wzmagала przeświadczenie, że oto rozpoczyna się niezwykła przygoda. Wszedł do przedziału trzeciej klasy, umieścił kuferek na półce, po czym znalazł sobie kawałek miejsca wśród posługaczek, parobków i nielicznych poutykanych tu i ówdzie staruszków. Nikt się nie odzywał, a Lucy jął dumać nad tym, skąd u klasy ubogiej ten zwyczaj, by w towarzystwie milczeć.

Pociąg był opóźniony z wyżej opisanych przyczyn, więc Lucy przesiedział trzy kwadransy w dusznym przedziale, podczas gdy kierownik pociągu wraz z zawiadowcą szukali kogoś, kto przejąłby obowiązki maszynisty. Lucy zupełnie się już zapadł w swe osobliwe, pozbawione wątku rozmyślenia, kiedy nagle dobiegło go pukanie w zewnętrzną stronę okna. Obróciwszy głowę, ujrzał Marinę, płynącą w powietrzu nad peronem; jej piąstka unosiła się tuż przy twarzy, na tej zaś malowało się zadowolenie niczym u kota, który przed chwilą coś ukatrupił. Widok jej oblicza, szczególnie zważywszy na jego przedziwną lewitację w obramowaniu okna, mocno zaniepokoił Lucy'ego; nawiedziło go niejasne przecucie

zbliżającego się niebezpieczeństwa, a całe ciało, od stóp do głów, pokryło się gęsią skórką.

Dopiero teraz dostrzegł ordynarne, włochate łapska, które podtrzymywały Marinę w talii; chwilę później zestawily ją z powrotem na peron, po czym oboje z Torem cofnęli się parę kroków, żeby móc zajrzeć do środka przedziału, a jednocześnie być widocznymi dla pasażerów. Stali ramię w ramię, cudownie harmonijni, uśmiechając się do Lucy'ego. Jeśli doszło między nimi do awantury o to, co Lucy nałgał Marinie, to sprawa ewidentnie należała już do przeszłości. Obok przechodził akurat kierownik pociągu i Tor zagadnął go i jął mu coś tłumaczyć, wykonując jednocześnie błagalne gesty i wskazując prosto na Lucy'ego. Kierownik przyglądał się tymczasem Lucy'emu; gdy Tor skończył mówić, mężczyzna wsiadł do wagonu i po chwili zjawił się w przedziale.

– Czy mogę zerknąć na pański bilet? – spytał.

– Mój bilet? – odpowiedział Lucy.

– Tak jest.

– Dlaczego chce pan zerkać na mój bilet?

Kierownik wyciągnął dłoń. Ze zboląłą miną Lucy podał mu bilet. Mężczyzna przyjrzał się odcinkowi papieru ze wszystkich stron i potrząsnął głową.

– Doprawdy nie rozumiem, o co chodziło tamtemu jegomościowi. – Spojrzał przez szybę na Tora i Marinę, oczekujących w napięciu. – Na trzecią klasę! – Zamachał parę razy odcinkiem. – Bilet trzeciej klasy!

Tor przyłożył dłoń do ucha, udając, że nie słyszy. Marina trzepnęła go w ramię, jak gdyby okrucieństwa było już nadto; a jednak wcale nie życzyła sobie, żeby przestał, bo wyraźnie cieszyło ją to, jak sobie z Lucym poczynają. Kierownik przecisnął się do okna i zsunął szybę w dół.

– Ten młodzieniec ma bilet na trzecią klasę – powiedział.

Tor, w zakłopotaniu:

– Ten tyczkowaty, o tam? Co się tak rumieni? Ten wymizerowany? Jest pan pewien, że on nie powinien jechać pierwszą klasą?

– Może chciałby pan sam rzucić okiem na ten bilet?

Tor skłonił się lekko.

– Co to, to nie. Nie śmiałym szanownemu panu wchodzić w kompetencje – odparł, po czym wziął się pod boki i zacisnął usta, odgrywając mieszaninę zakłopotania i frustracji. – Ach, ja naprawdę byłem przekonany, że ten młodzieniec ma siedzieć w pierwszej klasie. Wszak odznacza się arystokratyczną posturą, nie uważa pan?

Kierownik pociągu oraz współpasażerowie popatrzyli po Lucym z powątpiewaniem.

– Hm – odparł kierownik – siedzi, gdzie ma siedzieć. Naprawdę nie wiem, co jeszcze mógłbym panu w tej sprawie doradzić.

– W rzeczy samej – zgodził się Tor. – Cóż dodać?

– Dobrego dnia życzę – rzekł kierownik pociągu, zamykając okno.

– I nawzajem, ze wszech miar dobrego! – Odpowiedź Tora dobiegła ich już zza szyby, o połowę cichsza. Pomachał na pożegnanie Lucy’emu oraz jego współpasażerom; Lucy nie zareagował, ale zrobili to siedzący dokoła. Tor i Marina odwrócili się i ze splecionymi ramionami ruszyli w stronę wioski, robiąc wrażenie bardzo zakochanych. Wszyscy odprowadzali ich wzrokiem; gdy kochankowie zniknęli z pola widzenia, powszechna uwaga znów skupiła się na Lucym. Ów policzki miał już nie rumiane, tylko blade, a wzrok pochmurny i nieprzenikniony.

– Przyjaźnicie się? – spytał mężczyzna obok Lucy’ego.

– Nie.

– Ładna z nich para.

Lucy zamknął oczy: nie po to jednak, by zapaść w sen, lecz by pobyć samemu w owym komfortowo wyposażonym pokoju, który utrzymywał gdzieś na dnie własnej głowy.

POCIĄG SUNĄŁ NA WSCHÓD, przecinając ogromną zieloną dolinę i pnąc się coraz wyżej szerokimi łukami krętego torowiska wśród górskich szczytów. Gdy wszystkie gwiazdy były już na swoich miejscach, Lucy'emu zdało się, że pociąg pędzi przed sobą noc, poganiając ją i raz za razem wbijając się w bebechy nieba. Lucy spał na siedząco, z obu stron podparty czyimś ciałem.

W środku nocy miał miejsce pewien niefortunny incydent. Lucy zbudził się lub też tylko wybudził ze snu i ujrzał dwóch mężczyzn (jeden był wysoki, a drugi niski) zakradających się do przedziału. Dyskretności ich ruchów nie sposób było tłumaczyć dobrymi manierami; ponieważ w dodatku twarze ich były szczelnie zasłonięte postawionymi kołnierzami płaszczy, całe zdarzenie przykuło uwagę Lucy'ego i wznieciło w nim ciekawość, więc obserwował mężczyzn spod półprzymkniętych powiek.

W przedziale panowała cisza, twarze drzemiących pasażerów spowijała srebrzysta poświata księżyca, a dwaj mężczyźni zatrzymali się przed kościstą kobieciną, która tuliła do piersi tartanową torbę. Jej usta były otwarte i zwisały swobodnie, tak że w poprzek twarzy spływał potoczek śliny; wyższy przyglądał się jej chwilę z ukosa, po czym zabrał się do oswobodzania torby z jej uścisku. Przebiegało to etapami, delikatnie, palec po palcu, a Lucy był pewien, że lada chwila starsza pani się ocknie i wyda z siebie mrożący krew w żyłach pisk. Ale mężczyzna był niesłychanie zręczny i zdawał się idealnie wyczuwać, jak daleko może się posunąć w napastowaniu jej osoby, by drzemka pozostała niezakłócona; w każdym razie kobiecina nie dawała żadnych oznak, że cokolwiek jej przeszkadza. Wkrótce uścisk jej palców otworzył się jak parasol, a mężczyzna zyskał swobodny dostęp do torby i jął z niej wyciągać niewiadome przedmioty, przekazując je niższemu, który stał u jego boku i upychał łup po kieszeniach długiego płaszcza. Kiedy już wysupłał wszystko, co mógł,

a może tylko to, co chciał, wyższy zwrócił torbę w objęcia staruszki i przesunął się o jedno miejsce, by skupić się na ciele pasażera po jej lewej stronie. W taki oto rutynowy sposób duet ograbił po kolei wszystkich śpiących na siedzeniach naprzeciwko Lucy'ego; dotarłszy do ściany, mężczyźni gotowali się teraz, by tak samo potraktować jego oraz innych, śpiących u jego boku.

Gdy tak zbliżali się do jego siedzenia, Lucym owładnął trwożliwy niepokój, zupełnie nie miał bowiem pojęcia, co robić. Mógłby zapewne stanąć do walki, ale byłaby to walka stanowczo nierówna pod względem liczebnym, a można było również z powodzeniem założyć, iż rabusie byli daleko lepiej zaznajomieni z tajnikami przemocy niż on. Może zatem opuścić przedział? Po prostu wstać i wyjść, nie oglądając się ni razu za siebie? Lecz i to na nic, gdyż mężczyźni zauważyliby jego czmychnięcie – niewykluczone nawet, iż postanowiliby temu zapobiec! Cóż więc pozostawało? Nie przychodziło mu już do głowy nic prócz tego, by udać, że śpi, i pozwolić, by mężczyźni zbiegli wraz z jego marnym dobytkiem. Choć było to rozwiązanie doprawdy haniebne, nadal wydawało się korzystniejsze od pozostałych, na myśl o których skóra cierpła na karku. Dlatego Lucy siedział nieruchomo, oczekując tego, co nieuniknione.

Mężczyźni właśnie zaczęli się do niego dobierać, kiedy po sąsiednim torze przetoczył się pociąg zmierzający na zachód. Cały przedział zatrzęsł się, tonąc w feerii świateł i zakłócając tym samym spoczynek większości podróżnych. Złodziejaszki opuściły przedział niczym cienie rzucone na ścianę; i choć wielu pasażerów zbudziło się na chwilę, gdy mijał ich ów drugi pociąg, nikt nie dostrzegł dwójki intruzów i nikt też nie zorientował się, że został ograbiony. Lucy rozglądał się za ciałem na tyle przytomnym, by było zdolne do rozmowy, ale wszyscy na powrót posnęli. Zapiął więc płaszcz aż pod samą szyję i patrzył przez okno na nocny świat. Księżyc, wciśnięty w swój kawałek nieba, z podziwu godną nieustępliwością bronił zdobytej pozycji.

LUCY OBUDZIŁ SIĘ na boku, a przez okno wlewało się rozrzedzone zimowe światło. Pociąg najwyraźniej zatrzymał się po drodze niezliczoną ilość razy, bo przedział był niemal pusty, z wyjątkiem odzianego w łachy mężczyzny, który siedział naprzeciwko. Ów zaś przypatrywał się Lucy'emu wyczekująco, jak gdyby w nadziei na pogawędkę z przebudzonym. Mimo to Lucy nie miał jeszcze ochoty z nikim rozmawiać, więc znów ją podziwiał krajobraz za oknem.

Znajdowali się już powyżej granicy wiecznego śniegu, daleko za pierwszą przełęczą, wśród schodzących głęboko w dół łańcuchów górskich, gdzie zasypane układają się w nieprawdopodobne, bezowate kształty, podmalowane cieniem na niebiesko i zielono. Przedziały pierwszej i drugiej klasy nagrzane były żarem lokomotywy, ale kolejnego ta nadwyżka już nie sięgała; wiatr łomotał szybami w oknach, a Lucy widział w powietrzu swój oddech.

Przyglądał się odbiciu mężczyzny w szybie. Tamten nie wydawał się ani młody, ani stary lub też może był i młody, i stary zarazem: oczy miał jak u nastolatka, figlarne i pełne werwy, ale skóra pod oczodołami zapadała się w obrzmiałe półksiężyce; włosy zaś były gęste, zaczesane do tyłu w wysoką falę, której atramentową czerń przetykały pasma siwizny, pełzające od bokobrodów ku czubkowi głowy. Mógł mieć lat osiemdziesiąt; mógł też mieć czterdzieści. Z kieszeni na piersi wydobył teraz chustkę i wydmuchał nos; kiedy ją odkładał, widok dłoni wślizgującej się za kłapę przypomniał Lucy'emu złodziejasków z uprzedniej nocy. Wspomnienie to najwyraźniej boleśnie odmalowało się na jego twarzy, ponieważ mężczyzna zagadnął go:

– Czy aby wszystko z tobą, chłopcze, w porządku?

– Tak, proszę pana – odparł Lucy. – Niech mi pan jednak będzie łaskaw powiedzieć, czy noc spędził w tym pociągu?

– W istocie, spędziłem.

– Raczy pan zatem sprawdzić zawartość swojej kiesy, ponieważ tej nocy, gdyśmy tu wszyscy spali, dwójka złodziejasków bogaciła się naszym kosztem.

Mężczyzna wyraźnie się przestraszył.

– Coś podobnego – powiedział. – Doprawdy? – Pomacał kieszenie płaszcza i spodni; znajdując ich zawartość w należyтым porządku, oznajmił: – Mnie niczego nie wzięli.

– Miał pan tedy szczęście. A w każdym razie więcej szczęścia niż pozostali. Żeby pan widział, jak te diabły wcielone grasowały po całym przedziale! Zdawać by się mogło, że w ogóle nie myślą o konsekwencjach.

– Coś takiego – rzekł mężczyzna. – Toż to w istocie diabły, z tego co mówisz. No a jak ty sobie, chłopcze, poradziłeś w tej opresji?

Lucy machnął tylko dłonią.

– O mnie się troszczyć nie trzeba. Sam ich przepędziłem, gdy tylko zanadto się zbliżyli.

Mężczyzna pochylił się do przodu, najwyraźniej pod wrażeniem tych słów.

– Naprawdę?

– Tak było.

– Przepędziłeś ich, hę? Że aż im w pięty poszło?

– Właśnie tak.

– Toś naprawdę odważny.

– Do wałkoni i złodziei to ja nie mam cierpliwości, ot co.

– Najwyraźniej! – Mężczyzna powstał i skłonił się. – Chylę czoła.

Lucy podziękował nieznajomemu; cieszyło go bardzo, że udało mu się wyrzucić na nim takie wrażenie. Ponownie wyjrzał przez okno. Przejeżdżali teraz przez gęsty las. W dali, hen od torów, stał jeleni, obserwując pociąg z ukosa. Kiedy Lucy znów skupił się na wnętrzu przedziału, zorientował się, że nieznajomy przygląda mu się w bardzo podobny sposób.

– Słucham pana? – spytał Lucy.

– Ano – zagaił tamten – tak się tylko zastanawiam: w którym dokładnie momencie doszło do przepędzenia złodziejasków?

– Pyta pan, w którym momencie?

– Tak. Innymi słowy, czyś rzeczywiście widział, jak te złodziejaszki kogoś okradają?

– I to jak! Przynajmniej pół tuzina pasażerów ograbili.

– Zachodzę przeto w głowę: czemuś nie interweniował wcześniej, zanim do ciebie doszli? Wszak spodziewałbym się po kimś, kto deklaruje wstręt do złodziejaszków, wałkoni (słowem, diabłów wcielonych, jakżeś sam ich nazwał), że rzuci się do pomocy, gdy tylko zoczy, że się komuś dzieje krzywda. A jednak nie uczyniłeś nic, póki nie przyszli po twoje. – Mężczyzna zamrugął. – Chyba że czegoś nie zrozumiałem.

– No – zawahał się Lucy – tego, hm. – Siedział tak przez chwilę, gorączkowo poszukując czegoś na swoją obronę. Ale jedyne, co mu przyszło do głowy, to to, że nie otrząsnął się był jeszcze wówczas z drzemki i w związku z tym jego reakcje były spowolnione.

– Ach tak – powiedział tamten, kiwając głową. – Nadal byłeś zaspany, co?

– Właśnie.

– Jedną nogą w tym świecie, jedną w tamtym?

– Otóż to.

– No tak, to wszystko wyjaśnia.

Lucy’emu zdawało się, że dość chytrze sprowadził dochodzenie na fałszywe tory, ale miał też niejasne wrażenie, że na ustach mężczyzny drga tłumiony uśmiech. Czyżby ten obszarpany osobnik naigrawał się z niego? Nie było jednak czasu na podobne refleksje, bo oto usłyszał kolejne pytania:

– Czy wolno spytać, dokąd się wybierasz?

– Do Zamku von Aux. Zna pan to miejsce?

– Znam, a jakże. – Drapiąc się po brzuchu, nieznajomy spytał następnie: – Nie jesteś przypadkiem tym nowym od pana Olderglough?

– To ja. Jak pan na to wpadł?

– Klepnąłem w ciemno.

– Mieszka pan w zamku?

– Wolne żarty!

Lucy'emu zdało się, że słyszy w tych słowach nutę urazy, toteż spytał:

– Czemu pan tak mówi?

Mężczyzna podniósł palec.

– Po pierwsze, nie jestem tam mile widziany. – Podniósł kolejny palec. – Po drugie, nie mam najmniejszej ochoty odwiedzać takiego miejsca. – Podniósł trzeci palec, otworzył usta, by przemówić, po czym zamknął je, zacisnął dłoń w kułak i westchnął. – Muszę przyznać – powiedział – że los pana Brooma bardzo mnie zasmucił.

– A kto to taki, ten pan Broom?

– Twój poprzednik.

Lucy'emu nie przyszła dotychczas do głowy myśl o ewentualnym poprzedniku. Mężczyzna najwyraźniej wyczytał to z jego twarzy, bo teraz spytał:

– Niczego ci o nim nie powiedziano?

– Nie.

– Bardzo to osobliwe, jak na mój gust. Przecież to cała historia była. Biedny pan Broom.

Lucy siedział bez ruchu, wpatrzony w nieznanego, lecz ten najwyraźniej nie zamierzał rozwijać tematu.

– Może by pan opowiedział?

– To nie moja sprawa. Niech ci Olderglough opowie. Chociaż i on pewnie tego nie robi, łotr jeden. Ano, cóż! Każdy musi odrobić swoją lekcję, czyż nie?

– Mniemam, iż ma pan rację – odparł Lucy, chociaż pogląd ów, a w istocie także jego autor, wywoływał w nim jakiś nieokreślony niepokój. Myśląc zamaskować to uczucie, Lucy niby to machinalnie dobył z kieszeni fajkę, którą zaczął następnie z uwagą studiować i podziwiać. Nieznajomy również się zaciekał i spytał, czy może ją sobie obejrzeć z bliska. Lucy podał mu ją, a ten począł na różne sposoby układać przedmiot w dłoniach. Przytaknął z aprobatą.

– Pierwszorzędna fajka.

– A dziękuję.

– Dalibóg, pierwszorzędna!

– Dziękuję, racja. Czy może mi pan ją zwrócić?

Mężczyzna oddał mu fajkę, ale w jego oczach czaił się smutek, jak gdyby rozstanie z nią sprawiło mu ból. Upychając ją na powrót za pazuchę, Lucy zauważył, że tamten bacznie obserwuje jego pierś. Słońce przysłoniły już wówczas szczyty gór i przedział tonął w chłodnych barwach; korytarzem przeszedł kierownik pociągu, obwieszczając, że zbliża się czas wysiadki. Kiedy pociąg wtaczał się na stacyjkę, nieznajomy podniósł się ze swego miejsca.

– Jak ci na imię, chłopcze? – spytał.

– Lucy.

– Lucy? Sympatycznie. Ja jestem Memel. – Wskazał za okno. – A oto i twój nowy dom.

Kilkaset metrów za stacją kolejową wznosił się Zamek von Aux; Lucy dojrzał szeroki, blankowany mur obronny, z dwoma stożkowymi wieżami po bokach. Zbudowane na pochyłym podnóżu pasma górskiego zamczysko odcinało się od śniegu swą gamą szarości i czerni. Choć okolica rzeczywiście zapierała dech w piersiach, było w niej również coś niepokojącego. Lucy’emu przyszło do głowy, że jest tu zbyt stromo, zbyt pięknie.

Memel zapinał płaszcz. Gdy już uporał się z ostatnim guzikiem, zrobił coś nieoczekiwanego. Odchyliwszy mianowicie głowę do tyłu, przemówił do pustej przestrzeni, którą miał przed sobą:

– Mewe, jesteśmy na miejscu. Wylezisz wreszcie stamtąd? Przepraszam za tę kłótnię. – Ugiął się w pasie i zajrzał pod rząd siedzeń, przyzywając coś lub kogoś skinieniem. – No dajże już spokój. Chyba że chcesz tam zostać na dobre, co?

Spod siedzenia Lucy’ego wytoczył się, niczym kawałek rury, jakiś chłopak i jał mu się przyglądać z podłogi. Lucy zaś studiował jego twarz z niekłamaną fascynacją; bo o ile Memel był starcem, który wydawał się znacznie młodszy, to ów był chłopcem co najwyżej dziesięcioletnim, na którego obliczu czas odcisnął swe gorzkie piętno: wskazywały na to zapadnięte policzki, niemal trupia bladość oraz mrowie zmarszczek

w kącikach oczu. Kiedy Mewe wyciągnął do niego rękę, Lucy potrząsnął nią, na co tamten powiedział:

– Chciałem, żebyś mi pomógł wstać.

Lucy uczynił więc, o co go proszono, i teraz wszyscy skierowali się ku wyjściu. Na dworze wichrzysko kotłowało się ze śniegiem; stanąwszy na progu, Memel i Mewe postawili kołnierze płaszczy. Dopiero wówczas Lucy’emu zaświtało, z kim właściwie ma do czynienia.

STANĘLI W ŚNIEGU PO ŁYDKI; biała pierzyna przykrywała cały peron. Na stacji nie było nic prócz pozostawionej na pastwę losu chaty, której odrzwia trzymały się na jednym zawiasie, a okiennice stały puste. Rozmaite zwierzęce tropy wiodły do środka tej niepięknej budowli i z powrotem, lecz w zasięgu wzroku nie znać było ludzkich śladów. Memel i Mewe nie mieli bagaży; już brnęli w stronę zamczyska, raz za razem dziurawiąc buciorami płaty zamarzniętego śniegu, ale Lucy wolał jeszcze chwilę poczekać przy torach, by nie być za blisko tej dwójki. Tamci jednak, spostrzegłszy, że został w tyle, przystanęli i jęli go poganiać. Lucy'emu nie przychodziło do głowy lepsze rozwiązanie, toteż dołączył do nich, mrużąc pod nosem: „Jestem sam na sam z dwójką krwiożerczych rabusiów. A oto jakaś niepozorna polana pod kożuchem bladego śniegu”. Licząc, że uda mu się zaprzątnąć owe zbrodnicze umysły czczą gadaniną, Lucy zagadnął Memela o to, czy Mewe jest jego synem albo może wnukiem. Memel zaprzeczył: tylko się przyjaźnią.

– Dziś akurat nie bardzo – skontrował Mewe.

– To prawda. Dziś się nie przyjaźnimy. Ale na ogół tak.

– A czemu dziś nie? – spytał Lucy.

Mewe potrząsnął głową.

– Memel lubi gadać; niech sam ci powie.

– Będziesz mi tylko ciągle przerywał – powiedział Memel.

– Wcale nie.

– To naprawdę nic szczególnego – przyznał Memel, zwracając się do Lucy'ego.

– O ile kretynstwo nie jest niczym szczególnym – dorzucił Mewe.

– Kretynstwo z całą pewnością nie jest niczym szczególnym. Rzekłbym wręcz, że jest to kardynalna cecha kretynstwa.

– Naprawdę? Bo ja mam czasem wrażenie, że twoje kretynstwo jest dość szczególne.

Memel przewrócił oczami.

– Mewe lubi uciekać się do obelg – wyjaśnił Lucy’emu.

– Bardzo szczególne! – dodał Mewe. Ale Memel milczał; dyskurs tego rodzaju był bezspornie poniżej jego godności. Mewe kopnął hałdę śniegu, po czym oświadczył znużonym głosem: – Po prostu lubimy się kłócić, i tyle.

Memel zadumał się; najwyraźniej nie przyszło mu wcześniej do głowy, by tak sprawę postawić.

– To prawda. Lubimy – stwierdził. Wydawał się jednak tym stwierdzeniem niepokieszony, a nawet skruszony.

Lucy od dłuższego czasu przyglądał się im, lecz kiedy ich rozmowa ucichła, podniósł wzrok ku zamczysku. Wzdrygnął się, gdyż mury znajdowały się znacznie bliżej, niż sądził, jak gdyby posiadłość wyszarpnęła z ziemi fundamenty i podpełzła, by spotkać się z nimi w pół drogi. Przypatrując się tej ponurej fasadzie, Lucy zdał sobie sprawę, że często zdarza mu się myśleć o budowlach jak o żywych istotach: jego własny dom był wszakże architektonicznym ucieleśnieniem jego matki, gospoda była pochylonym pijakiem łypiącym lubieżnie spod oka, kościół zaś skromnym, acz prawym sobowtórem poczciwego księdza Raymonda. Cóż w takim razie przedstawiało sobą zamczysko? Wciąż było za wcześnie, by znaleźć odpowiednie słowa; czymkolwiek było, wydawało się olbrzymie, złowróżbne i inne od wszystkiego, z czym Lucy się dotychczas zetknął.

Tymczasem docierali już do wioski, czyli garści chałup stłoczonych w pewnej odległości od podnóża zamku; była to może setka skleconych byle jak domostw, przylegających jedno do drugiego, a cała wioska kształtem przypominała łąkę. Na samym środku osady krzyżowały się dwa szeregi okazalszych, odkrytych konstrukcji – Memel wyjaśnił, że to stragany. Lucy przyglądał się mieszkańcom, zaprzątniętym codziennymi sprawami. Okryte chustami kobiety z niemowlakami przyciśniętymi do piersi pojawiały się w drzwiach, by zaraz znów w nich zniknąć, a większe

dzieci snuły się za nimi; mężczyźni stali po trzech albo czterech, prowadząc ożywione rozmowy, gestykułując i co rusz wybuchając śmiechem. Memel z wyraźną dumą wskazał Lucy'emu swoją chałupę, choć po prawdzie niczym się nie wyróżniała; ot, pokraczna buda z pordzewiałej blachy i niedopasowanych drewnianych belek. Z wiotkiego, przekrzywionego komina sączył się wąty kosmyk dymu.

– Czy Mewe mieszka razem z panem? – spytał Lucy.

– Nie, mieszkam sam – odparł Mewe – o tu, obok Memela, widzisz?

Lucy przytaknął. Zwrócił się do Memela:

– Długo pan tutaj mieszka?

– Urodziłem się tu. Tak jak i Mewe. Jak my wszyscy.

– A od jak dawna przy zamku stoi wioska?

– Wioska była zawsze, odkąd wzniesiono zamek.

– A przedtem? Skąd wy się wszyscy tutaj wzięliście?

– W sumie to nie mam pojęcia. – Memel odwrócił się do Mewe'a. –

A ty?

– Bo ja wiem? Znikąd.

W zaległej ponownie ciszy uwaga Lucy'ego odpłynęła ku stromiźnie góry, która piętrzyła się nad zamkiem. Z początku tylko przyglądał się krajobrazowi; wtem jednak dostrzegł, że śnieżne zaspasy są sceną jakichś ożywionych działań. Widać było poruszające się sylwetki, a w powietrzu dryfowały obłoki dymu.

– Tam są jacyś ludzie – orzekł.

– A tak – odparł Memel.

– Co oni tam robią?

– Czas marnują.

– Czas marnują na co konkretnie?

– Na głupie zabawy.

– A o co chodzi w tych zabawach?

– O to, by zabić i nie dać się zabić.

– Zabić? – spytał Lucy.

– W rzeczy samej. O tym też Olderglough ci nie wspomniał?

– O żadnym zabijaniu nie było mowy.

Memel zachichotał.

– A to łotr! Ale nie przejmuj się. Żadne niebezpieczeństwo ci nie grozi.

– Czyżby?

– Prawie żadne. W każdym razie niewielkie. Miej oczy otwarte, a nic ci nie będzie, jak sądzę. Inni są w znacznie gorszym położeniu.

– Jacy inni?

– Zabijani, zabijający. Rebelianci i ich despotyczni przeciwnicy. – Wskazał najpierw jedną część zaśniewzonego zbocza, a potem inną. – Często zażywają świeżego powietrza.

– Czy dobrze rozumiem, że to dwa wraże ugrupowania?

– Toczą ze sobą wojnę.

– Ale o co?

– Ech – westchnął Memel. – Długa historia.

– A mogę prosić?

– Długa i strasznie zawiła.

– Gdyby pan jednak pozwolił, tak w skrócie?

– Jeśli w ogóle, to trzeba by w całości.

Wszystko to wydało się Lucy'emu nad wyraz niepokojące.

– Być może opowie mi pan przy okazji – zaproponował.

– Być może – odparł Memel. – Chociaż raczej nie. Ponieważ historia ta jest nie tylko długa i zawiła, ale i dość nudna.

Dotarli do skraju wioski. Memel i Mewe pożegnali się; ten pierwszy rzucił się nawet ku Lucy'emu, by go uściskać, i trzymał go w objęciach znacznie dłużej, niż się to wydawało konieczne. Lucy'ego ów dowód sympatii wprowadził w zakłopotanie. Uznając jednak, że jest to miejscowy zwyczaj, postanowił znieść wszystko cierpliwie i bez słowa, w nadziei, iż zostanie to odczytane jako objaw wyrozumiałości.

LUCY DOBRNĄŁ DO SZCZYTU wzgórza i stanął u masywnych, okutych żelazem wrót zamku. Wśród przesywającego chłodu zastukał w nie gołą pięścią, ale dało to odgłos tak nikły, jak gdyby stukał w pień drzewa; nawet Lucy ledwo go słyszał. Spojrzawszy w górę, nieopodal wejścia dostrzegł średnich rozmiarów dzwonek ze zwisającym luźno sznurem; pociągnął więc, ale sznur ześlizgnął się tylko z krążka i z szepczącym świstem przepadł w zaspie u stóp Lucy'ego. Ten zaś jął rozglądać się dokoła, choć gdyby go ktoś podówczas spytał, w jakim właściwie celu, nie potrafiłby odpowiedzieć: po prostu wydało mu się, że to odpowiedni moment na rekonesans. Cóż więc zobaczył? Otóż zobaczył drzewa, śnieg i stanowczo za dużo przestrzeni. Odwrócił kuferek do góry dnem i zasiadł na nim. Sięgając po fajkę i tytoń, zorientował się, że nie ma ani jednego, ani drugiego. Przypomniał mu się uścisk Memela, więc zmarszczył brwi i przyznał w duchu: „Doprawdy nie mam pojęcia, co teraz począć”.

Raptem zaświtał mu nietuzinkowy pomysł, by w dzwonek rzucić kamieniem. Gdy grzebał w śniegu, rozpierała go duma, że wymyślił taki plan oraz że postanowił go wdrożyć; wizja sukcesu jednak prędko się rozviała, gdyż o kamyki było trudno, dzwonek wisiał bardzo wysoko, a celność Lucy'ego okazała się zgoła haniebna. Dyszał teraz ciężko, a po plecach ściekał mu lepki pot. Porzuciwszy przedsięwzięcie, a nic innego nie mając do roboty, oparł się brzuchem o mury zamczyska i popatrzył hen w górę. Z tej perspektywy fasada wydawała się wklęsła, a jej strzelistość przyprawiała go o zawrót głowy, toteż czuł, że za chwilę nogi się pod nim ugną i polecą na łeb, na szyję do tyłu (myśl ta bardzo go rozbawiła). Wsłuchiwał się we własny śmiech, a towarzyszyło temu coś na kształt bezstronnej dociekliwości. Nigdy nie potrafił swego umysłu i jego refleksji uznać za jedną całość; podobnie było z głosem, który wydawał mu się odrębny od jego osoby.

Zasiadł przeto z powrotem na kuferku. Słońce spływało po frontowej części obmurowania, twarz Lucy'ego przecinając w poziomie na pół: od grzbietu nosa aż po czubek czapki okalało go rozkoszne żółte ciepło, poniżej zaś gęstniała broda dotkliwego białoniebieskiego chłodu. Zamknąwszy oczy, jął medytować nad nieustannymi wysiłkami opatulonego serca i nad trasą, jaką pokonuje krew. Przez krótką chwilę czuł się szczęśliwy, chociaż nie wiedział właściwie dlaczego.

Gdy jego powieki znów się uniosły, kątem oka dostrzegł jakiś drobny ruch w lesie na wschód od zamku. Obrócił się w tę stronę, akurat kiedy z jakiejś wysokiej gałęzi zsunął się płat sypkiego śniegu, lądując z miękkim *szump*. Przez tę białą chmurę Lucy dojrzał wychudzoną męską twarz, wyłaniającą się zza szerokiego dębu. Twarz ta patrzyła mu prosto w oczy, na co Lucy, zaniepokojony, aż się wyprostował na swoim kuferku. Zza innego drzewa wyłoniła się kolejna twarz, podobnie wychudła, i Lucy zerwał się na równe nogi. Wtedy zobaczył trzecią, a potem czwartą i naraz z zacienionego lasu wychynęła grupa jakichś dwunastu mężczyzn. Wszyscy trzymali bagnety i zbliżali się zwartym szeregiem; Lucy cofnął się o parę kroków, aż jego plecy przylgnęły do zimnych murów zamczyska.

WYRAŹNIE ASPIROWANO TU do jednolitości oddziału wojskowego, wszyscy mężczyźni odziani byli bowiem od stóp do głów w szarzielone wełniane stroje; każdy też miał czerwoną opaskę na przedramieniu i czarny szal przewiązany w pasie. Kiedy jednak podeszli bliżej, Lucy zorientował się, że krój i fason jest u każdego całkowicie odmienny; jeden bojownik miał na sobie długie pantalone, a kolejny pludry i wysokie trzewiki; jeszcze inny paradował w kołnierzu z owczej skóry, z ramion jego towarzysza zaś zwisała chusta. Nawet karabiny różniły się od siebie diametralnie, zwłaszcza długością bagnetów. Wyglądali, jakby każdy spreparował sobie mundur w domowym zaciszu, podług bardzo ogólnikowych dyrektyw estetycznych. Podobne do siebie były tylko ich nieogolone i znękanie oblicza.

Ci ponurzy, zawzięci mężczyźni wzbudzali w Lucym zrozumiałą poniekąd obawę, zdawało się bowiem całkiem prawdopodobne, iż lada chwila rzucą się na niego, a jego osoba dozna jakiegoś niewymownego uszczerbku. Lecz gdy byli tuż obok, stanęli tylko w miejscu, dysząc ciężko i przyglądając mu się, jak gdyby był częścią naturalnego krajobrazu. Choć ich wzrok spoczywał na nim, myśli zaprzętało im nie jego życie, lecz ich własne.

Jakaś postać wystąpiła teraz naprzód i ruszyła w jego stronę. Lucy pojął w lot, że ów mężczyzna różni się od reszty. Podczas gdy z opuchłych oczu pozostałych wyzierał rozpaczliwy głód, u niego ten sam niedostatek nabierał szlachetnych rysów, a z oczu biła inteligencja i wrodzona pewność siebie. W istocie był on również wyjątkowo przystojny i Lucy nie mógł wprost oderwać od niego wzroku. Mężczyzna podszedł bliżej. Minę miał surową, lecz kiedy przemówił, w jego głosie nie było wrogości; ton był raczej rzeczowy, jak gdyby absolutnie nie było czasu do stracenia.

– Jak ci na imię, chłopcze?

– Lucy.
– Lucy?
– W rzeczy samej takie noszę imię, proszę szanownego pana.
– Co to za pomysł z tymi kamieniami, Lucy?
– Staralem się trafić w dzwonek.
– Czemu?
– Radbym dostać się w progi zamku.
– A czemu?
– By móc rozpocząć służbę na posiadzie, którą mi powierzono. A także ponieważ przemarzłem do kości.
– Nie przypominam sobie, bym cię kiedyś widział. – Mężczyzna wskazał w dół, ku dolinie. – Pochodzisz z wioski?
– Nie, pochodzę z Bury.
– A cóż to takiego Bury?
– Takie miejsce, proszę pana. Z którego pochodzę.
Wyjątkowo Przystojny Mężczyzna zadumał się nad tym niczym ktoś, kto rozwiązuje w głowie równanie.
– Powiadasz zatem, żeś Lucy z Bury?
– Zgadza się.
– Nie masz czasu na takie afery, bo spieszysz do swojej kwatery?
– Tak.
– I przewiało ci nery?
– Myślę, że to się z grubsza zgadza, proszę pana.
Żołnierze krztusili się, by nie parsknąć śmiechem, także Wyjątkowo Przystojny Mężczyzna. Lucy zaś stał jak kołek, rozważając zagadkową naturę charyzmy. Gdyby dane mu było zmienić w sobie jedną jedyną rzecz, pragnąłby właśnie tego swoistego blasku, którym obdarzone są niektóre jednostki. U Wyjątkowo Przystojnego Mężczyzny cecha ta była bardzo wyraźna, a Lucy, rozpoznając jej naturę oraz będąc mimowolnym świadkiem jej efektów, uczył jednocześnie zawiść i podziw. Patrzył teraz, jak mężczyzna szepnął coś na ucho jednemu ze swoich podwładnych; ten skinął głową, wykonał lekki ukłon i pospieszył z powrotem w głąb lasu.

Wyjątkowo Przystojny Mężczyzna ponownie zwrócił się do Lucy'ego, lecz tym razem w jego głosie nie było ani śladu uprzedniej figlarności:

- Masz może coś do jedzenia?
- Nie.
- Jakiegoś herbatnika? Kawałek sera?
- Nic a nic, proszę pana.
- A jakieś pieniądze?
- Dysponuję bardzo niewielką sumą.
- Możemy prosić?
- Ależ, drogi panie, to wszystko, co mam.

Wyjątkowo Przystojny Mężczyzna podszedł parę kroków bliżej, dłonie zaciskając na rękojeści bagnetu, a jego ton był teraz bezbarwny, wyprany z emocji.

- Słuchaj no, Lucy z Bury, możemy prosić o te pieniądze czy nie?

Lucy oddał mu sakiewkę z monetami, a Wyjątkowo Przystojny Mężczyzna wysypał zawartość na dłoń.

- Tylko tyle masz?
- Tak.
- Tylko tyle masz na całym bożym świecie?
- Tak.

Wyjątkowo Przystojny Mężczyzna włożył monety z powrotem do sakiewki, po czym upchał ją w kieszeń płaszcza; minę miał przy tym naburmuszoną. Niewypłacalność Lucy'ego potraktował najwyraźniej jako osobisty afront. Nastąpiła kłopotliwa cisza, którą Lucy starał się przełamać jakimś konwersacyjnym gambitem, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Wtem zjawił się wojak, którego wcześniej wysłano na zwiady, i oto szeptał coś Wyjątkowo Przystojnemu Mężczyźnie do ucha. Ów odebrał raport, a następnie zwrócił się do pozostałych, którzy stali na baczność, gotowi wysłuchać rozkazów.

– Słuchajcie, wracamy do bazy. Żadnych postojów po drodze. Głowę dałbym sobie uciąć, że psubraty coś szykują, tak że pilnujmy się. To jak, panowie? Damy radę? Hip, hip...?

– Hurra! – odwrzasnęli chórem żołnierze, tak gromko i rzeźwo, że Lucy nie zdążył się jeszcze otrząsnąć, a oddział z przywódcą zamykającym pochód już się oddalał, równie niespodziewanie, jak się pojawił.

Tuż za węglem zamkowych murów mężczyzna przystanął, jakby dręczony jakimiś wątpliwościami. Odwróciwszy się, wymierzył karabin w Lucy'ego; minę miał przy tym iście kamienną, toteż Lucy znów począł się obawiać o swoje bezpieczeństwo. Nic mu jednak nie groziło, bo oto lufa powędrowała w górę, potem jeszcze wyżej i wreszcie Wyjątkowo Przystojny Mężczyzna wycelował i strzelił. Kula odbiła się od hełmu dzwonka i w powietrzu rozszedł się metaliczny brzęk, który mieszał się teraz z echem wystrzału. Ponieważ ustrojstwo znajdowało się dokładnie nad Lucym, dźwięk ten zdawał się kreślić wokół niego jakieś namacalne ramy, budować rozedrganą przestrzeń. Spoglądając ku górze, Lucy śledził leniwy, rozkołysany ruch dzwonka. Kiedy znów spojrzął przed siebie, Wyjątkowo Przystojnego Mężczyzny już nie było.

PO PARU MINUTACH z drugiej strony wrót zabręczczała zasuwa. Odrzwia drgnęły o centymetr, potem o kolejny, najwyraźniej z ogromnym trudem. Choć Lucy nie był w stanie dostrzec osoby, której zawdzięczał te wysiłki, z czarnej szczeliny dobiegł go wątyły szept:

– Kto tam?

– Lucien Minor, proszę pana.

– Kto taki?

– Lucy. Melduję się, by objąć posadę pod zwierzchnictwem pana Olderglough. Czy to z nim mam przyjemność?

– Mmmm – odpowiedział głos, jakby bez przekonania.

– Bardzo mi miło pana poznać. Jestem ogromnie wdzięczny, że był pan łaskaw zaoferować mi to stanowisko. Spieszno mi podjąć związane z nim obowiązki i sędzę, że nie pożałuje pan tej...

W oddali rozległ się huk wystrzału karabinowego. Dźwięk był drobny, jak gdyby wygłuszony wata; Lucy'ego zastanowiła całkowita nieprzystawalność tego fikuśnego odgłosu do rzeczywistej siły pędzącej kuli. Kolejny łoskot, potem pauza; i nagle rwące *crescendo* wystrzałów, jakby ktoś rozsypał garść pinezek na drewnianą podłogę. Wtem Lucy zdał sobie sprawę, że nie ma czucia w stopach, żołądek zaś wydał mu się przepastny jak nigdy, ogołocony z ostatnich zapasów.

– Drogi panie, czy mógłbym wejść?

Głos udzielił jakiejś odpowiedzi, ale Lucy nie dosłyszał.

– Co proszę? – spytał.

Szept wezbrał w piskliwy wrzask:

– Pchnijże, kurwa, drzwi!

Oddać należy Lucy'emu, iż po otrzymaniu tej dyrektywy dość rychło doszedł do siebie i jął ze wszystkich sił napierać na masywne wrota; te zaś, po chwili wahania, poczęły miarowo ustępować.

II

PAN OLDERGLOUGH

PAN OLDERGLOUGH STAŁ w ledwie oświetlonym westybulu. Był to kościsty, acz wytworny mężczyzna koło sześćdziesiątki, odziany w liberię z czarnego aksamitu. Siwa czupryna sprawiała wrażenie nieuczesanej lub też uczesanej nieskutecznie; sprężysty lok wił się nad brwią i oczami, przydając mu zawadiackiej aury. Prawa ręka wisiała na temblaku: palce były zagięte jak szpony, paznokcie poczerniałe, kłykcie zaś usiane strupami i żółto-niebieskimi sińcami. Skinąwszy głową w ukłonie tak nikłym, że niemal do ukłonu niepodobnym, jegomość ów ozwał się w te słowa:

– Wybacz mi, młodzieńcze, moje grubiaństwo sprzed paru chwil. Zbudziłem się w parszywym nastroju i od tamtej pory zmagam się z przeciwnościami losu.

– Przykro mi to słyszeć, proszę pana.

– Ot, miałem upiorny sen. – Pan Olderglough pochylił się ku Lucy’emu. – Węgorze.

– Węgorze?

– Ano, śniły mi się węgorze.

Mężczyzna nie doprecyzował jednak swej wypowiedzi, toteż szczegółowy charakter zagrożenia ze strony tych stworzeń pozostał dla Lucy’ego tajemnicą. Ten zaś nie dopytywał, albowiem po prawdzie wolał nie wiedzieć. Gdy już oczy przywykły do mroku, strój pana Olderglough, zrazu tak królewski, wydał się Lucy’emu dość niechlujny – guziki były nie do pary, a na klapach, niczym obrazki, świeciły plamy. Lucy uznał, że ma do czynienia z estetą, któremu od jakiegoś czasu gorzej się powodzi. Wskazując temblak, spytał:

– Miał pan jakiś wypadek?

Pan Olderglough popatrzył na unieruchomioną rękę, a na jego twarzy odmalował się (tak w każdym razie sądził Lucy) wyraz ubolewania.

– Wypadek to to nie był – odrzekł, po czym położył lewą dłoń na chorej prawicy i począł koić jej cierpienia łagodnym głaskaniem. Wzbudziło to w Lucym trudny do opisanego wstręt. Tymczasem pan Olderglough ocknął się z zamyślenia i zaproponował, że oprowadzi Lucy'ego po posiadłości; nim ów zdążył się do tej propozycji ustosunkować, mężczyzna już podreptał chwiejnym krokiem w głąb mroczniejszego korytarza. Lucy ruszył za nim; nie żeby miał na to jakąś szczególną ochotę, ale nic innego nie przychodziło mu do głowy, wizja pozostania samemu w ciemnym, zatęchłym westybulu wydała mu się zaś bardzo nieatrakcyjna. Powietrze stało tu w miejscu, lecz temperatura zdawała się nie odbiegać znacząco od tej, która panowała na zewnątrz, toteż Lucy nie rozpiął płaszcza.

PAN OLDERGLOUGH NIE BYŁ entuzjastycznym przewodnikiem.

– Tutaj mamy pomieszczenie – rzucił, wskazując mijaną właśnie komnatę. – Niezbyt się obecnie przydaje. Lepiej, jak sądzę, w ogóle tam nie wchodzić. A tutaj, o, tu też jest pomieszczenie, zwykłe pomieszczenie, całkowicie bezużyteczne.

Okazało się, że bezużyteczna jest większość zamkowych wnętrz. Majątek zasadniczo popadł w ruinę: meble przykryto płótnem, w oknach zaciągnięto ciężkie welwetowe story, a w kątach i pod drzwiami uzbierały się kłębki kurzu. Wszystkie kominki, które mijali, sprawiały wrażenie od dawna nieużywanych, toteż Lucy spytał:

– Czy nigdy nie pali się tu w piecu?

– Nie powiedziałbym, że nigdy. Przyznaję jednak, że to nieczęste. A tu pomieszczenie.

– Czy można zatem spytać – ciągnął Lucy – w jakich okolicznościach do tego dochodzi? – Im dalej bowiem zapuszczali się w trzewia zamku, tym niższa panowała tam temperatura, a i światło stawało się coraz bledsze.

– Osobiście stronię od ognia – odparł pan Olderglough. – Odnoszę wrażenie, że kiedy rozpalam w piecu, to niczego prócz rozpalenia w piecu nie udaje mi się osiągnąć. Czytanie przy kominku to, przynajmniej jeśli o mnie idzie, kompletna farsa. Co pół strony muszę odkładać książkę, żeby podsycić ogień! I to ma być wieczorny odpoczynek? Serdecznie dziękuję. – Pan Olderglough zmierzył Lucy’ego wzrokiem. – Chyba nie jest ci zimno, hę?

– No, ciepło mi nie jest, proszę pana.

– Cóż, jeśli chcesz sobie palić w piecu, to droga wolna. Ale szc zap sam sobie będziesz musiał nazbierać, bo nasze wątle zapasy w całości trafiają do kuchennego pieca.

– Ależ oczywiście, rozumiem. Bardzo panu dziękuję.

– No dobrze, chłopcze. A teraz proszę za mną. – Wkroczyli do ogromnej, wysoko sklepionej sali balowej, gdzie wisiały niezliczone obrazy olejne w ozdobnych ramach. Sportretowane na nich osoby łączył pewien monarszy rys, albowiem byli to, jak słusznie przypuszczał Lucy, baronowie i baronowe z zamierzchłych czasów. Pan Olderglough zrobił parę kroków naprzód, a gdy już znalazł się na samym środku sali, obrócił się na pięcie, by stanąć przodem do Lucy’ego; kiedy przemówił, jego słowa nadwątlilo echo. – Jeszcze jedno pomieszczenie – powiedział. – Do tego bardzo duże i bardzo puste, nieprawdaż?

– Rzeczywiście duże i puste, proszę pana.

– W tej obskurnej komnacie królowały niegdyś muzyka i taniec, radość i śmiech. A dziś? Cicho jak w mogile.

Lucy istotnie czuł się w tej sali nieswojo; miał niejasne wrażenie, że dochodziło tu onegdaj do bezbożnych czynów.

– Co się zatem stało z tymi wszystkimi ludźmi, proszę pana?

– Baronowa nas opuściła. Od tego zaczął się nasz Schyłek.

– Ma pan na myśli to, że umarła?

– Bynajmniej. Mam na myśli to, że wyjechała, nie wróciła i najpewniej już nie wróci. A jednak jej wyjazd był dla nas niczym śmierć, jeśli wolno mi uderzyć w melodramatyczne tony.

– Proszę się nie krępować.

– Dziękuję ci, łaskawco.

– Nie ma za co.

– Tak... Minął niemal rok od jej wyjazdu, ale nie ma dnia, żebym nie ubolewał nad jej nieobecnością.

– Był z nią pan blisko?

– Na tyle, na ile ktoś na moim stanowisku może być blisko z baronową. Czyniła mi najróżniejsze uprzejmości; wiele osób jej formatu nie zaprzętałoby sobie tym głowy. – Pan Olderglough skinął na Lucy’ego, po czym zatrzymał się przed portretem jakiejś łabędziej piękności odzianej w błękitną jedwabną suknię z koronką. Była to baronowa von Aux. – Światelko w ciemnicy – powiedział pan Olderglough.

– Wygląda na wystraszoną.

– To prawda. A jednak potrafiła też odznaczyć się nieprzeciętną odwagą.

Lucy spytał:

– Mógłby mi pan powiedzieć, gdzie obecnie przebywa baron?

– Baron chadza, gdzie się baronowi podoba. Zazwyczaj jednak nie podoba mu się nigdzie.

– Chciałbym mu osobiście podziękować za przyjęcie mnie na tę posiadłość.

– Baron nie ma pojęcia ani o tobie, ani o twojej posiadłości. W istocie nie interesuje go ani trochę, jak my tu w zamku funkcjonujemy. Przez sześć dni w tygodniu nie wyściubia nosa ze swojej komnaty; w sumie to przez siedem.

– Ale co on tam właściwie robi?

– Nie zdziwiłbym się, gdyby jakąś część tego czasu poświęcał na rozpamiętywanie. Ale tym akurat nie musisz się kłopotać; miną miesiące, nim go ujrzysz, jeśli w ogóle.

– Wstrzymam się więc z podziękowaniami aż do tego czasu.

Pan Olderglough potrząsnął mocno głową.

– Chłopcze, ty chyba nie pojmujesz, co do ciebie mówię. Jeśli zobaczysz barona, to z nim nie rozmawiaj. Właściwie to staraj się jak możesz, żeby go w ogóle nie zobaczyć. A raczej, żeby on ciebie nie zobaczył.

Lucy spytał:

– Czy chce mi pan powiedzieć, że nie powinno mnie tu być?

– Tutaj nikogo nie powinno być. – Ciałem pana Olderglough wstrząsnął dreszcz. Mężczyzna zwrócił się do Lucy'ego: – Przechodzą cię czasem, chłopcze, takie ciarki?

– Każdego niekiedy przejmie chłód, proszę pana. Podejrzewam, że można by temu zaradzić, rozpalając w piecu.

– Ach nie, obawiam się jednak, że to coś innego. – Pan Olderglough wskazał drzwi. – No. To idziemy dalej – rzucił, opuszczając salę balową, przy czym krok jego należałoby określić jako śpieszny.

ZNÓW PODJĘLI WĘDRÓWKĘ ciemnym korytarzem. Rytm wystukiwany przez ich obcasy był zrazu jednolity, lecz wkrótce się rozprzągł.

– No ale twoja podróż, Lucy?

– Cóż z nią, proszę pana?

– Opowiesz mi co nieco?

– Obawiam się, że nie ma zanedo o czym opowiadać. W pociągu spotkałem dwóch mieszkańców wioski.

– O? I jakie masz o nich zdanie?

– Szczerze mówiąc, wydali mi się cośkolwiek osobliwi. Śmiem przypuszczać, że jeden z nich ukradł mi fajkę.

– Oho, chyba miałeś do czynienia z Memelem – rzekł pan Olderglough rozbawionym tonem, w którym zdawała się też czaić kpina. Lucy spytał:

– Nie ma pan o nim dobrego zdania?

– Moje zdanie jest tu bez znaczenia. Ludzie z wioski są jak dzieci, a dzieci to czasem niebezpieczne istoty, gdyż w sercu nie mają Boga. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Niezupełnie, proszę pana.

– Skoro naszym czynom nie towarzyszą żadne konsekwencje, cóż miałyby skłaniać nas, byśmy zachowywali się porządnie wobec drugiego człowieka?

Lucy nie był pewien, czy pan Olderglough oczekuje odpowiedzi. Tak czy inaczej, nie miał pojęcia, jak owa odpowiedź mogłaby brzmieć, lecz jego rozmówca najwyraźniej nie zamierzał drążyć tego tematu. Niczym chmura słońce, ich rozmowę przesłoniła na pewien czas cisza, a Lucy ze zdziwieniem odkrył, że gotów jest stanąć w obronie Memela. Było to o tyle kuriozalne, że nic właściwie o tym osobniku nie wiedział, a na domiar złego dopiero co padł jego ofiarą. Lucy dumał nad tą zagadką, maszerując w ślad za panem Olderglough. Zeszli schodami na niższą kondygnację,

a teraz kolejne prowadziły ich jeszcze niżej; powietrze było tu gęste jak nad jakimś bagniskiem. Lucy nie mógł uwierzyć, że odtąd ta ponura posiadłość będzie jego domem; ciekaw przyszłego losu, postanowił wywiedzieć się o zakres swoich obowiązków.

– Spytać łatwo, trudniej odpowiedzieć – odparł pan Olderglough. – Dni na zamku różnią się bowiem od siebie, a więc różne są także nasze potrzeby. Ogólnie rzecz biorąc, mniemam, iż liczba obowiązków wyda ci się niewielka, zaś ilość wolnego czasu pokaźna. Wówczas jednak rodzi się pytanie: co z tym czasem zrobić? Zdarzało mi się dojść do wniosku, że to najtrudniejszy aspekt tej posady; może i nawet najtrudniejszy aspekt życia ludzkiego. Nie sądzisz, chłopcze?

– Być może ma pan szanowny rację.

– Z pewnością ją mam. Często przychodzi mi zmierzyć się z perspektywą wolnego popołudnia czy wieczoru, kiedy nic a nic nie mam do roboty, i wyobraż sobie, że wzbudza to we mnie coś na kształt paniki. – Pan Olderglough westchnął. – No ale, ale: najprościej rzecz ujmując, masz przede wszystkim wyprzedzać moje życzenia oraz dbać o to, by były spełniane. Twój poprzednik miał w tym względzie niezwykle dar.

– Pan Broom?

W spojrzenie pana Olderglough wkradł się jakiś chłód.

– Skąd znasz to nazwisko?

– Memel mi powiedział.

– I co jeszcze ci powiedział, jeśli łaska?

– Nic więcej.

– Nic zupełnie?

– Nic szczególnego. Wyjaśni mi pan, co się przytrafiło panu Broomowi?

– Może kiedy indziej.

– A mogę spytać, gdzie on się obecnie znajduje?

– Kiedy indziej, chłopcze.

Gdzieś ze zbocza góry dobiegł ich kolejny grzmot karabinowej salwy. Siłac się na całkowicie neutralny ton, Lucy spytał:

– A tamci ludzie z bagnetami, proszę pana, to kto?

Pan Olderglough jął tedy z zaciekawieniem studiować sufit, jak gdyby dało się tam wyczytać jakąś odpowiedź.

– Ludzie z bagnetami? – powtórzył.

– Biegli do lasu. Mieli chyba strzelać do kogoś albo ktoś do nich.

– Ach, ci! – Pan Olderglough lekceważąco zatrzepotał zwichniętym skrzydłem. – Są nieszkodliwi. Robią dużo hałasu i tyle. Polecam mój sposób: nie zwracać na nich uwagi.

Lucy’ego naturalnie taka odpowiedź nie usatysfakcjonowała.

– A z kim oni walczą, jeśli wolno spytać?

– Z innymi ludźmi. – Pan Olderglough wzruszył ramionami. – Podobnymi do nich.

– A czy wie pan, o co walczą?

– No a o co ludzie zwykle walczą, chłopcze?

Lucy poczuł się zbity z tropu. Choć miał wrażenie, że jego pytania i komentarze drażnią pana Olderglough, nie mógł się powstrzymać przed dodaniem:

– Żałuję, że mnie wcześniej o tym nie poinformowano.

– Doprawdy? A czemuż to?

– Proszę pana, tam za murami zamku toczy się wojna.

Pan Olderglough przewrócił oczami.

– Zaraz wojna – powiedział.

– Kule tam, proszę pana, świszczą.

– To jeszcze nie znaczy, że jest wojna. Wojna to, proszę ciebie, przedsięwzięcie na znacznie większą skalę, przy którym to są zaledwie igraszki. – Mężczyzna zastanowił się chwilę. – Chyba nie sądzisz, że do ciebie będą strzelać?

– Mam wielką nadzieję, że nie będą.

– Jasne, że nie będą. Bo niby czemu? Do takiego sympatycznego młodzieńca? – Pan Olderglough wyciągnął dłoń i uszczypnął go mocno w policzek.

Lucy’emu zdało się, że palce tego człowieka są z drewna. „Strasznie długi ten korytarz” – pomyślał.

GDY JUŻ ZNALEŻLI SIĘ na przeciwległym krańcu zamczyska, pan Olderglough poprowadził Lucy'ego z powrotem w kierunku, z którego przyszli. Tym razem droga wiodła przez inny labirynt korytarzy, równie krętych i nieprzyjemnych jak tamte. Pan Olderglough oznajmił, że w następnej kolejności zwiedzą kuchnię, a po drodze kontynuował objaśnienia.

– Wstawać będziesz o w pół do szóstej rano, by na szóstą przynieść mi herbatę. Tacka będzie już czekała w kuchni; wszystko zawczasu przygotuje Agnes, którą niebawem poznasz i która niechybnie zyska twój podziw, albowiem jest to kobieta pod każdym niemal względem podziwu godna, ty zaś, jak się zdaje, głowę masz nie od parady, a zatem potrafisz ziarno oddzielić od plew.

– Mniemam, iż tak właśnie jest, i dziękuję szanownemu panu.

– Proszę bardzo. Herbaty będę zażywał w łóżku, toteż musisz być gotów oglądać mnie w bieliźnie nocnej. Nadmienię, że nie jest to ubiór szczególnie gorszący; mimo to jednak uznałem za stosowne przestrzec cię zawczasu.

– Nie stanowi to dla mnie problemu, proszę pana.

– Znakomicie. Zatem: będę cię prosił, byś dostarczył mi tacę dokładnie tak, jak ją zastaniesz. Chodzi mianowicie o to, byś nie nalewał herbaty z imbryka do filiżanki ani też nie dodawał do niej śmietanki czy cukru, ponieważ te drobne czynności wolę wykonywać na własną modłę, a także podług osobistych gustów, które nikomu z wyjątkiem mnie samego nie są znane.

– Pojmuję.

– Albowiem z upływem czasu trywialne osiągnięcia kumulują się, przeistaczając w efekcie w coś istotnego; czy wiesz, co mam na myśli, chłopcze?

- Odnoszę wrażenie, że jednak nie wiem, proszę pana.
- Nie mam zamiaru beczynnie się przyglądać, jak podaje mi się filiżankę niedoskonałej herbaty.
- Bynajmniej.
- Kompromis to właściwie zaraza, zgodzisz się? Tak czy nie?
- Nie wydaje mi się, bym się nad tym do tej pory zastanawiał, proszę pana.
- Człowiek pozwala, by podawano mu filiżankę pośledniej herbaty, wmawiając sobie, że to drobnostka niewarta zachodu. I do czego to prowadzi? Nadążasz?
- Poniekąd, proszę pana.
- Doskonale. A więc: gdy już się posiłę, wrócisz do kuchni, gdzie będzie na ciebie czekać twoje śniadanie. Nie zapomnij pochwalić stawy przyrządzonej przez Agnes, nawet gdyby nie było ku temu żadnych podstaw.
- Rozumiem.
- Ponieważ żadnych podstaw ku temu nie będzie.
- Rozumiem.
- Nie umrzesz tu z głodu, chłopcze, ale tuszy również nie nabierzesz.
- Ach tak.
- Kiedy już spożyjesz posiłek, Agnes najpewniej pošle cię do wioski po zaopatrzenie na dany dzień. Czy potrafisz radzić sobie na targowisku?
- Tego nie mogę powiedzieć, proszę pana.
- A świeże warzywo odróżnić od nieświeżego umiesz?
- To z pewnością umiem.
- Albowiem nam chodzi o warzywo w kwiecie wieku.
- Tak jest.
- Za młode się nie nada. Za stare tym bardziej!
- Przebiorę więc warzywa, by znaleźć te najświeższe.
- I o to właśnie chodzi. A teraz powiedz mi, łaskawco, co wiesz o targowaniu się.
- Wiem, że coś takiego istnieje.
- Czyś jednak sam się kiedykolwiek targował?

- Nie, proszę pana.
- Druga strona poda wysoką cenę, lecz tobie nie wolno jej zapłacić – wyjaśnił pan Olderglough.
- Nie wolno.
- Musisz zapłacić niższą cenę.
- I na tym właśnie polega targowanie się.
- W rzeczy samej. No dobrze. A co z mięsem?
- Z mięsem, proszę pana?
- Czy zdarzało ci się je nabywać?
- Nie zdarzało mi się, proszę pana.
- Będziesz musiał mieć baczenie na szczwanego rzeźnika.
- Czy jest w istocie szczwany?
- Czy jest szczwany?! Z uśmiechem sprzeda ci kilo chrząstek i nawet mu powieka nie drgnie, a jak będzie wracał do domu, to jeszcze sobie wesoło zanuci.
- Już ja mu się przyjrzę, proszę pana.
- Jeśli przyniesiesz Agnes chrząstki, skończy się to dla ciebie marnie.
- Nie zrobię tego.
- A zatem wszystko jest w jak najlepszym porządku. – Pan Olderglough uśmiechnął się do Lucy’ego. – Całkiem nieźle się układa, nieprawdaż? Ta nasza współpraca?
- Mam nadzieję, proszę pana.
- Zdecydowanie na to wygląda, jeśli chcesz znać moje zdanie.
- To świetnie, że pan tak sądzi.
- W istocie. I proszę, oto i kuchnia. Sprawdźmy więc, czy gdzieś tu nie krząta się nasza dama.

Kuchnia odstawała od reszty zamkowych pomieszczeń, gdyż była uporządkowana, czysta i dobrze oświetlona: płonęło tu wiele świec, światło dzienne wpadało przez rząd niskich okien w ścianie wychodzącej na wschód, a w małym palenisku w samym kącie trzaskał wesoło skromny ogienek. Ponieważ ciepło biło także od pieca, lokum to było najcieplejszym ze wszystkich, które Lucy do tej pory odwiedził, toteż przystanął na chwilę, by ogrzać kości. Agnes nie było nigdzie widać. Pan Olderglough stał

z zamkniętymi oczami, kiwając się lekko i szczerząc zęby w uśmiechu, jak gdyby roztkliwiło go jakieś błogie wspomnienie.

– Czy wszystko w porządku, proszę pana? – spytał Lucy.

Pan Olderglough otworzył oczy.

– Wyobraź sobie, chłopcze, iż onegdaj zatrudnialiśmy tu dwadzieścia dusz. Mieliśmy stangretów, odźwiernych, dwórki, kucharkę, pielęgniarkę... A dziś, cóż, ani śladu po nich.

– Czy źle zrozumiałem, że Agnes jest kucharką, proszę pana?

– Z początku była służącą. Lecz kiedy zabrakło nam kucharki, Agnes wysunęła swoją kandydaturę, deklarując niemałą zręczność w tej dziedzinie.

– Odniosłem jednak wrażenie, być może mylne, iż ma pan niejake zastrzeżenia do jej kunsztu kulinarnego.

– Jej samej nic o mych zastrzeżeniach nie wiadomo. Prywatnie jednak przyznam, że nie jestem szczególnym entuzjastą jej kuchni.

– Czemu więc, jeśli wolno spytać, nie podniesie pan tego tematu w jej obecności?

– Ponieważ nie lubię nieprzyjemnych sytuacji. Nie bez znaczenia pozostaje również fakt, iż odrobinę się jej obawiam. Ponadto muszę przyznać, że nie bardzo interesuje mnie jedzenie. – Tu rozmówca łypnął na Lucy'ego. – A ciebie?

– Lubię zjeść – odparł Lucy.

– Coś podobnego? – Pan Olderglough potrząsał głową, jak gdyby starając się objąć umysłem tę ekscentryczność. – Osobiście nigdy nie rozumiałem, co takiego ludzie widzą w jedzeniu.

– A mogę spytać, co się stało z tą całą służbą?

– Wzięli i sobie poszli. Nie widać?

– Ale dlaczego, proszę pana?

– Uznali zapewne, iż jest to najrozsądniejsze rozwiązanie, ot co. – Pan Olderglough rozejrzał się tęsknie po wszystkich kątach. – Dwadzieścia dusz – dodał. – I co z nas zostało? No ale dziś ty dołączyłeś do naszego grona, chłopcze, a to jest krzepiąca myśl; tyle ci mogę powiedzieć.

Lucy'emu owa myśl nie wydała się zanadto krzepiąca. Ruszył za panem Olderglough do spiżarni; półki były niemal puste. Gdzieś z kąta dobiegły ich odgłosy skrobania, które wnet przerodziło się w zgiełk walczących gryzoni. Po dłuższej chwili szamotaninę zwieńczył bolesny pisk pokonanego, zrazu wysoki i ostry, lecz w ostatniej fazie cichy i słabutki. Mina pana Olderglough zdradzała zadowolenie, jak gdyby rezultat był po jego myśli. Odsunąwszy z czoła opadający kaskadą lok, oznajmił:

– Mnie się to ciągle podtrzymywanie ciała przy życiu wydaje nadzwyczaj męczące. A tobie?

LUCY WSPINAŁ SIĘ W ŚLAD ZA PANEM Olderglough po ciasnych, spiralnych schodach, których naczelną, oszałamiającą wręcz cechą była niepraktyczność, choć należy zaznaczyć, iż były także niezmiernie długie, duszne i, ogólnie rzecz biorąc, nieprzyjemne. Minęli półpiętro z tarcicową ławką o pękatych nóżkach, którą pan Olderglough na przywitanie kopnął leciutko czubkiem buta. U szczytu schodów znajdował się pokój Lucy'ego; była to klitka ze skośnym sufitem i okienkiem pośrodku osamotnionej ściany zewnętrznej. Na wyposażenie składały się komoda z dwiema szufladami, fotel na biegunach, skromne łóżko i brzuchaty piecyk, wciśnięty w sam kąt. Lucy położył kuferek na łóżku i odpiął klamrę. Pan Olderglough odezwał się tuż zza jego pleców:

– Zapewne jesteś bardzo zmęczony podróżą.

– Zapewne tak – odparł Lucy, przyglądając się swemu dobytkowi. Oto miał przed sobą wszystkie przedmioty, których był właścicielem. Zbiór ów nie wydał mu się specjalnie imponujący (bo też w istocie taki nie był).

Pan Olderglough stwierdził:

– Możesz zatem odpocząć albo i nie, wedle życzenia. W każdym razie resztę dnia masz dla siebie. Obowiązki zaczniesz oficjalnie pełnić od jutra. Czy taki układ ci odpowiada? No to wyśmienicie. Życzę ci zatem, chłopcze, dobrego dnia.

– Dziękuję panu. I wzajemnie.

Pan Olderglough wyszedł, zamykając za sobą drzwi, a Lucy usiadł na łóżku. Drzwi natychmiast znów się otworzyły i stanął w nich pan Olderglough, toteż Lucy powstał.

– Zapomniałem o listach.

– O listach, proszę pana?

– Tak jest, o listach. Baron prowadzi ożywioną korespondencję z baronową, która przebywa obecnie, jak się zdaje, czy też raczej jak się

zdaje baronowi, w jednej z dalekowschodnich prowincji. Każdego ranka na stoliku w westybulu znajdziesz zapieczętowaną kopertę, którą osobiście zaniesiesz na stację. Tam zaczekasz na pociąg z dziewiątej. Pociąg nie zatrzyma się na peronie, więc list należy przekazać bezpośrednio maszyniście. Zrobić to trzeba w następujący sposób. – Tu pan Olderglough podniósł zdrową rękę wysoko nad głowę.

– Mam rozumieć, że maszynista przechwyci list z mojej ręki? – spytał Lucy.

– W rzeczy samej. Zdaję sobie sprawę, iż metoda ta jest niekonwencjonalna, ale pozostawiono nas tu samych sobie i musimy radzić sobie tak, jak umiemy. – Pan Olderglough podrapał się po brodzie. – Z twego spojrzenia wnioskuję, że chcesz mi zadać jakieś pytanie.

– Tak – powiedział Lucy. – Zastanawiam się, jak do tego doszło, że pocztę wysyła się w taki sposób.

– Cóż, osobiście wręczyłem maszyniście łapówkę – odparł pan Olderglough. – A konkretniej rzecz ujmując, wręczam mu ją wciąż od nowa. Być może brzmi to nieprzystojnie, ale są to tak naprawdę nędzne grosze, no i jeśli mam być szczerzy, to czynność ta dostarcza mi dreszczyku emocji. Krztyna przestępstwa i już krew szybciej pulsuje: ale ode mnie tego, chłopcze, nie słyszałeś! Znow mam wrażenie, że pragniesz mnie o coś spytać.

Lucy przytaknął.

– Tak jest, a mianowicie o maszynistę. Czy on również będzie miał dla mnie listy?

– Nie. Korespondencja barona jest z gatunku jednostronnych.

Lucy zadumał się nad definicją tego słowa.

– Przyznam, że nie byłem świadom istnienia takiego gatunku – stwierdził.

Usta pana Olderglough zacisnęły się, jakby w reakcji na uszczypliwość.

– Czy to miała być komiczna uwaga? – spytał.

– Nie było to moją intencją, proszę pana.

– Mam nadzieję, Lucy. Ponieważ ja żartów nie uznaję. Śmiech to, moim zdaniem, najpodlejszy dźwięk, jaki ciało ludzkie może z siebie wydobyć.

A czy ty się często śmiejesz, łaskawco?

– Rzadko.

– Jak rzadko?

– Bardzo rzadko, proszę pana. Nawet niezwykle rzadko.

– To dobrze – powiedział pan Olderglough. – Dobrze. A więc: te listy, o których ci mówiłem, to dla barona sprawa największej wagi, toteż odnosić się do nich należy z ogromnym szacunkiem i całkowitą dyskrecją. Jednym słowem: nie zaglądać!

– Gdzieżbym śmiał, proszę pana.

– Będzie cię kusilo.

– To bez znaczenia.

– A jeśli któregoś dnia faktycznie zdarzy się, że maszynista będzie miał dla ciebie list, sprawę należy potraktować niezwykle poważnie. Nie podejrzewam, by to się kiedykolwiek miało zdarzyć. Właściwie mogę stwierdzić z dużą dozą pewności, że nie wydarzy się to nigdy. Mimo to jednak zostałeś poinstruowany i na tę okoliczność. Dobrze mówię?

– Tak jest, proszę pana. Czuję się poinstruowany.

Pan Olderglough zerknął ukradkiem na zawartość kuferka.

– A gdzie masz, chłopcze, strój dzienny?

– Nie posiadam takowego, proszę pana.

– Co... co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę przez to powiedzieć, że nie jestem w posiadaniu stroju dziennego, proszę pana.

– No dobrze, a jak przedstawia się kwestia stroju wieczorowego?

– Oto mój strój w całej swej okazałości – rzekł Lucy, wskazując swój znoszony komplet.

Pan Olderglough lustrował wskazane ubrania z niekłamanym oburzeniem.

– Czy nie przyszło ci do głowy – spytał, wlepiając posępny wzrok w baranicę Lucy’ego – że będzie się od ciebie oczekiwać, byś ubrał się stosownie do swej posady?

Lucy zastanowił się przez chwilę.

– Skłamałbym, tłumacząc się ignorancją w zakresie ubioru właściwego osobom piastującym takie posady jak ta – przyznał. – Najwyraźniej jednak przyjąłem, że jeśli taki strój okaże się konieczny, to wyposaży mnie w niego pracodawca.

– Ach tak. A kto podsunął ci ten pomysł, jeśli wolno spytać?

– Nikt, proszę pana. Sam do tego doszedłem.

– Zuchwała koncepcja.

– Nie miałem zamiaru zachować się zuchwale.

– A jednak tak właśnie się stało.

– Najmocniej przepraszam, jeśli pana uraziłem.

– Nieco mnie zirytowałaś. Ale już mi przechodzi. – Pan Olderglough wyjrzał przez okno, a potem znów przeniósł wzrok na Lucy’ego. – Mówił ci już ktoś, że jesteś poniekąd sympatyczny?

– Nie przypominam sobie, proszę pana.

– Jesteś poniekąd sympatyczny.

– Bardzo mi miło to słyszeć.

– No tak. Cóż. Być może później uda nam się przedsięwziąć coś w sprawie twego ubioru, a do tego czasu musimy sobie jakoś radzić.

– Zgadzam się z panem w całej rozciągłości.

Z ruchów pana Olderglough można było wnioskować, że zamierza opuścić pokój, lecz gdy przekreślał klamkę, jej mechanizm przykuł jego uwagę bez reszty. Spostrzegłszy to, Lucy spytał:

– Czy z drzwiami coś nie tak, proszę pana?

Pan Olderglough milczał przez chwilę; kiedy wreszcie przemówił, uczynił to głosem ściszym niemal do szeptu.

– Powiedziałbyś, że sen masz zazwyczaj czujny?

– Sądzę, że tak właśnie jest, proszę pana.

– To dobrze. Jeśli wolno mi jeszcze o coś spytać: kłaść zwykłeś się wcześniej czy raczej późnym wieczorem?

– Rzekłbym, że różnie z tym bywa. Czy prawidłowo zakładam, że ma pan w tym względzie jakieś preferencje?

– Całkiem prawidłowo. W istocie poproszę cię nawet, po przyjacielsku, acz stanowczo, byś do swego pokoju wracał nie później niż o dziesiątej

wieczór oraz byś każdej nocy zamykał drzwi na klucz.

Lucy zastanawiał się, czy aby dobrze usłyszał.

– Powiedział pan, że życzy sobie, bym się w swoim pokoju zamykał na klucz?

– Tak.

– Czy to naprawdę konieczne?

– Tak.

– A czemu to konieczne, proszę pana?

– Hm – odparł pan Olderglough. – Winienesz zamknąć się w swoim pokoju, ponieważ cię o to poprosiłem, a jestem twoim przełożonym, zatem fakt, iż wykonasz moje polecenie, będzie tyleż korzystny dla ciebie, co przyjemny dla mnie.

Rozmówca Lucy'ego, rad wielce, że udało mu się tak zręcznie wyminąć postawione mu pytanie, stuknął obcasem o obcas i wyszedł, a Lucy jął rozpakowywać kuferek. W szufladzie komody znalazł ciężką mosiężną lunetę; wzdłuż jednego boku widniało wyryte nazwisko BROOM. Lucy domyślił się, że za pomocą tego przyrządu jego poprzednik śledził poczynania mieszkańców leżącej hen w dole wioski. Nowy lokator postanowił teraz uczynić to samo.

Kiedy Lucy zajrzał w oko lunety, natychmiast ukazała mu się wioska, barwna i ruchliwa. Mignął mu młody Mewe: wychodził właśnie ze swojej chaty, pełen werwy i determinacji, lecz nagle zatrzymał się jak wryty, z wyrazem zwątpienia na twarzy. Obrócił się na pięcie i zatrzasnął za sobą drzwi, by już więcej nie pojawić się na progu. Przed sąsiednią chatą, należącą do Memela, jej właściciel sprzeczał się z filigranową dziewczyną, której rysów Lucy nie był w stanie dostrzec, gdyż stała do niego plecami. Kiedy odeszła dumnym krokiem, Memel zawołał ją, lecz bez skutku. Patrząc za nią, uśmiechał się; najwyraźniej ich kłótnia nie była aż tak zaciekle, przynajmniej z perspektywy Memela. Gdy ów został sam przed swym domem, dobył z kieszeni fajkę i począł nabijać ją tytoniem. Lucy zupełnie zapomniał o tej kradzieży, lecz teraz postanowił odzyskać fajkę. Gdy już udało mu się wcisnąć kuferek pod łóżko, ruszył w dół po krętych jak korkociąg kamiennych schodach.

III

KLARA KUSICIELKA

MINĘŁA WŁAŚNIE SZÓSTA, kiedy Lucy zszedł spacerkiem z zamkowego wzgórza. Zimowe słońce skryło się już za górą, przez co wioskę przedwcześnie spowiła nocna aura. Mróz szczypał w uszy, więc Lucy naciągnął głębiej czapkę. Gdy mijał pozamykane stragany na targowisku, kilkoro dzieci zbiło się w ciasną grupkę i ruszyło niepewnie jego śladem, dziwując się jego wizycie. Podpatrywanie przybysza było dla nich wielką frajdą i choć przygoda tchnęła odrobinę grozą, dzieci wiedziały dobrze, jak to tylko dzieci umieją, że Lucy nie jest złym człowiekiem. Lecz kiedy się obrócił, by je zagadnąć, każde pierchło w swoją stronę, wrzeszcząc przy tym w euforii. Atencje te sprawiły, że Lucy oblał się rumieńcem, ale też rozpierała go radość, a nawet swego rodzaju duma, jak gdyby właśnie został oficjalnie przedstawiony.

Przechodząc obok chałupy Mewe'a, Lucy zauważył, że okno jest uchylone, więc zatrzymał się, by zerknąć do środka. Mewe usadowiony był przy nierównym stole, a w ręku trzymał wachlarz kart. Miał skruszoną minę gracza, którego właśnie przyłapano na oszustwie (co też nie odbiegało od prawdy). Po drugiej stronie zaś siedziała owa młoda kobieta, którą Lucy widział wcześniej. Była – należy to stwierdzić otwarcie – bardzo urodziwa; prawdę mówiąc, była wprost przepiękna.

Lucy uznał, że dziewczyna jest jego rówieśniczką, choć mogła również być nieco młodsza. Bujne brązowe włosy nosiła upięte w kok przypominający gniazdko, odsłaniając tym samym delikatny policzek, który przechodził w długą, filigranową szyję. Kontur jej twarzy odcinał się mocno na tle płomieni świec i Lucy nie mógł się w niej dopatrzeć żadnych skaz; każda linia, nawet najdrobniejsza, była tu na swoim miejscu, przeto dziewczę zdało mu się marmurową figurką, którą wyrzeźbiła pewna dłoń mistrza, pragnącego oddać w swym tworzywie ideał najczystszej piękna. Z urodą tą jawnie kontrastował stan zarzuconego na ramiona płaszcza:

przypominał on bowiem bezkształtny wór, którego mankiety były tak przetarte, że niemal prześwitywały. A jednak ona sama przedstawiała sobą tak cudny widok, że Lucy za żadne skarby nie odwróciłby od niej wzroku; ba! nie umiałby tego uczynić. Jej czarne oczy migotały w rozedrganym świetle płomieni, gdy besztala towarzysza zabawy:

- Ale czemu tak robisz, Mewe?
- Sam nie wiem. Swędzi, to muszę podrapać.
- Ale dla mnie to żadna zabawa, kiedy oszukujesz.
- Naprawdę?
- No bo niby dlaczego?
- Myślałem, że może ci się to podoba.
- I skąd ta myśl?
- Jest w tym w końcu pewna logika.
- A chciałbyś, żebym ci się odpłaciła tym samym?
- Właściwie to nie bardzo.

Wyrwała mu karty z dłoni i przetasowała całą talię.

- Nie dociera do ciebie, że nawet jeśli wygrasz, to i tak przegrasz?
- No tego to ja tam nie wiem – odparł Mewe.

Przerwała tasowanie.

- Przystaniesz oszukiwać? Tak czy nie?

Mewe starał się ukryć nietęgą minę.

- Spróbuję.

Kilkudniowy czarny szczeniak wgramolił się na stół i wyprężył grzbiet, ocierając się o glinianą wazę, która stała między chłopakiem a jego precudną towarzyszką. Kiedy waza się przewróciła, Mewe odstawił ją machinalnym gestem na miejsce i ściągnął szczeniaka ze stołu na swoje kolana. Dziewczyna rozdała karty i znów zaczęli grać, a Lucy odniósł wrażenie, że oto ożyło malowidło; scena miała bowiem pewien nieprzemijalny, ponadczasowy rys i niezwykłą siłę wyrazu, a Lucy, patrząc na nią, uczuł smutek wymieszany ze słodyczą. Czar prysł, kiedy Mewe dojrzał go zaczajonego przy oknie i powiedział:

- A, dzień dobry. – Dziewczyna obróciła się, by na niego spojrzeć, lecz kiedy ich oczy się spotkały, Lucy wpadł w popłoch i ze wstydu umknął

skulony pod drzwiami Memela; serce łomotało mu w gardle.

– Co to był za jeden? – dobiegł go głos dziewczyny.

– Ma na imię Lucy. Spotkaliśmy go w pociągu. Właśnie przyjechał na zamek, na miejsce pana Brooma.

Chwila ciszy.

– Sympatyczny?

– Na to wygląda. Ale kto go tam wie? A nuż to jakiś łotr, co się tu zaszył?

Zaśmiała się na to cichutko, po czym umilkła. Lucy usłyszał chrobot odsuwanego krzesła i po chwili już stała w oknie. Dzieliło ich zaledwie parę kroków, ale wokół panował taki mrok, że dziewczyna nie była świadoma tej bliskości. Coś ją zaprzętało, jakaś głęboka i – sądząc po minie – samotnicza myśl; wkrótce dziewczyna zamknęła okno i zaciągnęła storę, a Lucy jeszcze parę chwil sterczał na zaśnieżonym podwórku. Było mu głupio, a całym ciałem wstrząsały dreszcze.

Wreszcie odwrócił się ku drzwiom Memela i zapukał. Ów otworzył mu z psiakiem w dłoni; zwierzak też był czarny, ale miał białe skarpetki.

– Zabrał mi pan fajkę, prawda? – spytał Lucy.

– Owszem – odparł Memel.

– Czy może mi ją pan zatem zwrócić?

Memel zniknął we wnętrzu domu i po chwili wrócił z fajką i tytoniem.

– Dziękuję – rzekł Lucy.

– Nie ma za co. – Memel ruchem głowy wskazał zamek. – Jak ci się podoba?

– Całkiem.

– Co jadłeś na kolację?

– Nic.

– A głodnyś?

– Nie jestem pewien.

– To może się przekonamy?

Memel pociągnął go za sobą do wnętrza chałupy.

MEMELOWY SALON PRZYPOMINAŁ raczej norę jakiegoś zwierzęcia. Za podłogę służyło klepisko, a w powietrzu unosił się korzenny zapach przypraw. Ściany, sklecone z blachy w najrozmaitszych kolorach i różnych stadiach korozji, drżały od wiatru. Mimo to jednak pomieszczenia nie dało się nazwać nieprzytulnym: nad paleniskiem wisiał miedziany kocioł, którego gruby, zaokrąglony zadek lizały płomienie, a miodowe światło lampek oliwnych kładło się na stropie starannie oddzielonymi rządками. Lucy zasiadł pod nimi przy niskiej ławie i przyglądał się całemu miotowi szczeniaków, które wałęsały się po izbie, ujadając, przewracając napotkane przedmioty i skacząc jeden na drugiego. Ich wyczerpana matka leżała z wzdętym brzuchem na klepisku nieopodal ławy; świat chwilowo jej nie dotyczył.

– Biedna mamuśka – stwierdził Memel. – Naprawdę ma już dość. – Kiedy szturchnął ją lekko stopą, podniosła się i podreptała do jednego z dwóch mniejszych pomieszczeń na tyłach chaty, a szczeniaki ruszyły za nią. Memel zdjął kocioł z ognia i ustawił go na środku stołu, żeby ostygł. Odchylając głowę, zawołał: – Mewe!

Zza ściany dobiegł ich stłumiony głos Mewe'a.

– Czego?

– Jest u ciebie Klara?

– Jest.

– Gniewa się jeszcze na mnie?

Dziewczyna o imieniu Klara powiedziała coś szeptem, ale samych słów Lucy nie dosłyszał.

– Mówi, że nie! – krzyknął Mewe.

– A wierzysz jej?

– Chyba tak.

– A ty? Gniewasz się jeszcze?

– Ani trochę.

– Czy zatem przyjdziecie zjeść z nami kolację?

Chwila milczenia; potem znów szepty.

– „Z nami”, to znaczy z kim? – spytał Mewe.

– Lucy wpadł z wizytą. No wiesz, ten chłopak z pociągu.

– A tak, przed chwilą nas tu szpiegował.

Memel rzucił Lucy’emu pytające spojrzenie, ale ten potrząsnął głową.

– Tylko przechodziłem – wyszeptał.

– Mewe, on twierdzi, że to nie było szpiegowanie.

– Czyżby? Co to zatem było według niego?

– No więc on mówi, że przechodzenie.

Kolejne szepty. Wreszcie Mewe powiedział:

– Spytaj go, proszę, w naszym imieniu, czy nie uważa przypadkiem, że aby przechodzić, należy przede wszystkim być w ruchu.

Lucy przyznał, że w istocie, należy, a Memel powtórzył jego słowa.

– No dobrze – ciągnął Mewe. – Jak więc wyjaśni fakt, iż przebywając pod moim oknem, nie poruszał się ani trochę?

Memel uniósł brwi.

– Lucy, czy to prawda, że się nie poruszałeś?

– Niewykluczone, że się chwilę guzdrałem.

– Teraz twierdzi, że to było chwilowe guzdranie – przekazał Memel.

– Ach tak – odparł Mewe. Szepty. – Bardzośmy wobec tego ciekawi, na czym polega różnica między tymi czynnościami.

Lucy’emu wydawało się, że słyszy tłumiony śmiech Klary. Zwrócił się do Memela:

– Szpieguje się po to, żeby zdobyć prywatne informacje. Moje zamiary były znacznie prostsze.

Memel przetrawił te słowa, a następnie powtórzył je, inicjując tym samym kolejną szeptaną debatę Mewe’a i Klary. Wreszcie ten pierwszy powiedział:

– Czy zatem Lucy przyznałby, że powodowała nim próżna ciekawość?

Teraz już Lucy nie miał żadnych wątpliwości, że z za przepierzenia dobiega go tłumiony chichot Klary i Mewe’a.

– No i? – spytał Memel z uśmiechem na twarzy.

– Myślę, że można tak to ująć – odparł Lucy.

– Można tak to ująć, mówi – przekazał Memel.

Na jakiś czas odgłosy z sąsiedniej chaty ucichły. Wreszcie ozwała się Klara:

– Daj nam parę minut. Skończymy grać i przyjdziemy, tato.

– GULASZ TAK CZY INACZEJ jeszcze za gorący – stwierdził Memel, zaglądając do kotła. Odszedł więc od stołu i zaprowadził Lucy’ego do swojej izby. Okazała się ona byle jaką, kwadratową, ślepią klitką, w której nie było nic prócz ułożonego na ziemi siennika i drewnianej skrzyni w charakterze stoliczka przy łóżku. Szczeniaki jeden przez drugiego gramoliły się do sutków leżącej w kącie matki, ta zaś spoglądała na Memela i Lucy’ego wzrokiem, w którym nie było już miejsca na kolejne troski. Memel schylił się i pogładził ją po sierści; minę miał przy tym zafrasowaną. – One ją wykończą. – Przechylając lekko głowę, spytał: – Chciałbyś szczeniaka, Lucy?

– Dziękuję bardzo, ale nie.

– Jesteś pewien?

– Tak.

– No nic – odparł tamten. – Trzeba będzie rozwiązać to inaczej.

Chwycił szczeniaka z białymi skarpetkami i wyszedł z izby. Lucy poczuł się nieswojo, toteż udał się za Memelem i zastał go przy drzwiach frontowych, z ręką zanurzoną aż po łokieć w beczce wody.

– Jak zabraknie matki, to wszystkie wyzdychają – stwierdził Memel, wpatrując się z ponurą determinacją w lustro czarnej wody. Gdy po paru nieznośnie długich chwilach jego dłoń wysliznęła się z powrotem na powierzchnię, była pusta. Memel znów udał się do izby, by zaraz zjawić się z kolejnym szczeniakiem pod pachą, wyraźnie kierując się w stronę beczki. Lucy doprawdy nie mógł pojąć, dlaczego to wszystko odbywa się w jego obecności, a do tego tuż przed posiłkiem. Nie zważając na przyczynę, poczuł się w obowiązku interweniować. Za jego działaniem nie stała żadna konkretna myśl ani sekwencja słów; niczym mimowolny krzyk zranionego, była to raczej odruchowa reakcja na nieokreślony ból.

– Proszę tego nie robić – powiedział. – Jeśli sprawy zaszły tak daleko, przygarnę go.

Memel stanął przed Lucym i włożył mu zwierzaka w garść.

– Ją – sprostował, po czym poszedł do stołu nakładać gulaszu.

Była to najbardziej niewydarzona psina z całego miotu. Główka jej się chybotwała jak u schorowanej starowinki. Popatrzyła do góry na Lucy'ego i otworzyła pyszczek, ale żaden dźwięk się z niego nie dobył; opuściła więc łebek i zamknęła ślipia, a Lucy wetknął ją sobie do przedniej kieszeni płaszcza, na piersi. Przez szczelinę natychmiast wysunęła się mała rozdziawiona mordka i poczęła łapczywie chwytać powietrze. Pogłaskał meszek nad jej nosem, a psina polizała czubek jego palca; Lucy'ego aż połaskotało w brzuchu. Uzmysłowił sobie nagle, że narodziny miłości to doniosła chwila. Jest tak, jak gdyby od dawien dawna się na nią czekało, wiedząc, że w końcu nadejdzie; więc kiedy już się zjawia, wychodzimy jej naprzeciw, by ją powitać jak dobrą znajomą. Zza pleców usłyszał głos Memela:

– Chodź, Lucy, gulasz już ostygł.

Odwróciwszy się ku stołowi, Lucy przeżył drobny wstrząs. Klara i Mewe musieli się tymczasem wemknąć do chałupy, bo oto siedzieli wyprostowani, z dłońmi złożonymi płasko na blacie: istne uosobienie potulności, gdyby nie leciuteńki uśmieszek, który błąkał się na ich ustach. Lucy podejrzewał, że szykuje się tu jakąś psotę, w najlepszym razie na jego użytek, choć najpewniej jego kosztem. Spodziewał się jednak, że będzie stosunkowo niewinna; czemu więc jego policzki płonęły, gdy zasiadał do stołu? Klara zasłoniła twarz pięścią, w której ścisnęła łyżkę, i jej ciało zatrzęsało się, nie wydając przy tym żadnego dźwięku; Mewe kilka razy parsknął dyskretnie. Sadowiąc się, Memel również spostrzegł, że tych dwoje jest w wyśmienitym humorze, ale nie miał pojęcia, z czego to wynika. Oparł się więc na łokciach i nachylając się ku nim, zagadnął z nadzieją w głosie:

– Czy to jakiś żart?

– Nie – odpowiedzieli jednocześnie Mewe i Klara.

– To nie żart?

– Nie.

Memel przez moment walczył ze sobą, ale nie wytrzymał:

– No dalejże, opowiedzcie już! – Mówił to z niekłamanym zaciekawieniem; chcąc włączyć się w ogólną wesołość, uśmiechał się już wyczekująco. Lecz kiedy mimo to nie wyjaśniono mu, w czym rzecz, skrzywił się i rzekł do Lucy’ego: – Uważam, że to niegrzeczne.

Lucy utkwiał wzrok w swojej porcji gulaszu i czekał tylko końca męczarni. Ściszone głosem odrzekł Memelowi:

– Sądzę, że to jakiś prywatny żart tych dwojga.

Na te słowa Klara wyprostowała się, jakby ją kto ukłuł szpilką; teraz patrzyła na Lucy’ego badawczo i przeciągle, aż ów uznał, że nie pozostaje mu nic innego, jak spojrzeć jej w twarz.

Gdy ich oczy spotkały się i zatrzymały na sobie, Lucy znów odczuł doniosłość chwili; tym razem jednak wrażenie było znacznie gwałtowniejsze. Coś w nim rezonowało gromkim echem, a krew pędziła na oślep we wszystkie strony. Nie umiał ocenić, czy Klara czuje coś podobnego ani czy w ogóle coś czuje, lecz wyraz jego twarzy musiał ją w jakiś sposób zaniepokoić albo wystraszyć, bo dziewczyna nagle odwróciła wzrok. Na to jego serce znieruchomiało i zapragnął znaleźć się tuż przy niej, by ująć jej dłoń w swoją. Teraz to ona się rumieniła, co Lucy odnotował z niemałą satysfakcją.

Zabrał się do jedzenia. Gulasz był wybornie pikantny: na skroniach pod czapką Lucy czuł krople potu, a na języku pulsujący żar. Memel nalał mu wody, ale Lucy, pomny tego, co spoczywa na dnie beczki, zdecydował się na wino. Rzadko zdarzało mu się raczyć alkoholem, a że już po paru łykach poczuł się całkiem beztrosko, postanowił urządzić sobie niewielkie święto. Nim zdążył uporać się z gulaszem, rozpracowywał już trzeci kieliszek, odzyskawszy przy tym sporo pewności siebie i swobody. Mewe i Klara wciąż szeptali między sobą, chichocząc, ale Lucy nie czuł się już z tego tytułu zakłopotany; doszedł wręcz do wniosku, że ich uwaga słusznie skupia się na nim. Czyż bowiem nie przedstawiał sobą zabawnego widoku? Był w końcu bladym, niedożywionym młodzieńcem, a z kieszeni płaszcza wystawał mu szczeniak. Tak więc miast jeżyć się i dąsać, począł nabijać fajkę, gdyż teraz wreszcie miał publiczność, przed którą mógł popykać

i którą dałoby się pewnie sprowokować do zachwyków nad głębią jego przemyśleń. Tak się jednak pechowo złożyło, że gdy tylko kłujący dym dobrał się do jego nagiego gardła, Lucy wydał z siebie pojedyncze kaszlnięcie, a cała zawartość fajki znalazła się w jego włosach. Memel, Mewe i Klara uznali to wydarzenie za wielce zabawne; śmiali się szczerze, długo i donośnie. Kłębki tytoniu jeszcze unosiły się w powietrzu, a Lucy już wiedział ponad wszelką wątpliwość, że z takiej gafy nigdy się nie podźwignie; z surową miną schował więc fajkę do kieszeni płaszcza, dopił wino i nalał sobie kolejny kieliszek.

Pokój nie tkwił już nieruchomo w miejscu, lecz obracał się leniwie, a Lucy'emu przypomniały się zawroty głowy, których doznał, wspinając się po spiralnych schodach do swojej kwatery na zamku: uczucie to było dość niepokojące, choć nie do końca przykre. Wyciągnął z kieszeni psinę, posadził na stole i począł ją łaskotać i bawić się z nią. Wspięła się na tylne łapki i ugryzła go w dłoń, a że była tak mikroskopijna, to nie towarzyszył temu żaden ból i daremność tego ataku szczerze Lucy'ego ubawiła. W rozchwianym blasku świec twarz Klary wydawała mu się nieostra, ale miał wrażenie, że dziewczyna przygląda mu się z obojętną miną; nie odwracała jednak wzroku.

Ponieważ wino wlewał w siebie jak wodę, Lucy wkrótce osiągnął stan upojenia wykluczający skłecenie choćby jednej logicznej myśli. Usta odmawiały posłuszeństwa i zamiast słów płynął z nich bełkot; fakt ten wprowadził pozostałych w wyśmienity nastrój, toteż zaczęli zadawać Lucy'emu niezliczone pytania, po to tylko, by obnażyć jego kondycję i napawać się nią. Coś brzydkiego poczęło lęgnąć się w jego umyśle. Było dlań oczywiste, że ci ludzie nigdy nie uznają go za swojaka i że będzie im służyć li tylko za przedmiot kpin. Dostrzegłszy kątem oka, że zza beczki z wodą wygląda szczeniak z białymi skarpetkami, Lucy zrozumiał, że Memel wystrychnął go na dudka. Uznał wówczas, że miarka się przebrała. Powstał gwałtownie i zatoczył się ku drzwiom, a pozostali biesiadnicy wołali za nim, krztusząc się od rehotu. Nagle znalazł się przy nim Memel, chwycił go za poły okrycia i jął prosić, by został, ale Lucy wyszarpnął płaszcz, przekroczył próg chałupy i ruszył prosto w topiel szalejącej na

zewnątrz wichury, która natychmiast zdarła mu z głowy baranicę i pochłonięła ją jednym haustem. Zdając sobie nagle sprawę, że ciągle dzierży w dłoni nieszczęsną psinę, Lucy odwrócił się z zamiarem zwrócenia jej Memelowi, ale w drzwiach dostrzegł Klarę. Wyglądała na skruszoną, a Lucy uczuł, że nie umiałby ponownie stawić jej czoła. Wetknął więc szczenię z powrotem do kieszeni i na nowo podjął chybotliwą wędrówkę przez śnieżne hałdy ku majaczącemu w górze, czarniejszemu niż noc zamczysku.

Kiedy gramolił się po spiralnych schodach niczym ślepy żebrak, z dłońmi wysuniętymi przed siebie, odbijając się od ciasnych ścian wieży i potykając po omacku, wciąż czuł się dotknięty do żywego. Albowiem jeszcze przed wyjazdem z Bury umyślił sobie, że gdy raz na zawsze opuści to miejsce, stanie się nowym człowiekiem – takim, któremu ludzie okazują należny szacunek, a przynajmniej uprzejmość. Tu jednak najwyraźniej sprawy miały się dokładnie tak samo jak w jego rodzinnej wiosce. Oto znów go wykpieno i raz jeszcze wyszedł na idiotę; tutejsi wieśniacy natychmiast zorientowali się, że nie zasługuje na poważne traktowanie. Lucy wrócił teraz myślami do chwili, gdy opuszczał chałupę Memela, i przyszło mu do głowy, że gospodarz mógł znów ukraść mu fajkę. Oględziny kieszeni potwierdziły tę smutną hipotezę, toteż Lucy zatrzymał się u szczytu schodów i wydał z siebie przeciągły syk.

Padł na łóżko, nie bacząc na to, że nadal jest ubrany od stóp do głów. Psina wypełzła z kieszeni płaszczka i jęła węszyć pod kocami; Lucy patrzył za tą ruchomą górką, która skradała się raz ku tej pieczarze, raz ku tamtej rozpadlinie. Po chwili zapadł w płytki, niespokojny sen, w którym co rusz objawiało mu się kolejne gigantyczne fiasko: drzwi znikwały sprzed nosa, a schody ciągnęły się w nieskończoność. W ten oto sposób dopełnił się jego pierwszy dzień na zamku.

IV

ZAMEK VON AUX

RANO U STÓP ŁÓŻKA stała niewielka, krągła kobieta w nieskazitelnie białym kitlu i z wielce niezadowoloną miną. Jej krótko przycięte szare włosy okalały twarz tej samej barwy. W istocie podobieństwo kolorystyczne między włosami i twarzą było tak uderzające, że Lucy poczuł się skonsternowany, a nawet wytrącony z równowagi. Z kolei skóra dłoni złożonych na brzuchu miała barwę tak czerwoną, że wyglądały na poparzone. Była to Agnes, kucharka.

– Czy nie poinstruowano cię, żeby zamykać drzwi na klucz? – spytała.

– Dzień dobry. Tak jest. Dzień dobry szanownej pani. Poinstruowano. – Lucy’emu pękała głowa, a gardło miał tak suche, że z trudem mówił. Spod warstw koców wystawały jego buciory; wskazując je, Agnes spytała:

– Czy takie panują obyczaje w twoich stronach?

– Ja zasnąłem – wyjaśnił Lucy, siadając w pościeli.

– Tego się można, jak sądzę, spodziewać, gdy się leży w łóżku. Interesuje mnie raczej, dlaczego nie ściągnąłeś butów, zanim zmorzył cię sen. – Agnes odgarnęła koc; prześcieradło uwalane było ziemią i śniegiem. Kiedy z pościeli wygramolił się szczeniak, Agnes aż zachłysnęła się powietrzem.

– Rety! – wydyszała. – Myślałam, że to szczur.

– Żaden szczur, proszę pani.

– Dziękuję, teraz to widzę. – Podrapała psinę pod brodą. – Czy pan Olderglough wie, że trzymasz tu zwierzę?

– Nie.

– I jak długo zamierzałeś to przed nim ukrywać?

– Ależ, proszę pani, ja niczego nie ukrywam. To znaczy, sprawa jest bardzo świeża.

– Pan Olderglough z całą pewnością życzyłby sobie, by go o takiej sprawie poinformować.

– Nie omieszka.

– Znakomicie. A kiedy waszmość zamierza wstać? Pan Olderglough musiał się po swoje śniadanie zgłosić osobiście, twoje zaś stygnie już od jakiegoś czasu.

– Bardzo przepraszam za ten stan rzeczy, proszę pani; obiecuję, że to się nie powtórzy. Już wstaję.

Agnes skinęła głową, po czym przemaszerowała przez izbę i spytała, przystając przy drzwiach:

– Czy będziesz pamiętał, by zamykać drzwi na klucz?

– Tak, proszę pani.

– Jest to rzecz, o której nie powinno się zapominać. – Spojrzała na Lucy’ego przez ramię. – Być może jednak nie pojmujesz, jakie to ważne.

Lucy jednym zamaszystym ruchem przerzucił obute nogi z łóżka na podłogę.

– Chyba pojmuję, proszę pani. – Zgarnął hasającego pod nogami szczeniaka i schował go do kieszeni. – Chociaż w sumie to nie – powiedział. – Właściwie to czemu muszę zamykać się tu na klucz?

– Wszyscy musimy zamykać się na klucz.

– Ale z jakiego powodu?

Agnes starannie dobierała słowa:

– Nie dzieje się to bez przyczyny; nic więcej nie musisz wiedzieć. – Następnie opuściła pokój, a Lucy siedział przez chwilę na łóżku, dumając.

– Ale ja bym chciał wiedzieć znacznie więcej – stwierdził w końcu. Wkrótce miał jednak nastać dzień, w którym życzyłby sobie wiedzieć znacznie mniej.

Tymczasem, dzierżąc lunetę, podszedł do okna.

PAN OLDERGLOUGH SIEDZIAŁ w ciasnym i ponurym pomieszczeniu przylegającym do kuchni, zwanym jadalnią dla służby. Nie miał już temblaka, więc z ręką najwyraźniej było lepiej. Mężczyzna ślęczał nad oprawną w skórę księgą, a obok stało śniadanie, na które składały się miska owsianki, cienka kromka czerstwego chleba oraz filiżanka herbaty. Identyczny zestaw czekał na Lucy'ego, który zasiadł do stołu i zakosztował owsianki, lecz jej smak, konsystencja tudzież temperatura nie wywarły na nim korzystnego wrażenia. Dominującą nutę wiórów udało się splukać herbatą (aczkolwiek równie zimną, a nadto gorzką), toteż wypił wszystko jednym haustem.

– Dzień dobry panu – wydusił, chwytając powietrze.

Pan Olderglough skinął głową, ale komunikacji werbalnej nie podjął, zajęty był bowiem piłowaniem kromki na mniejsze kawałki (trzy cięcia wzdłuż i trzy w poprzek: w sumie dziewięć kwadratowych porcji). Gdy już osiągnął pożądany rezultat, wysunął język i na tej różowej, mięsistej wypustce umieścił kwadracik z chleba. Język zniknął na powrót w ustach i pan Olderglough jął przeżuwać kęs, rzucając przy tym Lucy'emu wyzywające spojrzenie. Lucy nie kwapił się jednak do tego wyzwania i nie skomentował owych zabiegów. Zamiast tego zagaił:

– Tak się, proszę pana, zastanawiam, czy mógłbym trzymać w swoim pokoju zwierzę.

Pan Olderglough przełknął. Minę miał nieco zaniepokojoną.

– Zwierzę? – spytał.

– Tak, proszę pana, a konkretnie psa. Szczeniaka.

– A skądżeś ty, u licha, wziął szczeniaka?

– Od Memela, proszę pana. Suczka mu się oszczeniła.

– Ach tak. I zepchnął kłopot na ciebie?

– Nie powiedziałbym, że zepchnął.

– Każdy sobie rzepkę skrobie?

– Niezupełnie, proszę pana. Właściwie to cieszę się, że mam szczeniaka.

Naturalnie, o ile pozwoli mi pan go zatrzymać.

Twarz pana Olderglough zastygła w wyrazie zdumienia.

– Ale kiedy to się wszystko wydarzyło, jeśli można spytać?

– Bardzo niedawno, proszę pana.

– Niewątpliwie! – Pan Olderglough utkwiał wzrok w pustce, a po chwili spytał: – Czy miewasz czasem wrażenie, że życie ci umyka?

– No nie wiem, proszę pana.

– Że czas pędzi jak szalony? Wszystko dzieje się nagle?

– Nie jestem pewien, proszę pana.

– Że zdarzenia nabierają tempa? A co się zdarzyło, to się nie odzdarzy?

– Najpewniej jest tak, jak pan mówi.

– Cóż. W każdym razie, jeśli do szczęścia potrzebne ci towarzystwo, to czemu miałbym stawać ci na drodze?

– Czyli mogę zatrzymać szczeniaka?

– A czemuż by nie? Nic mi do tego, co porabiasz przy niedzieli. Jestem zwolennikiem wolności osobistej.

– Rozumiem, proszę pana.

– Czyż nie powinno się dążyć do spełnienia najskrytszych pragnień?

– O tak, proszę pana.

– Bo ta przejażdżka zdarza się nam tylko raz, hę, Lucy?

– Tylko raz, proszę pana.

– Jedno kółeczko i do widzenia?

– Tak, jak pan mówi.

– Cieszymy się więc nim, ile się da, co?

– Cieszymy się, proszę pana!

Pan Olderglough wskazał miskę Lucy'ego.

– A owsianki czemu nie jesz?

– Z uwagi na jej smak, proszę pana.

Pan Olderglough rozejrzał się po pokoju, po czym pochylił się nad blatem i wyszeptał:

– A ciśnij do kominka. I moją też przy okazji. Agnes wpada w szal, jeśli talerze nie są wylizane do czysta.

Lucy wykonał polecenie, po czym wrócił na swoje miejsce przy stole.

– To jest on czy ona? – spytał pan Olderglough.

– Ona, proszę pana. Mam nadzieję, że to nie problem.

– Nie mam w tym względzie żadnych preferencji. Ot, podtrzymuję konwersację. Może jeszcze herbatki?

– Pięknie dziękuję, ale nie.

– A ja sobie chyba pozwolę na repetę. – Pan Olderglough nalał kolejną filiżankę i upił łyżek. – Ha – powiedział. I dodał: – Mówiłem ci, że w swoim pokoju trzymam ptaszka? – Ta ostatnia kwestia zabrzmiała tak, jak gdyby rozmówca Lucy’ego sam dopiero sobie o tym fakcie przypomniał i był nim nie lada zaskoczony.

– Nic pan nie wspominał – odparł Lucy.

– Gwarka – ciągnął pan Olderglough. – Nazywa się Peter. Miałem nadzieję, że swym muzycznym świergotem wniesie do mojej izby trochę życia. Ale gdzie tam; nawet nie piśnie.

– Wydawało mi się, że gwarki są bardzo gadatliwe.

– To właśnie dano mi do zrozumienia. Wyobraź sobie zatem moje rozczarowanie!

– Wyobrażam sobie.

– Bardzo cię proszę, żebyś zbadał tę sprawę.

– Z pewnością to uczynię. Być może coś z nim jest nie tak.

– Może nie ma chęci do występów. Tak czy inaczej, milczy jak głaz ten mój Peter. – Pan Olderglough westchnął. – A powiem ci zupełnie szczerze, Lucy, że przydałoby mi się nieco muzyki. Nieco uciechy. – Oparł głowę o zagłówek krzesła. – Peter. Zawsze mi się to imię podobało. Gdybym miał syna, tobym go tak nazwał. Nie żebym za młodu nie próbował z uporem; któż by zliczył te wszystkie potańcówki!

– Rozumiem, proszę pana.

– Niektórym najwyraźniej pisane jest samotnie wędrować po tym padole.

– Przykre to, proszę pana, lecz jakże prawdziwe.

Pan Olderglough odepchnął gwałtownie talerz.

– Chciałbyś go poznać? Petera?

Lucy zdecydowanie nie marzył o tym, lecz zorientował się, że oczekuje się po nim entuzjazmu; odparł więc, iż owszem, chciałby. Pan Olderglough klasnął w dłonie i jął chyżo zapinać płaszcz.

PETER BYŁ PTAKIEM z gruntu aspołecznym. Ów średnich rozmiarów wróblowaty o jednostajnie brązowym upierzeniu i ostrym, pomarańczowo-żółtym dziobie kulił się ponuro na swoim drążku, gości traktując jak powietrze. Lucy doszedł nawet do wniosku, iż jego mina (o ile u ptaków da się takową dostrzec) wyrażała najszczerzą nienawiść.

– To jest właśnie Peter – powiedział pan Olderglough.

– Jak się masz, Peter?

– No, Peter, przywitajże się.

Peter nie tylko się nie przywitał, ale wręcz zagrzebał dziób w piersi i podciągnął nogę. Tkwił w całkowitym bezruchu i nic nie wskazywało na to, by miał jeszcze kiedykolwiek drgnąć.

– Zwinął kramik – orzekł pan Olderglough. – Rozumiesz już, jak się sprawy mają?

– Sądzę, że tak. I mówi pan, że nigdy nie wydał z siebie najdrobniejszego choćby dźwięku?

– Ani jednego.

– A może jest coś, co by go zainspirowało?

– Nie ma takiej rzeczy.

Pan Olderglough udał się ku wyblakłemu szeslongowi stojącemu w rogu komnaty i wyciągnął się na nim. Na jakiś czas zatopił się w myślach, mrużąc coś pod nosem, a Lucy wykorzystał tę chwilę, by rozejrzeć się po kwaterze przełożonego. Była zarazem gustowna i koszmarne: niegdyś wielkopańska, dziś kompletnie anachroniczna, pokryta dokładnie równomierną warstwą kurzu. Ciężar zawisłego czasu był bardziej dojmujący niż w innych pomieszczeniach, a Lucy miał wrażenie, że już od bardzo dawna nikt tutaj nie zaglądał.

Raptem zabił zegar ścienny, a pan Olderglough oznajmił:

– Winienesz już zbierać się na stację, Lucy. Na stoliczku w westybulu znajdziesz list barona oraz listę sprawunków, jakie masz poczynić w wiosce.

– A czym za te towary zapłacę?

Pan Olderglough wstał z szezlongu i począł klepać się po kieszeniach, aczkolwiek bezskutecznie.

– Poproszę cię, chłopcze, byś mi wyświadczył przysługę i zapłacił z własnych środków. Ja ci niebawem zwrócę.

– Obawiam się, proszę pana, że to niemożliwe.

Pan Olderglough skrzywił się; na jego twarzy malował się teraz popłoch.

– Naprawdę nie masz przy sobie żadnych pieniędzy?

– Nic a nic. – Lucy zrobił pauzę. – Może gdyby raczył mi pan wypłacić zaliczkę na poczet mojego uposażenia?

– Hm – odparł pan Olderglough. – Nie, nie sędzę, by to było dobre rozwiązanie.

– Zastanawiałem się właśnie, kiedy mógłbym otrzymać wypłatę – przyznał Lucy.

– Otrzymasz ją, naturalnie, w dniu wypłaty. A teraz, jeśli łaska, poczekasz w westybulu.

Przemierzając drogę od pokoju pana Olderglough do zamkowych wrót, Lucy zdał sobie nagle sprawę, że czerpie radość ze swej posady oraz z faktu wypełniania czyichś poleceń; była w tym wszystkim jakaś cudowna prostota. Zawsze wyczuwał, że matka i ojciec pragną, by coś osiągnął, by osiągnął cokolwiek, lecz nigdy nie otrzymał od nich klarownych wskazówek, toteż, samemu nie posiadając żadnych ambicji, nie osiągnął niczego, i był dla nich tylko źródłem kolejnych rozczarowań. Lecz teraz w jednej chwili stał się pożyteczny, ktoś miał z niego pożytek, a on sam z tej racji czuł się godnie. Dotarłszy do westybulu, stanął przy stoliczku i czekając na przełożonego, napawał się tym nowym uczuciem. Wraz z upływem kolejnych minut rażny nastrój Lucy’ego przerodził się jednak w zniecierpliwienie, a później w najzwyklejszą nudę. Rzut oka na listę sprawunków wystarczył, by się zorientować, że nie dostarczy mu ona żadnej rozrywki, toteż począł odczuwać wielką chętkę, by choćby zerknąć

na list tajemniczego barona. Choć dobrze wiedział, że nie wolno mu tego robić, że jest to całkowicie sprzeczne z rozkazami pana Olderglough, z minuty na minutę owa chęć w nim narastała i Lucy wkrótce się jej poddał. Wsuwając paznokiec pod woskową pieczęć, otworzył kopertę i rozwinął kartkę.

Najdroższa,

jakie wieści od Ciebie? Czyżbyś miała wyznać mi, że już mnie nie kochasz? Czy wolałbym to od piętna tej ciszy – nie odpowiem. Nie jestem już sternikiem tego zrujnowanego okrętu. Ster dawnom z rąk wypuścił i myśli o celu naszej podróży już mnie nie zaprzętają. Obyśmy roztrzaskali się o łaskawe skały!

Czemuż to w pamięci mej błedną chwilę szczęśliwe, a te najpodlejsze coraz wyraźniej dają się we znaki? Ponadto: czemu wciąż jeszcze zadaję sobie trud, by pytać Cię o cokolwiek? Cud: jak to być może, że dni tak są przepelnione kimś, kogo zupełnie nie ma? Pokornieję wobec rozmiarów pustki, jaką po sobie zostawiłaś. Jest ona tak przytłaczająca, iż mam po części nadzieję, że nie żyjesz. Wówczas przynajmniej mógłbym jakoś wyjaśnić sobie Twą wieczną nieobecność, a zarazem zyskać najmarniejsze choćby pocieszenie. Byłoby mi również łatwiej samemu zemrzeć. A jednak wciąż Cię kocham, z każdym upływającym dniem coraz mocniej.

Twój i tylko Twój na wieki,

Baron von Aux

Lucy przeczytał to wszystko w pośpiechu, a potem jeszcze raz, już wolniej. Zdało mu się, że w słowach tych słyszy jakieś odległe dudnienie czy też drganie, więc nachylił głowę ku kartce, by lepiej je uchwycić. Choć w liście rozpoznał coś, co było mu bliskie, odkrył też ze zdziwieniem, że zazdrości baronowi jego miłosnych tęsknot, z którymi nic, czego Lucy kiedykolwiek doświadczył, nie mogło się równać. Choć owa zazdrość wydała mu się dziecinna, to jednak ani trochę jej się nie wstydził. Schował list z powrotem do koperty i ledwo zdążył odłożyć ją na stoliczek, kiedy zjawił się pan Olderglough.

– No, chłopcze, będzie ci to musiało jakoś wystarczyć – rzekł, wciskając Lucy’emu w garść kilka monet. Przeliczywszy je, Lucy uznał swe zadanie za niewykonalne, toteż podzielił się swymi wątpliwościami z panem Olderglough, który jął wychwalać przymioty społeczeństwa opartego na kredycie. Dokładnie w tej chwili zza rogu wychynęła Agnes. Szła prosto

przed siebie, a jej czerwone pięści dźgały i kuksały powietrze, dobitnie podkreślając ślełą furię.

– Który wywalił owsiankę do kominka!

– To Lucy – powiedział pan Olderglough, opuszczając czym prędzej westybul. Agnes nawet nie zauważyła jego ucieczki; już zmierzała ku Lucy'emu niczym świetnie naoliwiona maszyna.

REPRYMENDĘ LUCY ODEBRAŁ z gracją lub też z czymś bardzo do niej zbliżonym; taką przynajmniej miał nadzieję. Otarłszy twarz z resztek zdobiącej ją śliny, wyszedł na dwór, biadając nad zgubioną baranicą, gdyż chłód dopadł go natychmiast, czepiając się szyi, uszu i czubka głowy. Lucy postawił kołnierz i brnął przed siebie; w oddali słyszał już pociąg, choć jeszcze nie było go widać. Kierując się ku stacji, zerknął w bok, w stronę wioski. Z komina wiadomej chaty sączyła się strużka dymu i Lucy zastanowił się, czy to nie Klara rozpałała ogień. Uznał, że tak właśnie było, i wyobraził ją sobie, jak przykuca przed piecem, a płomień płóży się na szczapach; jak wirują zdobne sploty dymu, nim ciąg w kominie zwiąże je ciasno i pchnie ku górze, ku otwartym przestrzeniom. Lucy'ego aż zakłuło w sercu. Chciał wiedzieć dokładnie, jak wyglądają dni Klary.

Doszedłszy do stacji, ujrzał Memela i Mewe'a, stojących twarzą w twarz i butem w but, zajętych kolejną dysputą. Memel trzymał w górze martwego zająca, a Mewe raz za razem rzucał się po zdobycz; Memel wciąż jednak wyszarpywał łup z zasięgu jego rąk, a tamten aż kipiał ze złości.

– Oddawaj go – wydyszał Mewe.

– Ani mi się śni – odparł Memel.

– Przecież dobrze wiesz, że się złapał do mojego saka!

– Gdyby się złapał do twojego saka, tobyś teraz trzymał szaraka. Ja bym sobie nigdy nie przywłaszczył zwierzaka, który nie należy do mnie.

– Ale właśnie to robisz! – Mewe znów porwał się na łup, a Memel raz jeszcze odsunął go tak, by tamten nie mógł dosięgnąć. – A najsmutniejsze w tym wszystkim jest to – powiedział Mewe – że sam już zaczynasz wierzyć w swoje kłamstwa.

– Bóg raczy wiedzieć, co w tym wszystkim jest najsmutniejsze.

Mewe pogroził mu palcem.

– Zawsze jak jesteś na straconej pozycji, to w kłótnię mieszasz Boga, bo łągarz jest istotą samotną i żadnym towarzystwem nie pogardzi. Ostatni raz pytam po dobroci: dasz mi szaraka? Czy nie dasz? Pytam się!

– Dobrze wiesz, że nie dam.

– Ach tak? – Mewe z całej siły nastąpił Memelowi obcasem na paluch u stopy. Starszy mężczyzna zawył z bólu, a zając poszybował w powietrzu; młodszy natychmiast pognał za nim. Zdobycz przekoziółkowała kilka razy i kiedy tylko Mewe ją pochwycił, Memel zwałił go na ziemię i teraz tarzali się w śniegu, a każdy ciągnął zająca w swoją stronę, zgrzytał zębami i miotał najnikczemniejsze wyzwiska. Lucy śledził ów spektakl z największym zainteresowaniem, ciekaw, komu w ostatecznym rozrachunku przypadnie szarak, lecz jego uwagę zaprzętnął wreszcie wjeżdżający na stację pociąg.

Stanąwszy na samej krawędzi peronu, Lucy wyciągnął dłoń z listem wysoko w górę i w ciemnej kabinie zbliżającej się lokomotywy ją wypatrywać maszynisty. Ponieważ nie dostrzegł tam najdrobniejszego choćby ruchu, przeraził się, że sprawy idą niezgodnie z planem, lecz dosłownie w ostatniej chwili z okienka wysunęła się mięsista dłoń z rozcapierzonymi paluchami, gotowa pochwycić zdobycz. Lucy wstrzymał oddech, a kiedy lokomotywa przetaczała się obok niego, jego ciało omiotła tak silna fala lodowatego wiatru, że nie umiałby powiedzieć, czy wciąż dzierży list. Gdy uniósł wzrok, okazało się, że ręka jest pusta; czym prędzej obrócił głowę i dostrzegł, że błękitna koperta łopocze w dłoni maszynisty. Chwilę później wchłonęło ją okienko pociągu. Przesyłka została nadana.

Lucy miał powody do satysfakcji, choć był też oszołomiony i rozbawiony tym niecodziennym zdarzeniem. Zaprzętnęło go to do tego stopnia, że podszedł zbyt blisko torów. Całym jego ciałem wstrząsnął dreszcz, jak gdyby coś miało za chwilę zmieść je z peronu i cisnąć pod bezlitosne metalowe koła, w sam środek przeraźliwego mechanizmu. W jednej chwili pojął niezmierny ciężar i moc kolei, więc przezornie cofnął się o parę kroków. Nie lubił myśleć o niczyjej śmierci, a już najmniej o własnej.

Obróciwszy się, dostrzegł Memela i Mewe'a, którzy zaprzestali sporów i stali teraz przed nim, oblepieni śniegiem, zdyszani, szaraka trzymając za przeciwległe końce. Obaj się uśmiechali. Za ich plecami, na szczycie majaczącej na horyzoncie góry, wojna terytorialna trwała w najlepsze; Lucy widział kłęby dymu od wybuchów i żołnierzy pełzających tam i sam, jak gdyby chmara owadów oblaźła bitą śmietaną.

Lucy odezwał się do Memela:

– Znów mi pan zabrał fajkę.

– Owszem – odparł Memel. – A co, będzie jeszcze potrzebna?

Lucy przytaknął i fajka zaraz do niego wróciła. Po bliższych oględzinach okazało się jednak, że ustnik poznaczony jest śladami zębów, główka zaś zalatuje poślednim tytoniem. Siłąc się na surowy ton, Lucy upomniał Memela:

– Bardzo pana proszę, żeby przestał mi pan tę fajkę zabierać. Czy wyrażam się jasno?

Memel uniósł brwi i począł kiwać głową na boki, jak gdyby szczerze zafascynowany takim postawieniem sprawy.

– Przestanie pan czy nie? – powtórzył Lucy.

– No dobrze już, dobrze!

Lucy skierował się ku wiosce. Oczywiście nie życzył sobie żadnego towarzystwa, lecz Memel i Mewe wydawali się zgoła nieświadomi tego faktu, toteż pognali za nim, chcąc dotrzymać mu kroku.

– Bardzośmy temu spotkaniu radzi, wiesz? – rzucił Memel. – Wczoraj tak się prędko zebrałeś. Nie wiedzieliśmy, co cię napadło.

– Czas już był na mnie, i tyle.

– Ot i cała sprawa, jak mniemam. Ale może dziś znów zajrzałyś na kolację? Rano złapałem dorodnego szaraka. Klara przyrządzi gulasz.

– Prawdę powiedziawszy – wtrącił się Mewe – to ja tego szaraka złapałem.

– Szarak się złapał, o! Więcej to on nie musi wiedzieć.

– A mnie się wydaje, że chciałby wiedzieć, jaka jest prawda.

– Zgoda, ale jak ma tę prawdę poznać, skoro ty same nieprawdy wygadujesz?

Lucy położył tym dysputom kres.

– Raczej was dzisiaj nie odwiedzę – oznajmił.

Memel i Mewe byli jednakowo speszeni.

– Ale czemu? – spytał ten pierwszy.

Lucy miał przed oczami chatę w nikłym blasku świec i ich wykrzywione, kpiące gęby. Odparł:

– Po prostu wolałbym nie przychodzić.

Wówczas tamci wymienili poważne spojrzenia, a Memel powiedział:

– Wiesz co, Mewe? Coś mi się zdaje, że Lucy nas nie lubi.

– Chyba masz rację – przytaknął Mewe.

Memel dumął przez chwilę.

– Tylko dlaczego on nas nie lubi?

– Pojęcia nie mam.

– No cóż – kontynuował Memel. – Niezbyt to miłe, prawda? Gdy cię ktoś nie lubi?

– Nawet bardzo niemiłe.

Memel znów chwilę podumał.

– Ale czy nie sądzisz, że on trochę nas jednak lubi?

– Może i tak. Ale najwyraźniej niedostatecznie, żeby zjeść z nami kolację.

– Że taki blady ognik? To masz na myśli?

Mewe pokiwał głową i odparł:

– Lubi nas, ale ledwo, ledwo.

– A więc blady ognik. Tylko co my możemy na to poradzić?

– Właśnie.

– Jeśli mu się wydaje, że będziemy go o tę jego przyjaźń błagać, to źle mu się wydaje.

– Tak jest.

– Zresztą, kto wie? Może z czasem gust mu się odmieni.

– Sądzę, że to całkiem możliwe.

– Czyli, jak to mówią, poczekamy, zobaczymy.

– Otóż to.

– Poczekamy, zobaczymy i może coś z tego będzie.

– Może.

Tak sobie żywo gawędząc, Memel i Mewe puścili się przodem. Memel wywijał beztrosko swą zdobyczą, po czym rzucił ją towarzyszowi, który chwycił zająca w locie i zaraz odrzucił. Lucy zrazu zwolnił kroku, żeby popatrzeć za odchodzącymi, ale teraz znów ruszył ich śladem, utrzymując bezpieczny dystans. Musiał jeszcze zrobić zakupy.

W KWESTII WARZYW SUKCES Lucy'ego był w najlepszym razie umiarkowany. Właścicielka straganu, ponura, bezustna kobieta, sporo za półmetkiem życia, miała w ofercie tylko ziemniaki, kabaczka, marchew i cebulę, a i te nie pierwszej świeżości. Zbadawszy dokładnie towar, Lucy upomniął się o lepsze egzemplarze, pewien, że takowe są na stanie, lecz sprzedawczyni ani myślała wyświadczać obcemu przysługi i wcale nie kryła powodów swej decyzji. Wszelako Lucy, uwzględnivszy dłuższą perspektywę, dzielnie zniósł to częściowe niepowodzenie i na odchodnym życzył kobiecie dobrego dnia. Rozumiał jednak, że nie może sobie pozwolić na podobną porażkę u rzeźnika, w przeciwnym razie bowiem cała jego dziewicza misja niechybnie uznana zostanie za katastrofę.

Znalazłszy się zatem przy sąsiednim straganie, przyjął Lucy pozę klienta, który byle czego nie da sobie wcisnąć. Zza lady wyrósł umazany krwią brutal, a jego mina wyrażała bezbrzeżną gorycz. Rzucone przez Lucy'ego pozdrowienie mógłby Szczwany Rzeźnik, bo on to był właśnie, podjąć na sto różnych sposobów, lecz postanowił milczeć; łąpał tylko oczami, w których niechęć mieszała się z obojętnością. Wyjaśnienia Lucy'ego, że przychodzi z zamku, gdzie właśnie objął był posadę, Szczwany Rzeźnik skwitował krótko:

– Nie ma już kredytu.

– Ach, ale ja mam pieniądze, proszę pana – powiedział Lucy, wręczając mu resztę, którą przed chwilą otrzymał od sprzedawczyni warzyw. Szczwany Rzeźnik przez chwilę trzymał monetę w dłoni, dokładnie się jej przyglądając.

– Czego chce – rzucił, na co Lucy jął odczytywać po kolei pozycje z listy sporządzonej przez pana Olderglough. W połowie Szczwany Rzeźnik powiedział: – Już.

– Ale, proszę pana, ja jeszcze nie skończyłem.

- Za tę monetę dostaniesz tyle. I ani trochę więcej.
- A nie mógłby pan udzielić nam kredytu, już naprawdę ostatni raz?
- Nie mógłbym.
- Czy można zatem spytać, na ile opiewa dług?

Tu Szczwany Rzeźnik wymienił sumę, która dalece przekraczała szacunki Lucy’ego; tak dalece, iż Lucy zmieszał się i jął wręcz żałować, że zażyczył sobie takich informacji. Na domiar złego wymówienie tej liczby miało na Szczwanego Rzeźnika fatalny wpływ; począł dyszeć, a jego facjata z chwili na chwilę robiła się coraz czerwiejsza.

– Jesteście mi winni tyle, że mógłbym teraz schować tę monetę do kieszeni i odprawić cię z kwitkiem. Tego właśnie chcesz?

– Ależ, proszę pana, skądże znowu.

– A więc dostaniesz tyle, ile warta moneta, a potem zejdziesz mi z oczu. I ani mi się waży narzekać. – Rzeźnik schwycił teraz długi nóż i jął go ostrzyć, odwracając się tyłem do Lucy’ego, który stał jak wryty i zachodził w głowę, czy jakimś zgoła innym postępowaniem zdołałby zaskarbić sobie względy tego niesympatycznego człowieka. Nic jednak nie przychodziło mu do głowy, żadnego błędu bowiem nie popełnił; owe animozje nie miały z nim wszak nic wspólnego. Lecz z drugiej strony, stwierdził teraz w duchu, jeśli powróci z wybrakowanym towarem, komu się za to dostanie? Przecież właśnie jemu. Ponieważ więc szło tu o jego reputację, zawołał:

– Tylko bez chrząstki tam proszę!

Na dźwięk tych słów Szczwany Rzeźnik zamarł.

– Coś ty powiedział? – spytał.

W jego głosie drżała z trudem hamowana wściekłość, a Lucy w lot pojął, że popełnił kardynalny błąd. Gdy Szczwany Rzeźnik odwrócił się do niego, minę miał tak groteskową, że Lucy począł wręcz obawiać się fizycznej napaści.

– Nie chciałem pana obrazić.

– Coś ty do mnie powiedział – wysyczał Szczwany Rzeźnik, palce zaciskając na uchwycie długiego noża.

Lucy rozważał właśnie rejteradę, gdy za jego plecami ozwał się czyjś głos.

– Dobrze słyszałeś, co powiedział. – Lucy odwrócił głowę. Stała za nim Klara; minę miała iście filuterną. – A teraz daj mu, o co prosi, ty stary, wredny ośle!

– Ach, dzień dobry, Klaro – wymamrotał Szczwany Rzeźnik, spuszczać wstydliwie wzrok. Cała złośliwość ulotniła się w mgnieniu oka i rzeźnik wrócił do ostrzenia noża. Klara podeszła bliżej do Lucy’ego.

– Dzień dobry – powiedziała.

– A, dzień dobry.

– Ojciec mówi, że nie chcesz już nas odwiedzać. To prawda?

– Tak jakoś wyszło – odparł.

Spojrzała mu głęboko najpierw w lewe, a potem w prawe oko, niczym ktoś, kto zagląda do jednego ciemnego pokoju po drugim, szukając zguby.

– Ale dlaczego?

– Jestem niezwykle zajęty, ot co.

– A wolno spytać, czym tak niezwykle jesteś zajęty?

– Otóż obarczono mnie bardzo wieloma obowiązkami.

– Mógłbyś więc parę z nich wymienić?

– Oczekuje się ode mnie wykonania bardzo wielu niezmiernie czasochłonnych zadań.

Odpowiedziała:

– Zauważyłam, że przyglądasz się nam ze swojego okna.

Lucy’emu nie przyszło do głowy, że ktoś może być świadom tych jego przespiegów, toteż, zdemaskowany, oblał się straszliwym rumieńcem. Klara z pewnością zdawała sobie sprawę z tego, jak bardzo jest zakłopotany, ale nie dała tego po sobie poznać, co on z kolei wziął za objaw życzliwości. Czyż można bowiem postąpić z kimś okrutniej, niż mówiąc otwarcie o jego wstydzie?

– Co więc widzisz, kiedy tak na nas patrzysz? – spytała.

Spuszczając głowę, wydukał:

– No, ludzi, po prostu.

– Nikogo wyjątkowego?

– Tego nie powiedziałem.

Na to ona, ze ściśniętym gardłem:

- Ale tata twierdzi, że nas nie lubisz.
- Nieprawda – odparował. – To nie tak.
- No to jak?
- Najzwyczajniej w świecie nie lubię, jak się mnie ośmiesza.
- Ale któż, jak to ująłeś, cię ośmiesza?
- Na przykład ty. I Mewe. I jeszcze twój ojciec.

– Ależ my się tylko z tobą droczyliśmy. – Zaczęła skubać rękaw, przez co Lucy miał okazję raz jeszcze przyjrzeć się jej płaszczowi: był wyliniały, znoszony i skromny, a przede wszystkim zupełnie nie pasował do kogoś takiego jak Klara. Pochwyciła teraz koniuszek luźnej nitki i jąła zań ciągnąć, tak że rękaw wyglądał coraz żałośniej, a Lucy wzdrygnął się, widząc, jak sama z rozmysłem niszczy swe okrycie.

– Przestań – powiedział, i usłuchała. Oswobodzona nitka przyłgnęła do jej dłoni; gdy Klara strzepnęła palcami, nić ześlizgnęła się z nich i pofrunęła. Oboje utkwili w niej wzrok.

Pierwsza odezwała się Klara:

– Naprawdę nie wiesz, dlaczego się z tobą droczymy? Dlaczego ja się z tobą droczę?

– Najpewniej coś cię we mnie śmieszy – zaryzykował Lucy.

Jej twarz złagodniała.

– Nie, Lucy. Wcale nie o to chodzi.

– A więc o co?

Zastanowiła się chwilę, po czym przestąpiła z nogi na nogę. Właśnie otwierała usta, żeby coś powiedzieć, kiedy o ladę huknęło zawiniątko z zakupami Lucy'ego.

– Masz – powiedział Szczwany Rzeźnik. – I przekaż temu całemu baronowi, że wypadałoby kiedyś spłacić dług.

Lucy podniósł tobołki z zakupami, skinął Klarze i odszedł bez słowa. Już za wioską, pnąc się ku zamczysku, poczuł, że w głowie aż mu buzuje od nowych pomysłów i możliwości. Przechodząc pod gałęziami kwitnącej wiśni, pomyślał: „Świat wydaje się jaśniejszy; od Klary też bije światło, które wszystko wokół opromienia”.

TEJ NOCY LUCY nie mógł spać. Siedział w bujanym fotelu zwróconym przodem do piecyka, karmiąc jego czarną paszczę kolejnymi gałązkami i spoglądając przez okno na wioskę, na poły skrytą pod całunem leniwej mgły. Było już po północy, kiedy zdał sobie sprawę, że w odgłosy trzaskającego ognia wkradł się jakiś inny, obcy dźwięk, przypominający dyskretną krzątaninę. Dobiegał z za jego pleców, więc Lucy odwrócił się, spodziewając się zobaczyć psinę, która wierci się przez sen. Ta jednak, umościwszy się na jego poduszce, spała teraz jak zabita, toteż Lucy uznał, że najwyraźniej się przesłyszał. Wrócił do wyglądania przez okno, gdy nagle dźwięk rozległ się ponownie, tym razem wyraźniej; cała uwaga Lucy'ego skupiła się na drzwiach.

Gałka obracała się. Był to proces bardzo powolny, jak gdyby stojącemu za drzwiami, kimkolwiek był, zależało na tym, by nie zwrócić niczyjej uwagi. Gdy napotkała wreszcie opór, drzwi wzmogły się nieco w ościeżnicy; ponieważ jednak były zamknięte na klucz, nie mogły ustąpić. Gałka poczęła wówczas wracać do punktu wyjścia, a wszystko to z dochowaniem tej samej ostrożności. Lucy, skamieniały z przerażenia, nie mógł oderwać od niej wzroku. Gdy znów się poruszyła, zawołał:

– Kto tam?

Odpowiedział mu ledwo słyszalny pomruk. Męski głos, w którym pobrzmiwało zakłopotanie i głęboka krzywda, spytał:

– Dlaczego jesteś w moim pokoju?

Choć było to proste pytanie, owe pięć słów przyprawiło Lucy'ego o taką zgrozę, że aż poczuł mrowienie na całym ciele. Wstał z fotela i zaczął skradać się bokiem w stronę łóżka. Wymacawszy pod poduszką ciężką lunetę, pochwycił ją, ani na moment nie spuszczać oka z drzwi.

– To nie pański pokój – odpowiedział najspokojniej, jak umiał. – Tylko mój.

– Nie – stwierdził głos, a potem jeszcze raz: – Nie. – Lucy’ego dobiegł teraz odgłos kroków, przemierzających korytarz tam i z powrotem; mężczyzna szeptał przy tym coś sam do siebie, miotając z sykiem niejasne groźby bądź też wyrzuty. Naraz rąbnął w drzwi pięścią, a Lucy aż odskoczył, unosząc lunetę wysoko nad głową, niczym pałkę. – Nie – powiedział głos po raz trzeci, a potem kroki powłokły się po schodach na dół. Lucy usiadł w łóżku i jeszcze długo tkwił tak, wyprostowany, udręczony, wpatrując się w gałkę u drzwi i nasłuchując najmniejszego odgłosu; gdyby znów zaczęła się obracać, z pewnością wrzasnąłby z samych nerwów. Gdy obudził się rano, w zdrętwiałej dłoni wciąż ścisnął lunetę, a psina obwąchiwała szparę pod drzwiami.

LUCY WSZEDŁ DO POKOJU pana Olderglough, trzymając tacę ze śniadaniem. Ów zaś uniósł się na łokciach, poklepał pościel w okolicy kolan i odrzucił do tyłu pompon szlafmocy; zdawał się uradowany tymi atencjami. Gdy taca trafiła już na swe prawowite miejsce, mężczyzna rozpoczął zmyślną ceremonię herbacianą, a Lucy stanął z boku, starając się ubrać w jak najtrafniejsze słowa to, co leżało mu na sercu. Wreszcie uznał, że nie ma innej rady, jak tylko wyznać wszystko wprost, co też natychmiast uczynił:

– Proszę pana, jakiś człowiek chciał wczoraj w nocy wejść do mojego pokoju.

Pan Olderglough był zaprzątnięty ostrożnym odmierzaniem cukru.

– Co takiego, chłopcze? – spytał. – Co tam mówisz?

– Jakiś człowiek, proszę pana. Wczoraj w nocy. Chciał wejść do mojego pokoju.

– Jakiś człowiek, powiadasz?

– Tak. Bardzo skądinąd osobliwy.

– Coś podobnego – odparł pan Olderglough w zadumie. Nalawszy śmietanki, zamieszał herbatę, a następnie skosztował; smak musiał mu przypaść do gustu, gdyż pokiwał głową z uznaniem zarezerwowanym dla drobnych, acz niezawodnych przyjemności.

– A z jakiej racji, łaskawco, wydał ci się osobliwy?

– Choćby z racji tego, że chciał wejść do mojego pokoju.

Pan Olderglough rozważył ową tezę.

– Nie jestem przekonany, że to jest samo w sobie takie osobliwe. Czemu w końcu służą pokoje, jak nie temu, by do nich wchodzić? Lub też z nich wychodzić? Pomyśl tylko, do ilu pokoi wchodzimy, by potem z nich wyjść, na przestrzeni wszystkich naszych dni. Z pokoju do pokoju, z pokoju do pokoju. I jeszcze nazywamy to życiem. – Idea ta wydała się panu

Olderglough tak niedorzeczna, że aż zachichotał. Lucy jednak nie miał dziś serca do smętnych mniemań przełożonego; postawa pana Olderglough wręcz go irytowała, gdyż ten zgrywał niewiniątko, podczas gdy najwyraźniej wiedział dokładnie, kto zeszłej nocy złożył Lucy'emu wizytę.

Dlatego powiedział:

– Nie wahałbym się nazwać tego zdarzenia osobliwym, proszę pana. Należy bowiem zaznaczyć, iż nie chodziło o pokój do powszechnego użytku, tylko o mój własny, ja sam znajdowałem się w łóżku, a do zdarzenia doszło w środku nocy. Jeśli to wszystko nie wydaje się panu osobliwe, to doprawdy nie wiem, co mogłoby się takowym wydać. A nie napomknąłem nawet jeszcze o tonie, jakim ten człowiek się posługiwał.

– Mniemam, że i ton był osobliwy – stwierdził bez entuzjazmu pan Olderglough.

– Żeby pan wiedział! Ten człowiek zachowywał się jak w malignie. Rechotał, pomrukiwał i polemizował sam ze sobą.

– Jak gdyby siedziały w nim dwie różne osoby? Czy to masz na myśli?

– Dwie albo i więcej. Właśnie to. A więc jest pan świadom jego obecności?

– W rzeczy samej, mój chłopcze. I co, nie cieszysz się, że zamknąłeś drzwi na klucz, jak radziłem? Mam swoje lata, nie będę się tego wypierał, ale dyrdymałów jeszcze nie plotę.

– Ale kto to w ogóle jest?

– Ostatnio bardzo rzadko się pokazuje.

– I co mu dolega?

– To i owo. Odnoszę nawet wrażenie, że jest szalony.

Lucy westchnął.

– Mhm. Szalony.

– Owszem.

– Czy chce mi pan powiedzieć, że nocami po zamkowych korytarzach grasuje jakiś szaleniec?

– Zaraz „grasuje”! – Pan Olderglough pokręcił głową, po czym nałożył na kromkę nieco marmolady i jął rozsmarowywać. – Znów ta egzaltacja.

– Twierdzi pan zatem, że nie grasuje?

– Ot, spaceruje.

– Ale o co mu chodzi? – Lucy’emu coraz trudniej było opanować irytację.

– A któż by go tam wiedział? Z pewnością nie o jakąś jedną, konkretną rzecz.

– Dlaczego?

– Przecież nikomu nie chodzi o jedną, konkretną rzecz.

Siląc się na spokój, Lucy spytał:

– I naprawdę nie ma na niego żadnego sposobu?

– A co? Masz, chłopcze, jakiś pomysł?

– Może trzeba go wydalić z zamku?

– Wyśmienity plan. Daj mi znać, jak poszło.

– Ja wiem jedno, proszę pana – zachnął się Lucy – nigdy nie będę się tu czuł bezpieczny ze świadomością, że on się może w każdej chwili na mnie rzucić.

– O nie, co to, to nie. On wychodzi dopiero późną nocą. Słowo honoru. Wystarczy, że o przyzwoitej porze wrócisz do pokoju i przed snem zamkniesz drzwi na klucz. Wtedy, gwarantuję, włos ci z głowy nie spadnie. No, a teraz, jeśli pozwolisz, chciałbym...

– On myślał, że to jego pokój, proszę pana.

– Co takiego?

– Myślał, że mój pokój jest jego pokojem. Wydawał się nawet całkiem tego pewny.

– Naprawdę? – zdziwił się pan Olderglough.

– Naprawdę. No i niech mi pan powie: dlaczego?

– Dlaczego? – odparł pan Olderglough, mrugając uprzejmie.

Lucy wypalił:

– Co się stało z panem Broomem?

Pan Olderglough zmarszczył brwi, a z jego gardzieli dobył się niski warkot.

– Nie – wydusił wreszcie. – O tym nie będziemy rozmawiać.

– A to czemu?

– Ponieważ jest to niewymowne.

Lucy jął rozmyślać nad grozą owego stwierdzenia, tyleż wzniosłego, co enigmatycznego; trwało to tak długo, że pan Olderglough uznał wreszcie za stosowne powiedzieć:

– Przyznam, chłopcze, żem ciekaw, jak długo jeszcze zamierzasz przebywać w moim pokoju.

Lucy wyszedł w stanie niebagatelnego oszołomienia i przez resztę poranka prześladował go lęk. Prace wykonywał na pół gwizdka, a jego myśli coraz częściej krążyły wokół wspomnień z Bury i domu rodzinnego, który nagle wydał się tak wygodny i bezpieczny. Pan Olderglough, wyczuwając nastrój podwładnego i licząc, że uda mu się odbudować ich uprzednią relację, opartą na wzajemnej sympatii, zajrzał tego popołudnia z wizytą, przynosząc wieść, iż nazajutrz Lucy ma udać się do miasta Listen, gdzie zdejmą z niego miarę pod nowy strój. Wiadomość ta nie zrobiła na Lucym szczególnego wrażenia, gdyż teraz już dąsał się na całego, lecz kiedy pan Olderglough podał mu jego baranicę, chłopak wyraźnie się ożywił.

– Ta mała z wioski przyniosła – wyjaśnił pan Olderglough.

– Klara?

– Nie wiem, jak jej na imię. Taka drobna, oczka jak iskierki.

Gdy Lucy wziął od niego czapkę, w środku coś cicho zaszeleściło; okazało się, że pod płatem baraniej skóry tkwi złożony liścik od Klary. Charakter pisma miała zdecydowany, lecz zarazem ostrożny, a słowa maszerowały ukośnie, jak gdyby miały zaraz czmychnąć z kartki.

*Lubimy cię, Lucy, i to dlatego droczyliśmy się z Tobą. Przyjdiesz do nas jeszcze?
Bardzo proszę. Twoja Klara.*

Pan Olderglough, również zafrapowany treścią liściku, zajrzał Lucy'emu przez ramię.

– Czyś ty się wplątał w jakąś intrygę? – spytał.

– Jeszcze nie wiem, proszę pana.

– Ale zawiadomisz mnie, jak już będziesz wiedział?

– Nie omieszkam.

– Ponieważ, nie powiem, zżera mnie ciekawość.

– Zawiadomię pana.

– Doskonale – odrzekł pan Olderglough, skłonił się i wyszedł z pokoju.

Lucy jeszcze przez parę chwil czytał karteczkę na wszystkie strony, obracał ją w dłoniach i starał się rozgryźć jej znaczenie, jak również ocenić jej ewentualny wpływ na jego przyszłość. Szczenię siedziało u jego stóp i popatrywało w górę.

– Moja Klara – powiedział Lucy.

KRAWIEC MIAŁ ZIEMISTĄ cerę, wątle wąsiki, połyskliwe czarne włosy z brutalnym przedziałkiem i monokl. Podparłszy się pod boki i przymknąwszy jedno (nieumonoklowane) oko, ze stoickim spokojem przeczytał list polecający, w którym wyłuszczone instrukcje dotyczące podwładnego pana Olderglough. Następnie złożył list, zmierzył Lucy'ego wzrokiem i powiedział tylko jedno słowo: „dobrze”. Lucy musiał rozebrać się aż do najistotniejszych części garderoby i wstąpić na podest, otoczony rzędem wysokich, błyszczących luster. Przypatrując się swemu odbiciu, nienawykły do takich procedur i uwagi, czuł się nieswojo, a uczucie to potęgował jeszcze opłakany stan jego bielizny. Koszula była żalosna; slipy pożałowania godne. Choć krawiec niewątpliwie miał swoje zdanie na temat tej doprawdy kompromitującej garderoby, zatrzymał je dla siebie i oddał się bez reszty swojej pracy; dzierżąc w dłoni centymetr, obłąził niemal Lucy'ego ze wszystkich stron, pokrzykując co jakiś czas do asystenta, który notował pomiary gdzieś poza zasięgiem wzroku i, co ciekawe, przez cały ten czas nie wydał z siebie najdrobniejszego dźwięku.

Gdy Lucy znów wdział stare łachy i dołączył do krawca we frontowej części sklepu, usłyszał, że strój będzie gotowy w ciągu dwóch tygodni, a do zamku zostanie wysłany pociągiem. Lucy podziękował i już miał się ku wyjściu, gdy jego wzrok przykuła zawieszona na ścianie ciemnoniebieska, trzyćwierciowa peleryna. Wskazał ją krawcowi.

– Ile za tę pelerynę?

– Ta jest damska.

– Naturalnie. A ile kosztuje?

Krawiec wymienił sumę niemal dwukrotnie wyższą od należnej za liberię, do której właśnie zrobiono przymiarki.

– Aż tyle? – zdziwił się Lucy.

Po bliższych oględzinach okazało się jednak, że ma do czynienia z odzieżą najwyższej jakości: dostrzegł podwójne szwy, jedwabną podszewkę i kaptur z lisiego futra. Tonem iście beztroskim, jak gdyby pomysł wpadł mu do głowy przed chwilą, rzucił:

– To też doliczymy do rachunku.

Krawiec zawahał się.

– W liście pana Olderglough nie było mowy o pelerynie.

Lucy machnął ręką.

– Co to dla niego! Drobnostka.

– Zapewne. A jednak wolałbym skonsultować z nim ten zakup, o ile nie ma pan nic przeciwko temu.

– Tak się składa, że mam – odparował Lucy.

– Chętnie odłożę panu tę rzecz do czasu, kiedy pan Olderglough mi odpowie – oznajmił krawiec.

Lucy potrząsnął głową.

– Albo da mi pan natychmiast tę pelerynę i zgarnie przy tym okrągłą sumkę, albo może pan zapomnieć o całej sprawie i zadowolić się tymi kilkoma marnymi monetami, które zarobił pan na liberii.

Krawiec długo przyglądał się wiszącemu na ścianie ubraniu. Lucy dobrze wiedział, że triumf w sprawie peleryny zależy tylko i wyłącznie od tego, czy tamten jest kupcem z krwi i kości, czy też handel jest dla niego li tylko tymczasowym zajęciem. Szczęśliwie dla Lucy’ego, krawiec wychował się w sklepie, należącym podówczas do ojca, a odziedziczonym po dziadku, toteż jedynym światem, który znał i który pragnął znać, był świat kupiecki. I choć nie konsultując zakupu z panem Olderglough, jawnie naruszył reguły gry, nie potrafił też przepuścić nadarzającej się okazji na sprzedaż peleryny; dlatego postanowił zaryzykować, a ów istny zamach stanu przypieczętował jeszcze, wywijając osobliwie palcem wskazującym oraz wydając przeciągły gwizd, podobny ptasim trelom. Lucy podejrzewał, że czynności te nie miały na celu podkreślenia konkretnej emocji, a raczej uczczenie jeszcze jednego owocnego dnia na tym świecie. Nie mylił się.

Gdy niewidzialny asystent zawijał pelerynę w papier, w biurze na pięterku krawiec wraz z Lucym wznosili toasty winiakiem, gawędząc

o najrozmaitszych rzeczach niczym starzy przyjaciele, których łączą losy i zapatrywania. Lucy czuł się jak światowiec i bardzo był z siebie zadowolony. Udało mu się również nie zakrztusić winiakiem, co stanowiło dla niego nie lada ulgę; wszak w przeciwnym razie cała przygoda wzięłaby w łeb.

GDY KLARA OTWORZYŁA drzwi, w mroku ujrzała Lucy'ego, który ścisnął pod pachą jakąś paczkę. Poprosiła go do izby, a potem podeszła do pieca, żeby nalać wody na herbatę. Lucy siadł do stołu, paczkę umieściwszy obok siebie na ławie. Nerwy miał tak skołatane, że aż się zgrzał. Ściągnął tedy płaszcz, a następnie baranicę, którą położył na stole, i jął się jej zawzięcie przyglądać. Klara stała do niego plecami; odezwała się teraz:

– Widzę, że odzyskałeś czapkę.

– W istocie – odparł Lucy. – Bardzo trudno było ją znaleźć?

– Szczerze mówiąc, tak.

– Dziękuję ci zatem, żeś to zrobiła. – Ułożył paczkę na blacie przed sobą. – No i za liścik.

Na to już Klara nic nie odpowiedziała, tylko przyniosła herbatę. Spostrzegłszy paczkę, spytała:

– A co tu masz?

– To tutaj? – spytał z kolei Lucy.

– Tak – odparła Klara. – Co to takiego?

– Chodzi ci o to?

– Powiesz mi, co tam masz, czy nie? – Dźgnęła zawiniątko czubkiem palca.

Lucy popchnął paczkę ku niej, a ona spytała:

– Cóż to? Mam rozpakować?

– Tak.

– Ale jak to?

– Przyniosłem dla ciebie.

Klara wydawała się zaskoczona, a nawet zmartwiona. Wstążkę rozwiązała jedną ręką, drugą wciąż trzymając na podołku. Paczka rozkwitła szeleszczącym, oszalałamiącym kwieciem, a zoczywszy jej zawartość, Klara aż zeszywniała.

– Cóż to takiego?

– Peleryna. Nie podoba ci się?

– Dlaczego mi ją przyniosłeś?

– Parę dni temu na targu zauważyłem, że drżysz z zimna, ot co – wyjaśnił. Na dźwięk tych słów Klara wyraźnie się jednak zawstydziła, a Lucy w lot pojął swą gafę.

– Uważasz mnie więc za nędzarkę – powiedziała jednym tchem.

– Nie, Klaro.

– Nędzarkę, której trzeba jałmużny. Zgadłam?

– Ależ skąd. To nie tak.

Lecz ona już zawijała pelerynę z powrotem w papier i Lucy zrozumiał, że za chwilę okazja wymknie mu się bezpowrotnie.

– Czekaj – powiedział. – Przestań. – Gdy to nie dało żadnego skutku, powtórzył: – Przestań.

Znieruchomiała na moment, by na niego spojrzeć.

– Dlaczego odniosłaś mi czapkę? – spytał.

Na to ona zmrużyła oczy, gdyż najwyraźniej uznała, że wspominając tę okoliczność, Lucy pogrywa nieuczciwie.

– Powiedz. Dlaczego? – nalegał.

– Byłeś taki pewny, że cię nie lubimy – odrzekła. – Chciałam ci udowodnić, że to nieprawda.

– Przecież mnie chodzi o to samo – powiedział, odginając róg papieru.

Klara przesunęła dłonią po futrzanym kołnierzu peleryny.

– To za drogi prezent.

– Ale kto tak powiedział? – Lucy rozwinął pelerynę i wstał, trzymając ją przed sobą. – Czy możesz ją chociaż przymierzyć?

– Naprawdę nie powinnam – odparła.

– Bardzo proszę – powiedział Lucy.

– Nie mogę.

Z sąsiedniej chaty doleciał ich głos Memela:

– Przestańże już znęcać się nad chłopakiem.

– I nad nami – wtórował mu głos Mewe'a.

– Przymierz wreszcie tę pelerynę – powiedział Memel.

– I tak wiemy, że tego chcesz.

Lucy i Klara spłoszyli, lecz po chwili ich zakłopotanie przerodziło się w ledwo tłumiony śmiech. Lucy’emu wróciła odwaga, więc z peleryną w dłoniach podszedł do Klary, a gdy powstała z miejsca, nałożył strój na jej ramiona; Klara opatulila się w materiał i przeszła w kątek chaty, by podziwiać swój nowy wygląd w zwierciadle. Lucy stanął z tyłu i przyglądał się jej uradowanej twarzy, a potem swojej własnej. Zamknął oczy i poczuł, że przeszywa go smuga najczystszej szczęścia. Nie miał już bowiem wątpliwości: zgodnie z przepowiednią pana Olderglough wplątał się w intrygę. Otworzywszy oczy, zobaczył Klarę, która spoglądała na niego wzrokiem pełnym czułości, a może nawet (kto wie?) czegoś więcej.

– Dziękuję – powiedziała.

– Proszę bardzo – odparł.

– No i co, pasuje? – spytał Memel.

OBUDZIŁY GO ODGŁOSY wojny terytorialnej. Usiadłszy w łóżku, Lucy skierował lunetę ku zboczowi góry i odnalazł epicentrum bitwy. Leniwie, acz z pewną przyjemnością obserwował narodziny kłębow dymu, „przykrych wykwitów” (takie określenie mu się przyplątało), które zaraz rozwiewał wiatr, a na ich miejsce, wraz z hukiem następnej salwy, zjawiały się kolejne. Z tej odległości widać było gesty żołnierzy, lecz nie ich twarze; prawdę mówiąc, ów stan rzeczy wydał się Lucy’emu korzystny. W takiej perspektywie działania wojenne przypominały raczej kunsztownie zrealizowane przedstawienie, jakąś ambitną rekonstrukcję faktycznych wydarzeń.

Przez cały poranek Lucy asystował Agnes przy sprzątanii spiżarni i czyszczeniu pieców, a przed drugim śniadaniem narąbał jeszcze drewna i poukładał w równe stosy. Popołudnie miał jednak wolne, więc udał się spacerkiem do wioski. Wziął ze sobą fajkę, lecz ta wciąż nastęczała mu problemów; płomyk ledwo się tlił, co rusz trzeba było podpalać od nowa, a gdy ta sztuka wreszcie się udała, wiatr zmieniał kierunek i już dym pchał się do nosa i oczu. Kaszląc i roniąc łzy, schował wreszcie fajkę. Szczenie znów siedziało w kieszeni płaszcza, z zaciekawieniem przypatrując się światu.

Na środku targowiska Lucy ujrzał Klarę. Chwaliła się peleryną kilku wieśniaczkom, chłopkom o mięsistych, czerwonych twarzach; baby obracały dziewczynę w tę i w tę, przypatrując się bacznie strojowi. Klara uśmiechała się z dumą, pozwalając, by ją dotykały i oglądały ze wszystkich stron. Gdy Lucy znalazł się bliżej, pochwycił sens rozmowy.

– Co na to panicz Adolfus? – rzuciła jedna.

– A czy ja znam jakiegoś Adolfusa? – spytała Klara niewinnie, rozglądając się dokoła. – Ja tu żadnego Adolfusa nie widzę.

– Na jak długo przepadł tym razem?

Klara rozłożyła ręce.

– Phi! – prychnęła. Gdy Lucy był już przy nich, wskazała go pozostałym, uśmiechając się promiennie: – A oto i jegomość, który podarował mi pelerynę.

Wieśniaczki obstały Lucy’ego, szczerząc się szatańsko, dźgając go krótkimi, tłustymi paluchami i czyniąc uwagi na jego temat, jak gdyby wcale go tam nie było:

– Ciekawam, jakie ma zamiary?

– Może jeszcze pierścionek jej kupi, hę?

– Adolfus rozszarpie toto na strzępy.

– Na kawałeczki rozszarpie, jak nic!

– A mnie by taki czasem nie kupił peleryny? Chyba widać, że mi się przyda.

Klepały Lucy’ego po plecach, rycząc ze śmiechu i winszując mu tupetu. On zaś uśmiechał się słabiutko, ale wolał się nie odzywać; wcale nie był pewien, czy w równej walce dałby którejkolwiek radę. Gdy się wreszcie rozeszły, Lucy został sam z Klarą i stali tak przez chwilę, popatrując jedno na drugie. Na jej twarzy rozlewało się zimowe światło; on miał przed oczami rozmazane plamy.

– Klaro, przespacerujemy się? – zaproponował.

– Owszem, chętnie – odpowiedziała i ruszyli razem przez targowisko, choć żadne nie wiedziało, co powiedzieć.

Gdy Klara spostrzegła, że z kieszeni Lucy’ego wystaje psi łebek, wyciągnęła szczenię i wzięła na ręce, pytając, czy Lucy wymyślił już jakieś imię. Ów odparł, że nic mu jeszcze nie przyszło do głowy, a Klara zamyśliła się, obserwując go spod oka.

– A może nazwałbyś ją imieniem ukochanej?

– Może i tak – odparł. – Ale musiałbym mieć ukochaną.

– A nie masz?

– Nie. Kiedyś miałem. Na imię jej było Marina.

– Ładne imię. I cóż się stało z Mariną?

Lucy przyglądał się swemu oddechowi, który wyginał się przed nim jak podkowa. Raptem w jego myśli wkradło się niewybaczalne kłamstwo, a on

z radością przyklasnął jego narodzinom.

– Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć – odparł – umarła.

– Ojej – westchnęła Klara – strasznie mi przykro.

– Tak, cóż. Dziękuję.

– Ale jak umarła? – spytała Klara. – O ile oczywiście nie masz oporów, żeby o tym mówić.

Lucy uniósł dłoń.

– Żadnych oporów.

– Na pewno?

– Najmniejszych nawet oporów. Nie znaczy to, rzecz jasna, że rozprawianie o tym sprawia mi przyjemność.

– Skądże znowu.

Lucy odchrząknął.

– Tak. A więc. Na swój własny, skromny sposób byliśmy z Mariną całkiem szczęśliwi. Lecz nagle ona wbiła sobie do głowy, że musimy wziąć ślub, a kiedy ja nie chciałem na to przystać, wpadła w taką rozpacz, że targnęła się na swe życie.

Klarze zaparło dech.

– To straszne!

– Rzeczywiście, przykra sprawa – przytaknął Lucy.

– Ale czemuś się nie zgodził na ożenek?

– Nie była wybranką mego serca – powiedział.

– Ale ty byłeś jej wybrankiem? – odgadła Klara.

– Tak przypuszczam. A nawet mogę to stwierdzić z całą pewnością, gdyż wyznała mi to po wielokroć. Kiedy więc pojęła, że nigdy nie będę należał tylko i wyłącznie do niej, powiesiła się, i to na drzewie, które stało przed moim domem.

Klara zasłoniła usta; Lucy pokiwał wyrozumiale głową.

– A najgorsze w całej sprawie było to – ciągnął – że do sukni przypięła liścik. Adresowany był wprawdzie do mnie, ale nim wpadł w moje ręce, to już całe miasto zdążyło się zapoznać z jego treścią. Tak więc wszyscy dowiedzieli się z najdrobniejszymi szczegółami, kto i w jaki sposób

zrujnował jej życie. – Tu Lucy zamilkł na chwilę, jak gdyby brzemień tych wspomnień już nazbyt poczęło mu ciążyć.

Klara dotknęła leciutko jego ramienia.

– Czy to dlatego tu przyjechałeś? – spytała. – By uciec przed tym wszystkim?

– Przyznam, że taki był jeden z powodów.

– Tylko jeden? Spodziewałabym się, że to by już samo w sobie wystarczyło.

– Och, bez wątpienia. Lecz sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót, a to przez jednego z miejscowych, okropnego człowieka imieniem Tor. Od zawsze uganiał się za Mariną, lecz był to typ tak bezmyślny, szkaradny i ze wszech miar odrażający, że gdy tylko poczynał się do niej zalecać, ona niechybnie go odtrącała. Była to dla Tora najprawdziwsza z mora! Więc gdy Marina się powiesiła, i to jeszcze przez innego mężczyznę, Tor poprzysiągł sobie i wszystkim wokół, że pomści jej honor.

– A zatem postanowił cię dopaść?

– Nie inaczej.

– I spełnił obietnicę?

– Owszem. Był słownym człowiekiem, nie zaprzeczę. Wkrótce po całym zajściu wdarł się jak huragan do mojego domu i rzucił się na mnie, gdy byłem pogrążony we śnie.

– We śnie!

– O tak.

– Szaleniec! – stwierdziła Klara, ze zdumieniem potrząsając głową.

– Żaden szaleniec – uściślił Lucy – zwykły prostak. Niemalże zwier z obory. Pod względem umysłowym jest na poziomie pięciolatka. I to niezbyt rozgarniętego.

– Jak więc się z nim uporałeś?

– Naturalnie stanąłem do walki i siłą przegnałem Tora z mego domu. Dodam też, że po drodze wymierzyłem mu parę zdrowych kuksańców, żeby popamiętał.

– Naprawdę? Wydajesz mi się dość drobny.

– Ale jaki zwinny!

– Co ty powiesz?

– Bardzo zwinny, szybki i sprężysty.

– Nie przypuszczałabym.

– Nie zdążysz mrugnąć, a ja już będę o, tam!

– Hm.

– Słowo honoru. Tak więc już tej pierwszej nocy pokazałem łotrowi, gdzie raki zimują, przekonany, że na tym się skończy. On jednak nie dał za wygraną. Dzień w dzień to samo: starczyło, że przestąpiłem próg domu, a już zza winkła wypadał rozjuszony Tor i nacierał na mnie.

– Któż by zniósł coś takiego? – spytała Klara.

– Z pewnością nie ja.

– Ani nikt inny. – Klara zamyśliła się, po czym znów spojrzała na Lucy'ego z ukosa. – Może te wszystkie nieszczęścia miały cię przywieść ku czemuś lepszemu – powiedziała.

– Być może masz rację – odrzekł Lucy. – A nawet na pewno.

Klara ucieszyła się na te słowa i wzięła Lucy'ego pod ramię.

– Ale jak nazwiemy psinkę? – spytała.

– Nie mam pojęcia. – Lucy'ego zaprzął widok jej dłoni i jej węzowych ruchów.

Klara powiedziała tęsknie:

– Podoba mi się imię Roza.

– Roza? – upewnił się Lucy.

– Roza – powtórzyła.

Przykrywając jego dłoń swoją, oświadczyła:

– Niech zatem będzie Roza.

Tak też nazwali szczeniaczka.

ZAPROSILA GO DO SIEBIE na herbatę, która przemieniła się niepostrzeżenie w kolację; w chacie byli tylko we dwoje, gdyż Memel i Mewe pojechali do miasteczka Listen obrabiać tłumy przybyłych na święto przesilenia. W ciągu tych wszystkich godzin Klara i Lucy nie nudzili się ani przez chwilę, ledwo bowiem jedno kończyło odpowiadać na pytanie, już zadawało drugiemu kolejne, aż cała wioska ucichła i wszyscy pokładli się spać. W pewnym momencie Lucy zebrał się na odwagę i spytał:

– Kto to właściwie jest ten Adolfus?

Klara odwróciła wzrok.

– Taki jeden żołnierz, którego znałam.

– Znałaś? Czy może znasz?

– Znałam. Znam. Sama się już na tym nie wyznaję. Nie widziałam go od paru miesięcy. Kiedy znika, to nawet nie wiem gdzie.

– Ale chciałabyś wiedzieć?

– Czasem tak. – Klara znów spojrzała na Lucy'ego. – Może schlebi ci to, że niechętnie ci o tym opowiadam.

– Może – odrzekł.

Roza leżała na stole między nimi, drzemiąc w najlepsze; oboje ją głaskali, ale tak, by ich dłonie się nie spotkały. Lucy rad był w ogóle nie kłaść się spać, lecz kiedy Klara stłumiła ziewnięcie, wstał i oznajmił, że już się pożegna. Klara skinęła głową; włosy miała w lekkim nieładzie. U samych drzwi obdarzyła go jeszcze uśmiechem. Lucy przeszedł przez wioskę, a potem wspiął się na wzgórze, ku zamczysku. W zamartym westybulu zatrzymał się u stóp spiralnych schodów i z kieszeni spodni wysupłał krępy ogarek świecy. Roza zaczęła się wiercić, więc postawił ją na podłodze. Zniknęła za zakrętem schodów, a Lucy podpalił knot i ruszył za nią. Bulwiasty płomień podskakiwał przy każdym pokonanym schodku; dotarwszy do podestu znajdującego się w połowie drogi, Lucy przystanął

i ją przypominać sobie, jak uroczym wyglądała przy świecach twarz Klary, jaki piękny uśmiech starała się ukryć wśród cieni zalegających w izbie. Parę razy przyłapał ją na tym, jak muska policzkiem futrzany kołnierz peleryny; uczył wtedy dumę i wiedział, że w nadchodzących dniach, a nawet miesiącach, jeszcze wiele razy wracać będzie myślami do tej chwili.

Sporządzając ów mentalny spis niedawnych zdarzeń, Lucy wpatrywał się nieobecny wzrokiem w ciemną wnękę półpiętra; gdyby ktoś ujrzał go w tym momencie, dostrzegłby młodzieńca nieobarczonego najmniejszą troską czy zgryzotą, dla którego życie nie stanowi wyzwania, a jedynie niekończące się pasmo okazji i przygód. Lecz z minuty na minutę ów wyraz twarzy zacierał się, a jego miejsce począł zajmować inny, co rusz to bardziej zacięty i poważny. W głowie Lucy'ego zrodziła się bowiem straszliwa myśl, a nawet podejrzenie, że ciemność, w którą patrzy, nie jest wcale pusta i że coś się w niej kryje, może nawet czai; że kryje się w niej ktoś. Lucy wpatrywał się coraz usilniej w tę ciemną wnękę, niemal całkowicie wstrzymując oddech. W gęstym mroku nic się nie poruszało, lecz Lucy z każdą chwilą miał coraz większą pewność, że czai się tam jakaś postać; co więcej, że jest świadoma jego obecności. Że również go obserwuje.

Naraz wyłowił z ciemności jakiś dźwięk, choć z początku tak mało wyraźny, że Lucy nie był pewien, czy rzeczywiście coś usłyszał. Wkrótce jednak odgłos począł narastać i mimo że wciąż był bardzo nikły, jego istnieniu nie dało się już zaprzeczyć. Lucy nadal nie umiał stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, czego to był odgłos, ale miał niejasne wrażenie, że się domyśla; jednocześnie żywił gorącą nadzieję, że domysły te okażą się błędne. Niestety, im głośniejszy stawał się dźwięk, tym bardziej przypuszczenia się potwierdzały, a Lucy wielce nad tym ubolewał; ze wszystkich bowiem dźwięków, jakie można było usłyszeć w tak odludnym miejscu o tak późnej porze, ów był w istocie tym, na którego usłyszenie Lucy miał najmniejszą ochotę. Ogarnęła go bezmierna trwoga, gdy zrozumiał, że z ciemności dobiega dźwięk wygłodniałego, gardłowego spożywania.

LUCY UNIÓSŁ ŚWIECĘ; klejnot mlecznego światła padł na zaciemniony kąt, omiatając niewyraźną, przykucniętą sylwetkę okrutnie wynędzniałego mężczyzny, który miał na sobie jedynie obszarpane spodnie z grubej wełny. Skóra pleców, pokryta warstwą brudu, opinała same kości, podbicia podkurczonych stóp usmarowane zaś były najczarniejszą mazią. Wciąż nie było jasne, czym ów człowiek się raczy, gdyż jego facjatę skrywała zasłona długich, pozlepianych od tłuszczu kłaków, jadł jednak z nie lada upodobaniem, pokornie przy tym postępując, a gdy rozkosz płynąca z posiłku osiągała szczyt, jego ciałem wstrząsały dreszcze. Lucy'emu drżała ręka, wprawiając tym samym w drgania oświetlający scenę płomień. W głowie miał tylko jedną gorączkową myśl: „Gdzie jest Roza?”.

Mężczyzna przerwał ucztę i odwrócił się do Lucy'ego. Jego twarz umazana była krwią, a w dłoniach trzymał szczątki małego zwierzęcia; cała środkowa część została pożarta, a dwie pozostałe złączone były zaledwie pasemkiem czarnego futra. Mężczyzna podniósł się, a na jego usta zakradł się grymas uśmiechu; do wycieńczonego ciała przylgnęły tu i ówdzie czerwono-fioletowe drobinki mięsa i wnętrzości. Człowiek ten dyszał ciężko, a w oczach miał taką dzikość, że Lucy nie potrafił spojrzeć na niego wprost. Z trzewi tamtego dobywał się tłumiony chichot, jak gdyby obszarpaniec starał się nie narobić hałasu, nie zakłócać spokoju lub też, co było niepomiarne osobliwe, jak gdyby obawiał się, że Lucy może się poczuć zgorszony. Wstał i podszedł bliżej, podsuwając resztki swej uczy pod światło płomienia. Lucy za wszelką cenę pragnął uniknąć tego widoku, ale nie umiał się oprzeć, toteż uczył jednocześnie ulgę i trwogę, gdy w truchle rozpoznał nie Rożę, ale jedynie niezwykle dorodnego szczura. Mężczyzna również przyglądał się padlinie, lecz jakby z uwielbieniem, a może z satysfakcją. Gdy ponownie uniósł szczątki do ust i jął z lubością przegryzać żylasty pas tłustego futra, które wciąż łączyło dwa dyndające po

bokach kawały, obrzydzenie Lucy'ego sięgnęło zenitu; świat się rozplynął,
a on padł bez czucia na ziemię.

NASTĘPNEGO RANKA OCKNAŁ się we własnym łóżku: Roza lizała go po twarzy, głowę okalał bandaż, a czaszkę miał obrzękłą i obolałą. Zza drzwi usłyszał pukanie i do pokoju weszła Agnes, niosąc tacę ze śniadaniem. Lucy usiadł w pościeli i dał sobie ułożyć tacę na kolanach. Gdy Agnes nalewała herbaty, mógł wreszcie przyjrzeć się z bliska jej twarzy: policzki pokrywał delikatny meszek, a uszy były czerwone i stulone jak u niemowlaka. Wręczyła mu łyżkę i zasiadła w bujanym fotelu, cierpliwie i w milczeniu obserwując, jak je. Gdy skończył, zabrała tacę i odstawiła ją pod drzwi, by po chwili znów zająć miejsce w fotelu. Złożywszy ręce na podołku i, jak się zdało, z trudem tłumiąc rozdrażnienie, powiedziała:

– No dobrze, chłopcze, a teraz chciałabym się dowiedzieć, co ty właściwie tutaj robisz.

Lucy oniemiał.

– Słucham?

– Naprawdę nie słyszałeś, o co pytam?

– Owszem, proszę pani. Tylko nie jestem pewien, czy rozumiem. Zaproponowano mi tutaj posadę, a ja tę propozycję przyjąłem.

– Z pewnością jednak mogłeś sobie znaleźć jakąś inną pracę w twych rodzinnych stronach, nieprawdaż?

– Niezupełnie. W każdym razie żadna mi nie odpowiadała.

– To może mi wytłumaczysz, co takiego odpowiada ci w twej obecnej posadzie.

– Jestem daleko – odparł. – Jest inaczej.

Najwyraźniej otarli się tu o jakiś kluczowy aspekt całej sprawy, bo Agnes odrzekła:

– Może jednak za daleko, Lucy? Może za bardzo inaczej? – Wtem z kieszeni fartucha dobyła pojedynczą złotą monetę i położyła ją na łóżku. –

Masz tu na bilet powrotny. Życzyłabym sobie, żebyś spakował manatki i pojechał do domu.

Lucy spojrział na monetę, ale jej nie tknął.

– Wypowiada mi pani posadę?

– Nie jest to w mojej gestii – odparła.

– A więc to pan Olderglough chce mnie odprawić?

– Nie przypuszczam, by tak było. Właściwie pan Olderglough, że tak powiem, nie bardzo ma teraz głowę do takich decyzji.

– Co ma pani na myśli?

Z jej miny Lucy wywnioskował, że Agnes zastanawia się, ile może ujawnić.

– Czy pan Olderglough nie wydaje ci się nieco dziwny?

– Prawdę mówiąc – odparował Lucy – odkąd tu przyjechałem, niemal każda napotkana osoba wydaje mi się dziwna, z tego czy innego powodu. – Odpowiedź ta wyraźnie nie przypadła Agnes do gustu, toteż Lucy dodał: – Ale owszem, w panu Olderglough rys ów zdaje mi się szczególnie wyraźny.

Skinęła głową, a następnie spytała:

– Więc może nie zaskoczy cię, jeśli ci powiem, że jest on więcej niż dziwny.

– Zupełnie nie wiem, co ma pani na myśli – odparł Lucy. Była to szczerza prawda: nie wiedział.

Agnes jęła strzepywać z fartucha całkiem urojone okruszki.

– Nie śmiałabym kłaść dobrego imienia pana Olderglough. Bóg mi świadkiem, że przez całe lata nie raz i nie dwa zwracałam się do niego o pomoc i radę, a on nigdy nie odmówił. Muszę ci jednak wyznać, Lucy, że dziś już nie szukałabym jego rady. – Posmutniawszy wyraźnie, dodała: – Posłuchaj, chłopcze. Czy naprawdę nie widzisz, że sprowadzenie cię tutaj było błędem?

– Ale, proszę pani, ja nie chcę do domu – zaparł się Lucy. – Ja się tam nie czuję szczęśliwy.

– Aha. A tutaj?

Lucy umilkł na chwilę. Przed oczami stanęła mu Klara.

– Tutaj może i tak.

– Zdajesz sobie sprawę, że grozi ci niebezpieczeństwo?

– Owszem.

Agnes podniosła się z miejsca. W jej ruchach, prócz aury porażki, było coś ostatecznego i Lucy pojął, że z jakiegoś powodu zawiodła się na nim. Oznajmiła:

– Jeśli zostaniesz, takie rzeczy jak wczoraj będą się powtarzać. Sytuacja się nie poprawi. Wprost przeciwnie. – Wypowiadając te słowa, obróciła się na pięcie. Lucy spytał:

– A pani czemu stąd nie wyjechała?

Agnes przystanęła w drzwiach, rozważając odpowiedź. Potem rzuciła przez ramię:

– Przed wielu laty zawarłam układ z przyjacielem. Dopóki on tu będzie, dopóty ja pozostanę. – Jej oczy złagodniały; wzrok miała teraz nieco przyćmiony, przepełniony uczuciem. – Nie zgub tej monety. Jeśli poczujesz, że musisz opuścić to miejsce, wyjedź czym prędzej i nie oglądaj się za siebie. Czy zrobisz to dla mnie, chłopcze?

– No dobrze.

– Nie rzucaj słów na wiatr. Tak właśnie zrobił pan Broom i spójrz, na co mu przyszło.

Na dźwięk tego nazwiska Lucy'ego przeszył dreszcz.

– Ale co mu właściwie dolega?

– Komu? – spytała Agnes.

– Panu Broomowi.

Agnes potrząsała głową, patrząc na Lucy'ego jak na beznadziejny przypadek.

– Ty ciągle nie rozumiesz, prawda?

– Czego nie rozumiem?

– Pan Broom od dawna nie żyje. Zeszłej nocy miałeś przyjemność poznać barona von Aux.

PO TYM JAK AGNES opuściła jego pokój, Lucy jeszcze długo siedział na łóżku, usiłując połączyć w jedno autora rozdzierających, wysmakowanych listów miłosnych, które dzień w dzień kazano mu dostarczać na stację, i ową zdziczałą, do szczętu skretyniałą zjawą z mrocznego półpiętra. Stwierdziwszy, że jest to ponad jego siły, postanowił na jakiś czas odłożyć tę kwestię. Nie mógł się jednak uspokoić, więc przywdział ubranie, zszedł na sam dół i przecinając westybul, udał się prosto ku wrotom. Poranek był chłodny, więc tuż za progiem Lucy naciągnął baranicę na uszy, zważając, by nie naruszyć bandaża, zawiązanego zresztą raczej nadgorliwie. O ranie głowy myślał z pewną tkliwością; czy w owym przejmującym bólu nie kryła się wszak jakaś słodycz? Zastanawiał się, co na ten jego uraz powie Klara; już wyobrażał sobie, jak jej delikatne dłonie dotykają jego potylicy, szukając źródła bólu. Opowie jej, jak odniósł ranę, a ona, omdlała niemal z wrażenia, słuchać będzie o tej makabrycznej próbie odwagi, po czym zaparzy mu na pocieszenie filiżankę herbaty, a może i uraczy kawałkiem makowca. Czyż takie okoliczności nie były warte tej całej męki? A jednak nie było mu to pisane; kiedy bowiem Lucy stanął u drzwi chaty, nie było tam ani Klary, ani Memela, ani Mewe'a, lecz chata wcale nie była pusta; wręcz przeciwnie, pełna była aż po brzegi, wypełniał ją mianowicie ten sam oddział żołnierzy, który Lucy spotkał po przybyciu na zamek. Wszyscy poza Wyjątkowo Przystojnym Mężczyzną byli na stojąco, on zaś siedział przy stole na środku izby i obracał w dłoniach pelerynę Klary. Minę miał kwaśną i ponurą, a na widok Lucy'ego nie rozchmurzył się ani odrobinę.

V

WKRACZA ADOLFUS

WYJĄTKOWO PRYZYSTOJNY MĘŻCZYZNA przemówił:

– Nazywam się Adolfus. Wybacz mi, Lucy z Bury, że się nie przedstawiłem, gdyśmy się ostatni raz widzieli. Niewykluczone jednak, że od tego czasu moje imię obilo ci się o uszy.

– W istocie – odpowiedział Lucy.

Adolfus uniósł w dłoniach pelerynę.

– Słyszałem, że przyniosłeś mojej Klarze podarek. Prawda to?

– Prawda.

– A czemu, jeśli wolno spytać?

– Ponieważ było jej zimno.

– Ach tak. – Adolfus odwrócił się do żołnierza stojącego z prawej strony. – Zimno ci? – spytał.

– Zimno – odparł żołnierz.

Adolfus odwrócił się tedy do innego żołnierza, stojącego z lewej.

– A tobie zimno?

– Zimno jest, to i mnie zimno.

– I mnie także zimno – stwierdził Adolfus, po czym znów zwrócił się do Lucy'ego: – Wszystkim nam zimno. Ale wątpię, byś miał nam z tego tytułu podarować peleryny. Mam rację?

Lucy milczał. Wzrok Adolfusa nabrał nowego, groźnego wyrazu. Wreszcie ów wycedził:

– Powiem ci, jak będzie, chłoptasiu. Zwrócę ci pelerynkę. Możesz ją wręczyć jakiejś innej dziewczce, możesz sam się w nią ubrać, możesz ją cisnąć do pieca. Możesz z nią zrobić, co ci się żywnie podoba, gdyż należy do ciebie. Chcę ci jednak zakomunikować, że jest jedna rzecz, której z nią zrobić nie możesz, mianowicie oddać jej Klarze. A skoro już o tym mowa, to nie sądzę, byście odtąd mieli jakikolwiek powód, żeby się widywać. Zrozumiano?

Lucy nic nie odpowiedział. Spostrzegł teraz, że żołnierze z jakiejś niewiadomej przyczyny stoją tuż przy nim.

– Mogę spytać, o co panowie walczyacie?

– Walczymy, żeby inni nie musieli – odparł Adolfus.

– I z kim tak walczyacie, żebym ja nie musiał?

– Z takimi, co się bękartami urodzili i bękartami pomrą – odrzekł Adolfus, po czym wskazał otaczających go żołnierzy. – Słuchaj no, ruszamy niedługo z ważną kampanią, potrwa jak nic do wiosny. Ręce mam pełne roboty i naprawdę nie chce mi się zajmować jakąś zamiejscową znajdą, której się ubzdurało merdać do mojej narzeczonej swoim tycim, różowym fiutkiem. To jak, posłuchasz dobrej rady czy nie?

Adolfus wstał od stołu, przemaszerował przez całą izbę i stanął przed Lucym. „Gdyby nie ten jego wzrost – myślał Lucy. – Gdyby nie ten jego tupet”. Nie potrafił spojrzeć Adolfusowi w oczy, więc kiedy tamten wcisnął mu pelerynę w garść i wypchnął go za drzwi, Lucy mógł tylko zaakceptować swój los. Tak też zrobił.

Gdy szedł przez wioskę, nie czuł zupełnie nic. Na targu dostrzegł Klarę, która trzęsła się z zimna w swoim starym, złachanym płaszczu. Zbliżając się do niej, zdał sobie sprawę, że zaczyna w nim aż kipieć. Gdy już stali twarzą w twarz, zapytał się w duchu, czy nie pała do niej przypadkiem nienawiścią.

– Słyszałem od Adolfusa, że bierzecie ślub – wydusił z siebie.

Podniosła ku niemu oczy i na jej policzkach dostrzegł rozmazane łzy. Odparła:

– Tak przynajmniej twierdzi Adolfus.

– A więc winien ci jestem gratulacje. – Lucy trzasnął obcasami i ukłonił się w pas. – Życzę wam obojgu długiego i szczęśliwego żywota.

Ubodły ją te słowa, toteż odstąpiła go na krok. Wbiwszy wzrok w pelerynę, którą ściskał w garści, spytała:

– Naprawdę tylko tyle masz mi do powiedzenia, Lucy?

Choć silił się na chłodną kalkulację i beznamietność, gdy spojrział Klarze w oczy i pojął, że poniósł porażkę w miłosnych konkurach, własne serce ogłosiło przeciw niemu bunt i pierś wezbrała bezbrzeżnym smutkiem.

– Długiego żywota życzę! – powtórzył, po czym obrócił się na pięcie i z policzkami palącymi od łez pospieszył z powrotem na zamek. Gdy już wspiął się po schodach do swojego pokoju, był zupełnie wyczerpany, a w sercu czuł jedynie ziejącą pustkę. Działając bez namysłu, wyciągnął spod łóżka kuferek i spakował całe mienie, w tym pelerynę Klary i lunetę pana Brooma. Do kieszeni wsunął pieniądze od Agnes, a następnie sięgnął po papier i pióro, by sporządzić krótki list pożegnalny z myślą o niej i o panu Olderglough. Pismo położył na poduszce, schwycił Rozę pod pachę, w drugą rękę ujął kuferek i ruszył krętymi schodami na dół. Przechodząc przez westybul, zauważył, że na stoliczku czeka kolejny list od barona. Odstawiwszy na ziemię kuferek, przyglądał się przez chwilę kopercie, po czym odpieczętował ją i zaczął czytać.

Minionej nocy złapałem brzytwę, by nią sobie gardziel otworzyć. Jakież by to było proste: jeden zręczny ruch nadgarstka i życie uszłoby z mego ciała, światło przybladłoby w komnacie, a ja wreszcie uczułbym spokój. Nie boję się umrzeć, ten lęk już od dawna mnie nie dotyczy. A jednak nie umiałem zdobyć się na ów gest, wiedząc, że Ty wciąż dychasz. Gdyby i Ciebie nie było już wśród żywych, czyn ten popełniłbym bez wahania, lecz dłoń mą powstrzymuje świadomość, że Ty tu pozostaniesz. A więc będę żył, póki nie wrócisz do mnie. Jeśli zaś nie wrócisz nigdy, szczenę, czekając na Ciebie. To Ci przyrzekam.

LUCY UKOJENIA SZUKAĆ zwykł w rezygnacji, o czym dobrze wiedział; nieobca była mu ulga, którą przynosi pogodzenie się z porażką. Czuł, że ucieczka przed cierpieniem i strachem jest w jakiś sposób uzasadniona; postępował wszak logicznie, decyzja o wyjeździe była zaś konieczna i rozsądna. Mimo to, przeczytawszy list barona, uczuł dojmujący wstyd, który przyćmił wszystkie inne uczucia, toteż miał udać się na stację, jak zamierzał, Lucy wyciągnął z kuferka pelerynę i znów ruszył w dół zboczem doliny, ku wiosce. Gdy pukał do drzwi Klary, serce biło mu tak mocno, że czuł je nawet w koniuszkach palców. Otworzyła; była sama. Podał jej pelerynę i powiedział:

– Nie możesz wyjść za Adolfusa.

Była straszliwie blada, a na pelerynę spozierała z niebywałym smutkiem.

– Dlaczego – spytała.

– Ze względu mianowicie na fakt, iż cię kocham.

Wypowiedziawszy te słowa, Lucy ujrzał, jak twarz Klary się wypogadza, jej oczy rozpromieniają z każdym uderzeniem serca; oto znów wyglądała prześlicznie. Podeszedłszy bliżej, uniosła się na palcach i pocałowała Lucy'ego w usta, leciutko, a potem jeszcze raz w szyję. Weszła z powrotem do chaty, a Lucy podążył za nią. Przyglądał się, jak Klara zrzuca stary płaszcz i zakłada na ramiona pelerynę, stając przed lustrem jak niegdyś i podziwiając swe wdzięki.

– O, dzień dobry – mówiła – kim jest ta młoda dama? Jest w świetnym nastroju, nieprawdaż? Ciekawe, cóż takiego jej się przydarzyło? Może usłyszała jakieś dobre wieści. Może usłyszała dokładnie to, co pragnęła usłyszeć. – Okręcała się w tę i we w tę, uśmiechając się do siebie. – Patrzcie no, jest w naprawdę świetnym nastroju! Zobaczymy, jak długo to potrwa!

WSKUTEK OSTATNICH WYDARZEŃ zakiełkowało w Lucym nieoczekiwane uczucie, które, choć zrazu go nie rozpoznał, z czasem uznać musiał za euforię. To właśnie w owym stanie spłodził pewien plan czy też może strategię działania, która zdała mu się zarazem błyskotliwa i (ze względów czysto humanitarnych) nieodzowna; powróciwszy przeto kolejnym bladym świtem do swego pokoju, począł z zapalem wprowadzać ją w życie, chwytając pióro i całymi godzinami, póki mu ręka całkiem nie zdrętwiała, mozoląc się nad kartką papieru, by każde słowo stało na właściwym miejscu.

Lucy sporządził mianowicie list do baronowej von Aux. Przedstawił się, opisał pokrótce swą posadę na zamku, a następnie podzielił się opinią na temat kondycji psychicznej barona. Lucy podejrzewał bowiem, iż mimo złowieszczego i niewątpliwie ponurego tonu, w jakim utrzymane były listy barona, małżonka nie zdaje sobie w pełni sprawy z jego prawdziwego stanu, toteż jeśli się ją o tym stanie powiadomi, a w jej sercu ostał się choćby okrucuch czułości dla męża, to list Lucy'ego z pewnością nie pozostanie bez takiej bądź innej odpowiedzi. Lucy nie był wszelako uczonym i nigdy dotąd nie podejmował się takich zadań, nie próbował mianowicie za pomocą samego języka odmieniać ludzkich losów. Doszedł jednak do wniosku, że jest to zajęcie nużące i że nie zazdrości wcale rozsianym po świecie mędrcom, dla których składanie zdań jest chlebem powszednim. Kolejnego ranka, przeczytawszy po raz setny swoje wycpociny, uznał wreszcie pismo za udatne, po czym wsunął je do koperty wraz z codzienną porcją baronowych wynurzeń.

Komponując ów list, a nawet jeszcze w drodze na stację, by go nadać, Lucy działał w gorączce słusznej sprawy; nie miał wątpliwości, że to, co zamierza uczynić, jest zasadne, a nawet konieczne. Wydarzyła się jednakowoż rzecz dziwna: gdy już przechwycono list z jego wyciągniętej

dłoni, a więc dokładnie w chwili, gdy zamiar Lucy'ego z mrzonki przeistoczył się w fakt – otóż w tej dokładnie chwili naszło go przeczucie, noszące wręcz znamiona objawienia, iż popełnił kardynalny, brzemienny w skutki błąd. Przez jakiś czas tkwił na peronie, dumając nad zaistniałą sytuacją, przepełniony rosnącym strachem. Gdy pociąg przetoczył się przez stację i zniknął z pola widzenia, Lucy'emu udało się ową intuicję odepchnąć, a wręcz odegnąć od siebie, miał bowiem na głowie inne, pilniejsze, a także znacznie przyjemniejsze sprawy. Zostawiając stację za sobą, skierował kroki ku wiosce. Nad chatą Klary unosił się dym z komina. Lucy puścił się biegiem.

VI

MIŁOŚĆ LUCY'EGO I KLARY

ROBIŁO SIĘ CORAZ cieplej, kampania Adolfusa ewidentnie zaś trwała w najlepsze. Popołudniami Lucy i Klara chadzali na długie spacery po lesie, dłonie splótłszy w uścisku. Rozprawiali o błahostkach lub o rzeczach, które wydawały się błahe, gdy się o nich mówiło, lecz które na długo pozostawały Lucy'emu w pamięci. Któregoś dnia Klara oświadczyła, że przebijająca spod stopniałego śniegu trawa przypomina jej futro nowo narodzonego źrebaka albo cielęcia.

– Przecież ziemia nie jest zwierzęciem – powiedział Lucy.

– A właśnie że jest – odparła Klara, ujmując jego dłoń jeszcze mocniej.

NOCE SPĘDZAŁ TERAZ Lucy w łóżku Klary. Okazało się, że potrafi ją rozśmieszyć, i tak mu się to spodobało, że czasami przedobrzył, a ona następnego dnia utyskiwała na ból brzucha. Zwykle budził się o świcie, gdy Klara i Memel jeszcze spali, i ruszał na zamek. Z Listen przysłano już nową liberię, tak dobrze skrojoną, że Lucy każdego ranka z lubością wciągał ją na swe ciało.

Roza towarzyszyła mu niekiedy w wykonywaniu obowiązków, lecz równie często, gdy czas już było udać się na zamek, psina ociągała się przy drzwiach chaty, a Lucy rozumiał, że chciałaby zostać i pohasać z matką i rodzeństwem. W takich chwilach zawsze czuł się odrobinę zdradzony; zdawał sobie jednak sprawę, że Roza jest już za duża na kieszeń jego płaszcza i że należy jej się trochę własnego życia.

Ukończywszy pracę na zamku, Lucy przebierał się w stare łachy, na głowę wbijał wysłużoną baranicę i ruszał z powrotem do wioski. Niektóre wieczory młodzi spędzali w towarzystwie Memela i Mewe'a; inne mieli tylko dla siebie. I tak czas sobie płynął, a życie zdawało się dogadzać im na każdym kroku. We wszystkim była jakaś niezwykła naturalność, jak gdyby życie Lucy'ego rozwijało się według gotowego scenariusza. Później zastanawiał się, ile właściwie dni zeszło im w ten sposób.

TYDZIEŃ BEZUSTANNEJ ULEWY, potem niemożliwy upał i nagle, ni stąd, ni zowąd, przyszła wiosna, a w całej dolinie rozświergotały się owady. Lucy i Klara leżeli w wysokiej trawie na wzgórzu ponad wioską; on wsparty na łokciach, z rozspaną miną, ona skulona obok, wpatrzona w żonkile, które ugiwały się do samej ziemi, gdy tylko przysiadła na nich pszczoła. Klara położyła dłoń na jego nagim brzuchu, a on spojrzał na nią.

– Robiłaś to już z kimś? – spytał.

Skinęła głową.

– A ty?

On też skinął głową. Gładząc jej włosy, spytał, jak sobie poradzą z Adolfusem.

– Ale co masz na myśli? – zdziwiła się.

– Chcesz, żebym z nim stoczył pojedynek?

– Nie.

– Dlaczego?

Zastanawiała się, jak najlepiej to ująć.

– Ponieważ byłoby to nierozsądne.

– Uważasz, że by mnie rozniósł?

Musnęła jego twarz.

– Tak.

– No i masz zapewne rację.

– Obiecuj mi, że nie będziesz nawet próbował.

– Nie wiem, czy będę miał jakiś wybór, kiedy Adolfus wróci.

Potrząsnęła głową.

– Ja z nim porozmawiam. Na pewno bardzo go to zrani. Ale on nie jest złym człowiekiem.

Lucy zadumał się nad tym.

– Czego on tak naprawdę chce? – spytał.

– Zostać bohaterem – odparła Klara. – I właściwie niczego więcej.

– A ty? Co miałybyś robić?

– Najpewniej ćwierkać z zachwytu.

Lucy roześmiał się, po czym powiedział:

– Wiesz co? Mnie się wydaje, że jednak miałbym z nim szansę. Wystarczyłoby mi tylko wyobrazić sobie was dwoje, razem, w takim miejscu jak to.

Klara usiadła, zaskoczona.

– Adolfus i ja... – Potrząsnęła głową. – Do tego nigdy między nami nie doszło. I wcale nie żałuję.

Lucy uczuł wielką ulgę, po której przyszedł czas na jeszcze większą ciekawość; bardzo pragnął zignorować to uczucie, lecz nie potrafił, toteż nie zrobił tego.

– A zatem z kim, jeśli nie z Adolfusem?

– To był tylko jeden raz – odrzekła Klara. – I nic nie znaczył. – Znów wyciągnęła się na trawie. – Opowiem ci, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć.

– Naprawdę chcę wiedzieć.

– No to proszę bardzo.

*O tym, jak Dziwny Nieznajomy ze Wschodnich Stron,
Bezbożnik i Deprawator, Klarę zbałamucił*

WSZYSTKO PRZEZ TO, jak nieznajomy spojrział na Klarę: poczuła się jak smakowity kąsek, który zaraz zostanie pożarty. Nigdy jeszcze nikt tak na nią nie patrzył. Nowe doznanie zaniepokoiło ją z kilku co najmniej powodów, przede wszystkim zaś dlatego, że sprawiało jej (a przynajmniej jakiejś jej części) przyjemność. Rozchybotana furmanka wtoczyła się do wioski wczesnym popołudniem, dostarczając rozrywki mieszkańcom, którzy zwykle o tej porze nic zupełnie nie mieli do roboty, stłoczyli się więc zdumieni wokół wozu, gapiąc się na nieznajomego i zarzucając go wszelkimi pytaniami, jakie im tylko przyszły do głowy: skąd przybywa? czemu stamtąd wyjechał? dokąd zmierza? i po co? Byli też ciekawi wieści ze świata, a strudzony wędrowiec cierpliwie, acz bez entuzjazmu zaspokajał ich ciekawość co do tych, a także szeregu innych kwestii. Gdy przez chwilę zaległa cisza, nieznajomy ściągnął kapelusz i spytał, czy może przenocować w wiosce, chciałby bowiem odpocząć i uzupełnić zapasy; uzyskawszy zgodę, znów nasadził kapelusz na czoło i wyszczerzył zęby w uśmiechu, który Klarze wydał się święcie nieprzyzwoity. Nieznajomy, wiedziony jakby intuicją co do tego werdyktu, odwrócił raptownie głowę i wyłuskał ją z tłumu. Patrzył jej teraz prosto w oczy, a w jego wzroku było coś więcej niż zwykła zuchwałość; ponieważ był przystojny, a przy tym spowijała go owa aura mrocznej tajemnicy, której niektóre delikatne młode damy z łatwością ulegają, Klara nie potrafiła oderwać od niego wzroku. Czowała też, że ogarnia ją nieokreślony i niepojęty lęk.

Zsiadłszy z wozu, nieznajomy ją przeciskać się przez tłum, aż zatrzymał się przy Klarze. Miał na sobie jedynie brudny kaftan; na jego umięśnionych, mocno opalonych ramionach nie było ani jednego włoska. W ustach błyskał złoty ząb i brakowało mu dolnej połowy lewego ucha, lecz kiedy ujął jej dłoń, od krzyża aż po ramię przeszył ją gwałtowny dreszcz. Nieznajomy ucałował wierzch jej dłoni. Spojrzała na chłodne miejsce, w którym usta dotknęły jej skóry, i już było po Klarze. Przepadła z kretesem.

Reszta popołudnia upłynęła jej na wzmożonej krzątaninie. Klara załatwiała niezbyt pilne sprawy i składała wizyty osobom, których wcale widzieć nie pragnęła, byleby tylko nie być sam na sam ze swymi myślami lub też, co gorsza, z nieznajomym. W obawie, że ów zawita nocą do jej sypialni, zmusiła Mewe'a, by spał obok niej. Gdy jednak nieznajomy się nie zjawił, była (ku swej konsternacji) niepoczyszona, jak gdyby umówili się na schadzkę, a on się wykpił. Rankiem zbudziła się wcześniej i poszła do studni umyć twarz. Mijając okryty kapą wóz nieznajomego, odchrząknęła. Ułożywszy mydło i ręcznik na cembrowinie, rozpoczęła ablucje i czekała. Po jakimś czasie posłyszała za plecami szelest trawy, toteż uśmiechnęła się, nie odwracając się jednak; gdy uczuła, że do jej nóg przywiera coś pokrytego twardą szczecina, cofnęła się, gorączkowo chwytając powietrze... lecz to tylko pies Memela prężył ku niej grzbiet; cała sytuacja bardzo Klarę rozbawiła. Spłukawszy z twarzy mydło, sięgnęła po ręcznik, lecz nie znalazła go tam, gdzie powinien był się znajdować.

– Czemu się przede mną chowasz? – spytał nieznajomy. Stał tuż za jej plecami. Klara spoglądała w marmurową czerń okrągłego lustra wody na samym dnie rozciągniętej jak luneta studni. Jej serce łomotało jak szalone, jakby za chwilę miało pęknąć na kawałki.

– Nie ufam panu – odparła. – Pan sprawia, że czuję się nieswojo.

Położył dłonie na jej biodrach i obrócił ją twarzą do siebie. Ręcznik miał przewieszony przez ramię.

– Ale trochę ci się to podoba, co? – spytał.

– Wcale nie wiem, czy mi się podoba – odparowała. – Czuję się trochę, jakbym miała gorączkę.

Woda kapiała z jej włosów, nosa i podbródka; nieznajomy zdjął z ramion ręcznik i począł ją wycierać. Robił to delikatnie, acz gruntownie, a gdy skończył, zarzucił jej ręcznik na kark tak, że zwisał z obu stron wokół mostka. Znów miała ciarki na całym ciele; drżącym głosem spytała:

– Kiedy pan stąd wyjedzie?

– Niebawem. Jeszcze nie jestem gotów do drogi.

– A kiedy będzie pan gotów?

Dotknął dłonią jej policzka.

– Po. Będę gotów po.

Niemal się zachłysnęła, a on odwrócił się i ruszył przez łąkę w stronę wioski; w ślad za nim podreptał pies.

Tego popołudnia przyjęła inną taktykę, postanowiła mianowicie zaprzyjaźnić się z nieznajomym. Schodził właśnie z targowiska, a ona, zrównawszy z nim krok, przybrała serdeczny ton i spytała, wskazując jego ucho:

– Skąd ma pan tę ranę?

Spojrzał na nią rozbawiony, jak gdyby dobrze wiedział, co knuje. Ciągnąc za resztkę ucha, odparł:

– Na to pytanie nie umiem odpowiedzieć. Któregoś ranka ocknąłem się cały we krwi i brakowało mi tego kawałka.

– Odcięto go panu we śnie?

– Tak.

– Ale któż to zrobił?

– Wrogów mam pod dostatkiem. Nikt się nie przyznał.

„Jaki on rzeczowy – pomyślała. – Jak gdyby w całym incydencie obchodziło go tylko to, że ktoś mu narobił bałaganu”.

– To musiał być jakiś straszny łotr – stwierdziła.

– Czemu zakładasz, że to był mężczyzna?

– Och, przecież kobieta nigdy nie dopuściłaby się takiego czynu!

Nieznajomy pomyślał chwilę, najwyraźniej sięgając daleko pamięcią, po czym całkiem przytomnie oświadczył:

– Znałem takie, co dopuszczały się znacznie gorszych rzeczy.

Klara oblała się rumieńcem. Uczuła niezrozumiałą, choć niewątpliwą zazdrość, co z kolei przyprawiło ją o rozpacz. Gdy się już pozbierała, spytała uprzejmie:

– Czy rzeczywiście ma pan wielu wrogów?

– Tak się składa, że mam.

– Ale dlaczego?

– Nie umiem powiedzieć. Gdziekolwiek się jednak ruszę, zaraz się od nich roi. – Na jego twarzy znów wykwitł ten sam nieprzyzwoity uśmiech. Klara nie wiedziała, co począć z dłońmi; wsparła się więc pod boki.

– A czemu pan się tak uśmiecha?

– Jak?

– O właśnie tak! – wskazała. – Tak uśmiechają się ludzie, którzy chcą coś ukryć.

– Ja nie mam przed tobą nic do ukrycia.

– Doprawdy?

– No dobrze, może jednak mam. Chciałabyś się dowiedzieć, co to takiego? Powodzenia!

Nieznajomy bawił się słowami; bawił się też Klarą, więc raz jeszcze postanowiła dać mu spokój. Zajęła się sprzątaniami chałupy i przyrządzaniem stawy na obiad, ale wciąż nie umiała uwolnić się od myśli o tym mężczyźnie. Gdy wieczorem znów przyszedł Mewe, by spać u jej boku, odprawiła go. Nie zrobiło to jednak żadnej różnicy, gdyż nieznajomy się nie zjawił. Rankiem, po śniadaniu, odszukała go; leżał w polu łubinu między wioską a zamczyskiem, wygrzewając się na słońcu. Gdy podeszła, uśmiechnął się.

– Nie wiem, jak ty tu wytrzymujesz – powiedział. – Strasznie tu nudno.

– Tu wcale nie jest nudno.

– Przerażliwie nudno. Nieprawdopodobnie wprost nudno.

– Ja ubóstwiam to miejsce – odparła; tak też było w istocie.

Przyjmując pojednawczy ton, rzekł:

– No dobrze, to powiedz mi, co w nim tak ubóstwiasz.

– Mojego ojca, moich przyjaciół. Zwierzęta, rzeki. Ubóstwiam tutejsze pory roku; trwają dokładnie tyle, ile powinny, nie sądzi pan?

Nieznajomy nic nie odpowiedział.

Klara ciągnęła:

– Ubóstwiam te łąki, o tam – machnęła ręką w stronę rozległych, zielonych zboczy, które rozciągały się za zamczyskiem. Nieznajomy usiadł, by spojrzeć w tym kierunku.

– Co jest za tym wzgórzem?

– Takie same łąki.

– Chodzisz tam czasem?

– Bywa, że chodzę.

Spojrzał jej prosto w twarz.

– Zaprowadzisz mnie?

– Ale po co?

– Nie uważasz, że już czas, żebyśmy pobyli sami?

– Przecież jesteśmy sami.

– Sami, ale nie sam na sam. A ja chcę z tobą pobyć sam na sam.

Wstał, by przyjrzeć się wzgórzom za jej plecami. Był od niej znacznie wyższy.

– Czy pobędziesz ze mną sam na sam? – spytał.

Poprowadził Klarę ku grzbietowi wzgórza, a potem na drugą stronę, mocno ściskając jej dłoń; miał twardą, zrogowaciałą skórę. Klara czuła woń jego ciała, a w brzuchu wzbierało tak gwałtowne podniecenie, że była na skraju mdłości. Szła bez butów; przyglądała się swym bosym stopom, muskanym przez trawę i kwiaty. Nie wiedziała dokładnie, dokąd zmierza, ale za żadne skarby nie zawróciłaby z tej drogi. Uśmiechała się, lecz nie chcąc dać tego po sobie poznać, wtuliła podbródek w pierś. Gdy już znaleźli się po drugiej stronie wzniesienia, zatknęła za ucho niesforny kosmyk i jęła rozglądać się za kawałkiem płaskiej ziemi. Znalazłszy taki, wskazała:

– Tam.

Ruszyli w tę stronę.

LUCY'EGO ZANIEPOKOIŁA WYRAŻNA duma, z jaką Klara opowiedziała mu swą historię; bolało go, że jest tak rada ze swego awanturniczego usposobienia. Wiedział co prawda, że to z jego strony małostkowe, ale nie umiał wpłynąć na uczucia. Zaczął się na powrót ubierać, gdy wtem dostrzegł osę, która próbowała wyplątać się z pajęczyny rozpiętej między niższymi gałęziami pobliskiego drzewa. Cała sieć podrygiwała i dygotała, a Lucy zbliżył się, żeby popatrzeć. Za nim podeszła Klara, ale opętańcze bzyczenie osy przepełniło ją zgrozą, więc powiedziała:

– Lucy, oswobodź ją.

– Po co – odpowiedział. – Patrz. – Po gałęzi już skradał się pająk: nogi, głowa, rozkołysany odwłok. Był olbrzymi i pod jego ciężarem cała pajęczyna znieruchomiała, a osa na ułamek chwili przestała się szamotać. Lecz naraz zdwoiła wysiłki, jak gdyby pojmując, co ją czeka; oprawca był coraz bliżej, a jej bzyczenie podskoczyło o całą oktawę.

Pająk obracał osę, szukając idealnego miejsca do ataku. Omotał ją dwukrotnie i dopiero wtedy capnął; lecz gdy zwarł się z ofiarą w uścisku, wbiła mu żądło w pajęczą facjatę, uśmiercając swego kata na miejscu. Ów zwisał z gałęzi na pojedynczej srebrnej nici wyzierającej wciąż z odwłoka i obracał się teraz martwo, trącany lekkim wietrzykiem.

W zdarzeniu tym było coś, co rozdrażniło, a nawet zgorszyło Lucy'ego, który z wyraźną irytacją przyglądał się teraz martwemu pająkowi. Schwycił po jednym bucie w każdą rękę i ustawił je tak, by obiekt zainteresowania znalazł się między nimi.

– Co ty wyprawiasz? – zdziwiła się Klara.

Lucy nie odezwał się ani słowem, tylko klasnął jedną podeszwą o drugą, a pająk pękł niczym nabrzmiałe winogrono. Klarę przepełniło to wstrętem.

– No i po coś ty to zrobił? – spytała.

– Nie wiem – przyznał Lucy. Sam był zdumiony swoim zachowaniem.

– To okropne, że mogłeś zrobić coś takiego.

Lucy nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Odwrócił się od pajęczyny i usiadł, żeby wciągnąć buty. Klara stała obok w milczeniu, kipiąc ze złości. Sądziła, że zasługuje na przeprosiny, choć nie do końca wiedziała za co. Poszła przodem w stronę wioski, a Lucy patrzył za nią, ale jej nie zawołał ani też nie spróbował jej w żaden sposób ugłaskać. Gdy wróciła do swojej chaty, padła na łóżko i szlochała niemal przez godzinę. Nazajutrz Lucy ją przeprosił i potem już wszystko było jak dawniej. Żadne nie rozumiało, o co tak naprawdę się posprzeczali; zostało jednak uzgodnione, że już nigdy nie wspomną o pająku ani o dziwnym nieznanym ze wschodnich stron.

JEDNA Z WIEŚNIACZEK, złożona chorobą, na parę dni zostawiła pod opieką Klary niemowlę; wzięli się więc razem z Lucym do zabawy w dom, zrazu figlarnie, potem nieco poważniej, wreszcie zaś całkiem serio. „Tak to by wyglądało” – myślał sobie Lucy z pewnym niepokojem, gdyż nigdy dotąd nie czuł się tak ukontentowany.

Dziecię, tłuściutkie jak prosiak, miało oczka koloru fioletowego i nazywało się Anna. Dziewczynka bywała zazwyczaj w wyśmienitym nastroju i łatwiej ją było rozbawić, niż potem uspokoić, lecz trzeciej nocy, dręczona jakąś bolączką, za nic nie chciała przestać płakać; rychło też się okazało, że płacze dwakroć bardziej zapamiętale, niż wcześniej się śmiała. Ów rozdygotany, różowy tobołek siedział teraz na środku łóżka Klary, wymachując drżącymi piąstkami i z trudem łapiąc powietrze. Myśleli, że Anna jest chora albo że w jej ciało wbiła się drzazga, ale nie miała gorączki, a na jej skórze nie dopatrzyli się niczego, co przypominałoby ranę, toteż zupełnie nie wiedzieli, co począć.

Klara spoglądała na dziecinę z ukosa. Wtem coś jej wpadło do głowy i wyszła z pokoju; pozostawiony z Anną Lucy nachylił się ku niej i jął stroić różne groteskowe miny. Gdy to nie poskutkowało, przeszedł do swych popisowych odgłosów: stuku-puku w drewnienko, kłus konika, a na koniec wielkie żabsko na liściu wodnej lilii. Lecz Anna nadal się wściekała i Lucy dał za wygraną.

– Odgłosy mi się skończyły – oświadczył.

– Czekaj – powiedziała Klara. Wróciła do pokoju, osłaniając dłonią świeczkę, po czym położyła się na brzuchu przed Anną. Przesuwając świeczkę to w jedną, to w drugą stronę, zdołała przyciągnąć wzrok dziewczynki, która wodziła teraz oczkami za rozedrganym płomykiem; odwrócił on jej uwagę, a może nawet ją oczarował, w każdym razie złość osłabła o połowę. W pewnym momencie Klara zatrzymała świeczkę

w miejscu i zaczęła w nią równomiernie dmuchać, nie po to, by zgasić płomień, lecz by go jedynie zakrzywić. Ogień załopotał szorstko niczym płócienny żagiel na wietrze. Dziewczynka już całkiem przestała płakać. Klara dmuchała teraz mocniej, a płomyk kurczowo trzymał się knota; w końcu jednym gwałtownym dmuchnięciem sprawiła, że płomień pękł z trzaskiem na dwoje. I, niczym po puencie słynnego popisu, Anna na nowo wybuchnęła dzikim śmiechem, jej tajemnicza niedola zniknęła zaś tak jak płomień. Klara uśmiechała się, rada ze swego sukcesu, a ku sufitowi ulatywały serpentyny dymu. Lucy, który śledził całe to widowisko od samego początku, pomyślał sobie teraz: „Tak właśnie wygląda zadziwienie”.

Uczucie to wniknęło w niego głęboko. Tej nocy, gdy spał, krążyło w jego krwi, a o poranku wciąż było przy nim, toteż kiedy wrócił do zamku, nie miał wątpliwości, że miłość zawładnęła nim bez reszty. Gdy zaniósł panu Olderglough śniadanie, wymienili swe zwyczajowe, niewymuszone serdeczności. Peter skrobał w swej klatce w rogu komnaty; gdy Lucy podszedł bliżej, doznał wstrząsającego olśnienia. Z toaletki pana Olderglough wziął lusterko podręczne i przystawił je do klatki.

– Cóż ty, chłopcze, wyczyniasz? – zaniepokoił się pan Olderglough.

– Chwileczkę – odparł Lucy.

Peter wpatrywał się w lusterko jak urzeczony. Obracał główkę, by przyrzeć się lepiej nieznanemu, i naraz wydał z siebie niepewny, chrapliwy skrzek w tonacji minorowej. Zapanowała napięta cisza, Lucy i pan Olderglough nie śmieli bowiem zaczerpnąć tchu; i wreszcie Peter wyśpiewał swój dawno zapomniany trel. Pieśń tryskała teraz z niego niczym szemrzący potok, jak gdyby tłamszenie jej w środku przez tak długi czas było prawdziwą męczarnią. Peter śpiewał do swojego odbicia, śpiewał pieśń miłosną na własną cześć, gdyż nie był już samotny, a świat raptem zaroił się od nieodgadnionych możliwości. Pan Olderglough cisnął w powietrze tacę, która runęła zaraz na podłogę z przeraźliwym brzękiem, po czym wyskoczył z łóżka i jął biegać po pokoju w koszuli nocnej i szlafmycy, wrzeszcząc w euforii.

NIE WSZYSTKO JEDNAK układało się tak pomyślnie. Klara nosiła w sobie jakiś smutek, a Lucy był tym faktem nie lada przestraszony. Choć chowała je głęboko, uczucie to wyzierało z każdego jej gestu: objawiało się, gdy splatała dłonie; gdy odgarniała z czoła kosmyk, by zatknąć go za ucho; gdy jej wzrok rwał się ku otwartej przestrzeni, jakby goniąc za czymś znajomym, a może i za czymś nieznanym i nowym; tkwiło też uparcie w jej milczeniu. Lucy, sam się sobie dziwiąc, odkrył w sercu rozpaczliwą potrzebę, by ów smutek przewyciężyć, naprawić, unicestwić. Lecz nawet gdyby to się udało, któż mógł przewidzieć, co go zastąpi?

Klara coraz więcej czasu spędzała osobno, spacerując po lesie; znikwała na godzinę, a czasem i dwie. Do jej samotnych przechadzek Lucy odnosił się z instynktowną nieufnością. Wreszcie nie wytrzymał:

– Kiedy tak chodzisz sama do lasu, to dokąd właściwie chodzisz?

– Chodzę sama do lasu.

– I po co?

– Bo chcę pobyc sama w lesie.

– Ale dlaczego?

– Bo chcę. – Spojrzała na Lucy'ego. – Tobie się to nie zdarza.

– Po prostu nie mam ochoty być jeszcze bardziej samotny, niż jestem – stwierdził. Żadne z nich nie uznało tego za szczególny powód do dumy.

Pewnego dnia, gdy kupował na targowisku warzywa, Lucy dostrzegł w tłumie Klarę. Szła ścieżką, która prowadziła na obrzeża wioski, a na jej twarzy malowała się tak dojmująca samotność, że Lucy ruszył za nią. Klara zmierzała ku linii drzew, idąc powoli, lecz bez wahania, jakby w jakieś konkretne miejsce. Lucy mógł ją zawołać, lecz nie uczynił tego. Gdy wśliznęła się do lasu, pospieszył jej śladem.

Wśród drzew światło się przerzedziło, zniknął gdzieś wiatr. Chwilami ją widział, lecz zaraz znów zniknęła mu z pola widzenia za jakąś kępą zieleni.

Lucy czuł się podle w roli szpiega i cała sytuacja wielce go uwierała, ale nie umiał się powstrzymać, toteż poprzysiągł sobie, iż doprowadzi rzecz do końca. Wreszcie Klara wyszła na polanę. Na samym środku stało samotne drzewo; był to przysadzisty i sękaty dąb, którego martwe, ogołoczone gałęzie obsiadła chmara kruków. Gdy dziewczyna podeszła bliżej, dało się słyszeć narastający szelest; część ptaków poczęła potrząsać łebkami i rozcapierzać skrzydła, by po chwili znów je stulić. Klara przystanąła pod drzewem, a Lucy'emu zdało się, że przemówiła do kruków. Gdy ruszyła w dalszą drogę, Lucy znów podążył za nią, drzewo omijając jednak z daleka, gdyż było w nim coś upiornego.

Klara znów zapuszczała się coraz głębiej w las. Zatrzymała się dopiero na brzegu rwącej, wezbranej po odwilży rzeki. Gdy podkasała spódnicę, by usiąść, Lucy zakradł się bliżej, chowając się za wykrotem, chciał bowiem dojrzeć jej minę i odgadnąć jej myśli. Rzeka przetaczała się z takim hukiem, że Lucy czuł, jak ten dźwięk wdziera się w jego ciało, całą pierś wprawiając w drgania. Choć zwykliśmy kojarzyć rzekę z bieżącą wodą, nad jej fizyczne właściwości powinno się właściwie przedkładać dźwięk, jaki z siebie dobywa.

Klara wbiła wzrok w migotliwą, umykającą wodę, a jej oblicze się zachmurzyło. Po chwili zaczęła łkać; czyniła to otwarcie i bez cienia wstydu. Lucy przyglądał się temu i w jego głowie zakiełkowała świadomość, że życie, które dzieli z Klarą, osiągnie pewnego dnia swój kres. Najważniejszą cechą tego wspólnego życia była wszak jego wyjątkowość; nie należało spodziewać się, że będzie trwało wiecznie. Z tego przeświadczenia zrodziło się uczucie wdzięczności, i to tak silne, że Lucy przez chwilę trwał w uniesieniu. Niebawem Klara osuszyła twarz, wstała i ruszyła z powrotem tą samą drogą. Gdy mijala Lucy'ego, ten uskoczył za korzeń, a potem jeszcze długo siedział samotnie na brzegu. Zostawiając rzekę w tyle, czuł, że coś w nim ścichło.

Na skraju polany stąpnął przypadkiem na gałąź; w pustej przestrzeni trzask rozniósł się błyskawicznie, a kruki niczym jedno ciało wzbiły się w powietrze, czyniąc przy tym hałas tak wielki i równomierny, że Lucy'ego do cna przeszyła trwoga. Miał wrażenie, że jakaś część jego duszy, dotąd

mocno osadzona, obluzowała się teraz, przyprawiając go tym samym o ból i udrękę.

TEJ NOCY JAKIŚ ciężar nie dawał Klarze spokoju; spała plecami do Lucy'ego. On sam przewracał się z boku na bok w nerwowym półśnie, toteż obudził się dopiero późnym rankiem. Miejsce Klary było puste, ale w izbie od frontu czekał na niego imbryk z herbatą, gruba pajda chleba, słoik miodu oraz jabłko, starannie obrane i wydrążone. Owoc był orzeźwiająco cierpki, a herbata miała delikatny sosnowy posmak. Wyobraził sobie Klarę krzątającą się przy śniadaniu, gdy jeszcze spał. Przez okno wśliznął się teraz wąski pas słońca, złamany ostro ku podłodze, niczym oparta o ścianę belka z tartaku. Drobinki kurzu wirowały w nim przyjaźnie, a potem pofrunęły w otaczający mrok lub też zostały przez niego wchłonięte; Lucy począł myśleć o przyptywach i odpływach. Jakież spokój panował w tym momencie w jego życiu! Zdał sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie przepełniało go tak melancholijne szczęście.

Uprzątnąwszy ze stołu, zmył naczynia, osuszył je i odstawił na miejsce. Z doliny dolatywał gwizd porannego pociągu, więc Lucy miał dokładnie dwadzieścia minut na to, by zabrać z zamkowego westybulu list barona i dostarczyć go na peron. Usiadł i naciągnął buciory; wiązał je właśnie, gdy do izby wpadła Klara, niemal bez tchu, za to z promiennym uśmiechem na twarzy.

– Nie słyszałeś pociągu? – spytała.

– Owszem, słyszałem.

– No to do pracy, leniuchu! – Pociągnęła go w górę za klapy marynarki i ucałowała. Jej uśmiech był niewymuszony, swobodny; chwyciła Lucy'ego za biodra i przycisnęła mocno do siebie. Uprzednie zgryzoty, czymkolwiek były spowodowane, odsunięto na bok; najwyraźniej Klara podjęła jakąś decyzję i była ona dla Lucy'ego korzystna. Wypychając go za drzwi, przypomniała, by się nie spóźnił na obiad, a on przytaknął. Gdy maszerował przez wioskę, czuł ogromną radość i ulgę, gdyż nic nie

dolegało jego Klarze i wszystko było po staremu. Nie zdołał się jednak tym stanem nacieszyć. Gdy mijał targowisko, podszedł do niego Szczwany Rzeźnik i zagadnął:

– Przykra sprawa z tym Adolfusem, nie?

– A co się stało?

– Toś jeszcze nie słyszał? Wzięli go do niewoli.

– Skąd pan to wie?

– Na górskim trakcie spotkałem jednego z jego ludzi, wszystko mi opowiedział. Ponoć Adolfus dostał serię w bebechy, wtedy tamci go dopadli i gdzieś zaciągnęli. Krew się za nim lała po śniegu. Nie miał szansy uciec. Nawet jeśli przeżył, to go pewnie powieszają. No i co ty na to?

– A cóż ja bym miał na to?

– No chyba się cieszysz, hę?

– Nie. Nie wiem. – Lucy czuł odrazę do Szczwanego Rzeźnika za to, że mówi takie rzeczy, nawet jeśli była to prawda; czuł też nawrót ponurego nastroju, gdyż Klara z pewnością zamartwiała się właśnie na wieść o pojmaniu Adolfusa. I jeśli nawet wydawała się teraz pogodzona z losem, to Lucy czuł przez skórę, że to jeszcze nie koniec tej historii. „Jakże brutalna jest miłość” – pomyślał. „Brutalna”: takie właśnie określenie przyszło mu do głowy.

LUCY STAŁ NA STACJI, dzierżąc w dłoni kolejny list barona. Smętnie mu było na sercu, a umysł wyrywał się, by zgłębiać swe najmroczniejsze zakamarki. Z okna nadjeżdżającego pociągu wysunęła się znajoma dłoń; tego ranka jednak ów przydatek prezentował się zgoła inaczej, ponieważ w garści ścisnął różową kopertę. Oszołomiony niedorzecznością tej sytuacji, Lucy zapomniawszy własną przesyłkę i stał jak wryty, wzrok utkwivszy w tej, która powiewała w dłoni maszynisty. Kiedy pociąg już go minął, maszynista upuścił list, a Lucy patrzył za wirującą w powietrzu kopertą. Osiadła wreszcie na ziemi, a Lucy schwycił ją, list od barona ciskając precz, i co sił w nogach popędził na zamek. Wdrapywał się już na wzgórze, gdy z oddali dobiegł go dźwięk syreny kolejowej: pół tuzina sygnałów, *staccato*. Maszynista był, rzecz jasna, koneserem zamkowej korespondencji, na długo zanim Lucy odpieczętował pierwszy list.

Wpadłszy do kuchni, Lucy zastał Agnes na strzyżeniu pana Olderglough. Ów, okutany w prześcieradło, siedział na krześle z niskim oparciem, kucharka zaś stała za nim, z nożycami w gotowości. Ponieważ scena ta tchnęła domowym zaciszem, Lucy poczuł się jak natręt, a miny przełożonych jedynie go w tym mniemaniu utwierdziły; nie zaoferował im jednak nawet zdawkowych przeprosin, gdyż doprawdy brakowało czasu na roztrząsanie gaf towarzyskich. Wcisnął panu Olderglough do ręki kopertę.

– Odpisała, proszę pana – wysapał.

Pan Olderglough poddał kopertę bacznym oględzinom. Obejrzał ją z wierzchu, od spodu i jeszcze raz z wierzchu, po czym skrzyżował wzrok z Agnes i skinął głową. Następnie odpieczętował list i przebiegł tekst oczyma; minę miał przy tym surową i palec wskazujący prawej dłoni wycelowany ku górze. Skończywszy, wstał z krzesła i począł przechadzać się nerwowo po całym pomieszczeniu, zwracając się do Lucy'ego i Agnes tonem miarowym i zasadniczym.

– Baronowa zjawi się u nas za dwadzieścia dni – powiedział.

Agnes dosłownie zachłysnęła się powietrzem.

– Wykluczone.

– Przyjeżdża. Koniec, kropka.

– To się nie może wydarzyć. Napiszesz do niej natychmiast i wyjaśnisz, że to absolutnie niemożliwe.

– Już wyruszyła, a więc jest nieosiągalna. Obawiam się, że teraz już wszystko jest wyłącznie w naszych rękach. – Wsunął list z powrotem do koperty. – Mam też, niestety, gorszą wiadomość.

Agnes zbladła.

– Nie waż się nawet wypowiadać tych słów.

Pan Olderglough przytaknął.

– Będziemy mieli gości.

Na te słowa kucharka zwiesiła smętnie głowę.

– Przybędą dwa dni po baronowej – ciągnął pan Olderglough.

– Kto?

– Księżę z księżną, hrabia z hrabiną.

Pan Olderglough i Agnes wymienili strachliwe spojrzenia.

– Jak długo zostaną? – spytała.

– Do końca miesiąca.

Agnes przyjęła tę ostatnią wiadomość w milczeniu.

– No cóż – wykrztusiła wreszcie – najwyraźniej baronowa nie orientuje się, jak sprawy stoją. W przeciwnym razie wiedziałyby, że nie ma tu po co wracać. A już na pewno nie po to, by podejmować gości.

– Mam wrażenie, że się jednak orientuje – odparł pan Olderglough i przeczytał na głos fragment listu: – „Barona proszę zaś doprowadzić do takiego stanu przyzwoitości, na jaki pozwoli jego obecna kondycja psychiczna”.

– Niechybnie więc pragnie naszej zguby – oświadczyła Agnes. – Albo sama postradała zmysły!

– Wydaje się tryskać optymizmem. – Pan Olderglough znów zerknął na list. – Charakter pisma nie stracił nic ze swej wytworności. – To jednak

okazało się znikomą pociechą: Agnes, niczym osoba owładnięta bezrozumną paniką, osunęła się na krzesło.

– To ponad moje siły – oświadczyła. – Nie wiedziałabym nawet, w co ręce włożyć!

– Przyznam, że nasze zadanie jest dość niewdzięczne.

– Niewdzięczne? – spytała Agnes, jak gdyby się przesłyszała.

– Właśnie tego słowa użyłem.

Agnes przeniosła wzrok na Lucy'ego.

– Przecież to jest jeden wielki cmentarz!

Pan Olderglough stanął przed nią i położył jej dłoń na ramieniu. Jego głos był stanowczy, acz niepozbawiony czułości.

– Weź się w garść, Agnes – powiedział. – Zamek jest pogrążony we śnie; musimy zbudzić go do życia. Zresztą nie pierwszy raz. Czyżbyś już zapomniała?

– Tak źle jeszcze nigdy nie było.

– Nie myślę się z tobą sprzeczać w tej kwestii. Niewykluczone też, że nasze starania zakończą się porażką. Lecz do wyboru mamy tylko dwie drogi: podjąć wyzwanie bądź też go nie podejmować. I wiem, moja droga, że je podejmiesz, a ty wiesz to samo o mnie.

Agnes westchnęła, jakby prowadzono ją na ścięcie, po czym wyszła z pokoju, powłócząc nogami. W drzwiach oświadczyła, że musi wiele rzeczy zaplanować, lecz wpierw chciałaby spędzić nieco czasu na osobności, zamierza bowiem pławić się zawzięcie w rozpacz i nie życzy sobie, by jej podówczas przerywano lub też zwracano głowę w jakikolwiek inny sposób. Gdy zostali sami, pan Olderglough zwrócił się do Lucy'ego; czułość, która jeszcze przed chwilą przepełniała jego twarz, zniknęła bez śladu.

– A teraz, chłopcze, pomówmy o dniu jutrzejszym – powiedział.

– O dniu jutrzejszym, proszę pana?

– Tak jest. – Pan Olderglough odchrząknął. – Albowiem dzień jutrzejszy nie będzie jednym z tych dni, kiedy to całym sobą pragniemy oddawać cześć Bogu w niebiesiech.

– Mówi pan?

– Dzień jutrzejszy nie będzie jednym z tych dni, do których radzi jesteśmy wracać myślami i które w sercu naszym zajmują poczesne miejsce.

– Nie będzie?

– Dzień jutrzejszy nie będzie się zaliczał do przemiłych.

– Ale czemu, proszę pana?

Pan Olderglough wetknął kopertę z listem do kieszonki na piersi.

– Ponieważ w dniu jutrzejszym musimy wytropić, pojmać i ponownie ucywilizować barona.

VII

O TYM, JAK WYTROPIONO, POJMANO I PONOWNIE
UCYWILIZOWANO BARONA

TROPIENIE BARONA BYŁO dla Lucy'ego iście kuriozalnym przeżyciem; wszak niedawno jeszcze miał robić wszystko, co w jego mocy, żeby się na tego osobnika nie natknąć, teraz zaś aktywnie uczestniczył w jego poszukiwaniach, choć (przynajmniej z początku) bez rezultatów.

Założywszy, iż baron sypia za dnia, wiele widnych godzin spędzili w nadziei, że przyłapią go na drzemce w tym czy innym zakątku zamczyska. Nie znaleźli jednak niczego, co dowodziłoby nocnych zwyczajów barona; w istocie trudno było o jakiegokolwiek dowody na jego istnienie, z wyjątkiem pozostawionych tu i ówdzie dyskretnych kałuż i stożków. Wszelako jego własna komnata pozostawała nietknięta, a w spiżarni nie brakowało nawet szczypty soli. Nocą zaś, pobudzeni gorzką kawą od Agnes oraz wynikłą z bezsenności i skądinąd przyjemną dezorientacją, snuli się ze świecą po korytarzach, zzuwszy uprzednio buty na rzecz samych skarpet. Przy tym ostatnim uparł się pan Olderglough, twierdząc, iż należy zachować najdalej idącą ostrożność. Lucy wcale nie był do owej taktyki przekonany, gdyż od kamiennej posadzki marzły mu stopy; gdy począł się dąsać, pan Olderglough użyczył mu dodatkowej pary skarpet, którą Lucy naciągnął na swoją. Tak oto udało się położyć kres jego udręce i między Lucym a jego zwierzchnikiem znów zapanowała zgoda. Należy przy tym zaznaczyć, iż panu Olderglough eskapada sprawiała ogromną przyjemność; zastanawiał się właśnie, czemu nigdy nie spróbował swych sił jako poszukiwacz przygód.

Minęły jednak trzy pełne doby, a oni nie byli ani o krok bliżsi celu. Ponieważ na sen poświęcili tylko tyle czasu, ile było absolutnie konieczne, poczęło ich dopadać znużenie, a w ślad za nim w ich serca wkradł się cień wątpliwości. Wkrótce już dręczyło ich przeświadczenie, iż wszelkie podjęte przez nich wysiłki są całkowicie jałowe. W końcu pan Olderglough orzekł, że barona wytropić się nie da i w związku z tym należy poniechać dalszych

prób. Lucy zmartwił się, widząc przełożonego w tak posepnym nastroju; rozważywszy więc sprawę ze wszystkich stron, zasugerował, że niewłaściwie się do niej zabrali.

– Co też masz na myśli? – spytał pan Olderglough.

– No bo, proszę pana: łazimy po omacku w ciemnościach. W jego ciemnościach. Czy nie rozsądniej byłoby zwabić go gdzieś, gdzie jest jaśniej?

Pan Olderglough zmrużył oczy.

– Proponujesz więc, byśmy go wzięli podstępem?

– A czemu by nie? – spytał Lucy.

Wielce zaintrygowany, pan Olderglough udał się do swojego pokoju, by przemyśleć fortel. Lucy był bardzo dumny ze swego konceptu, lecz wkrótce zaczął gorzko żałować tego, że się nim podzielił, gdyż w konsekwencji pan Olderglough wpadł na pomysł, by to właśnie Lucy'ego wykorzystać jako przynętę. Plan został przedstawiony w następujących słowach:

– Położysz się do łóżka o zwyczajowej porze. Wszystko będzie tak jak zwykle, z jednym wyjątkiem: drzwi nie będą zamknięte na klucz, a wręcz otwarte na oścież.

– Ach tak? – spytał Lucy.

– Właśnie tak.

– A gdzie pan będzie się podówczas znajdował?

– Ukryję się za drzwiami – odrzekł z wyraźną dumą pan Olderglough.

– I co będzie pan tam robił?

– Będę czekał, aż baron wejdzie do pokoju.

– A gdy to już nastąpi? Co wtedy?

– Wychynę z kryjówki i zdzielę mego chlebodawcę w czerep grubą brzoźową pałką.

– Doprawdy?

– Możesz na mnie liczyć, chłopcze.

– Ciekawym jednak, co dalej.

– Gdy już padnie bez czucia, przetaszczymy go do jego komnaty i przywiążemy do łoża. Następnie wmusimy mu jadło, wykąpiemy, ogolimy, ostrzyżemy i spróbujemy wskrzesić w nim zamięłowanie do

kulturalnego towarzystwa. – Pan Olderglough aż zacierał ręce. – Jak ci się podoba taka strategia?

Lucy odparł:

– Nieszczerólnie mnie przekonuje, proszę pana.

– A więc nie jesteś gotowy wprowadzić jej w życie?

– Nie, proszę pana, nie jestem. I jeśli mam być szczerzy, to sądzę, że i pan nie jest.

– Cóż to za postawa, mój chłopcze? Trzeba nam do boju!

– Trzeba nam raczej innego planu.

– Trzeba nam wejrzeć w siebie i odnaleźć wojownika, który w nas drzemie!

– Proszę pana, u mojego wojownika to już raczej sen wiekuisty. Przyznam, że nie znajduję w sobie najmniejszej chęci, by leżeć bez ryszunka w pościeli i czekać, aż ten człowiek zjawi się w moim pokoju.

– Toż ci mówię, że nie będziesz sam.

– Niewątpliwie jednak tak się będę czuł, proszę pana.

Pan Olderglough przyjrzał mu się spod oka.

– Pozwolisz, chłopcze, że dam wyraz swemu rozczarowaniu.

– Może pan je nawet roztrząsnąć w sążnistym traktacie, ja z ciekawością przeczytam. Nie sądzę jednak, bym znalazł wśród jego stronic coś, co nastroi mnie korzystnie do pańskiego planu.

– Cóż, chłopcze, przykro mi stawiać sprawę w ten sposób, ale on musi się ziścić. I dalibóg, ziści się.

– Śmiem wątpić, proszę pana.

– Chcesz utrzymać posadę?

– Wie pan doskonale, że chcę.

– Więc chyba nie ma o czym mówić, prawda? – Wypowiedziawszy te słowa, pan Olderglough podszedł do okna, by rozejrzeć się po świecie. – No i gdzieś się podziało, słońce, ty stare licho? – Szukając go, pochylił się zbyt mocno i odbił czołem od szyby.

JEDNYM SŁOWEM, TEGO wieczoru Lucy rzeczywiście położył się do łóżka o zwykłej porze, drzwi zostawiono otwarte na oścież, a pan Olderglough ukrył się za nimi, ściskając w dłoni brzożową pałkę, usta zaś zacisnąwszy w grymasie ponurego upor. Uprzednio poinstruował Lucy'ego, że mają nie rozmawiać, toteż w pomieszczeniu panowała cisza. W pewnym momencie Roza zakradła się do kąta, w którym sterczał pan Olderglough, i jęła wachać, a następnie podgryzać jego stopę; Lucy wstał więc i przyniósł ją z powrotem do łóżka. Zaczął masować jej goły brzusek, co ją ukoilo, i wkrótce zapadła w sen, kompletnie nieświadoma trosk dręczących jej pana.

Ów zaś nie miał ani chwili wytchnienia od straszliwej trwogi. Nasłuchiwał i raz po raz zdawało mu się, że to baron pełźnie po schodach, lecz w obramowaniu drzwi nie majaczył żaden kształt, więc Lucy mógł jedynie wpatrywać się w bezmierny mrok i zgadywać, co się w nim kryje. W takich to męczarniach minęła niemrawa godzina, potem kolejne pół. Wówczas Lucy zdał sobie sprawę z niekorzystnego faktu: pan Olderglough spał w swym kącie na stojąco, czego dowodził niezbitnie delikatny poświst chrapania. Lucy odrzucił koc, by zbudzić przełożonego, gdy nagle u szczytu spiralnych schodów dojrzał zgarbioną sylwetkę barona: naga, usmarowana brudem postać dyszała ciężko, gapiąc się na Lucy'ego w maniackim osłupieniu.

Lucy wyszeptał:

– Panie Olderglough. Proszę pana.

Baron wszedł bokiem do pokoju.

– Panie Olderglough.

Baron był coraz bliżej Lucy'ego.

– Panie Olderglough!

Pan Olderglough sapnął, a baron, usłyszawszy to, spojrzął przez ramię ku drzwiom. Podchodząc bliżej, odchylił je i jego oczom ukazał się pan Olderglough, oparty o ścianę i drzemiący niczym niemowlak, z otwartą buzią i dłońmi zwisającymi luźno wzdłuż ciała. Baron dłuższą chwilę mu się przyglądał, jak gdyby gdzieś tliła się iskierka pamięci, po czym uniósł dłoń i położył ją panu Olderglough na policzku. Na to ów jegomość się przebudził, a zoczywszy stojącą przed nim postać, wydał z siebie krótki, acz szczery wrzask, zamachnął się potężnie pałką i zdzielił barona w czerep. Baron padł jak długi i leżał teraz bez ruchu na posadzce.

Pan Olderglough oglądał brzozową pałkę z niekłamany podziwem.

– Coś podobnego! Bardzo to było satysfakcjonujące – przyznał, a na jego twarzy malowała się radość; jakież bowiem osobliwe i nieodgadnione bywały koleje ludzkiego losu, jakież niekiedy cudowne! Pan Olderglough schylił się, by ułożyć barona na wznak. Ujmując porośnięte brudem nadgarstki, zwrócił się do Lucy'ego: – A ty, chłopcze, złap za nogi.

WKRÓTCE PO TYM, jak przywiązano go do łoża, baron ocknął się i odnotowawszy fakt pojmania, począł miotać się i skowytać, kląć i pluć, a także ryczeć z samych trzewi, przy czym owładnięty był taką wściekłością, iż nie panował w ogóle nad czynnościami fizjologicznymi; niewykluczone również, że celowo owe czynności wywoływał, by i w ten niewerbalny sposób uzewnętrznić swój gniew. Cały ten spektakl wydał się Lucy'emu zgoła makabryczny. Pan Olderglough z kolei wyglądał na całkiem niezrażonego. Jego opanowanie w obliczu zaistniałej sytuacji niewątpliwie wykraczało poza ramy cierpliwości: zdałoby się, że dogłąda kapryśnego oseska, a nie rozszalałego, ubabranego nieczystościami psychotyka. Na krótko przed świtem wiek jednak począł dawać się panu Olderglough we znaki, toteż przeprosił Lucy'ego i udał się do swej komnaty, by się pozbierać i odzyskać siły. Lecz najpierw przykazał podwładnemu tkwić na posterunku i pilnować pacjenta, więc Lucy usiadł w bezpiecznej odległości i dogłądał barona w jego nieustającej histerii, aż ów, znękany własnymi wyczynami, zapadł w sen; podówczas i Lucy poddał się fali zmęczenia i zasnął wyprostowany na krześle. Parę godzin później zbudziło ich obu natarczywe popołudniowe słońce. Gdy baron kątem oka dostrzegł Lucy'ego, obrócił ku niemu twarz, na której panował teraz całkowity spokój. Być może była to zasługa odpoczynku lub też stan maniakalny ustąpił chwilowo sam z siebie; tak czy inaczej, baron w jednej chwili znów stał się człowiekiem.

– Coś ty za jeden? – spytał.

– Jestem Lucy, Wasza Mość. Dzień dobry.

– Skąd się tu wzięłeś?

– Ja tu mieszkam, Wasza Mość. Przyjęto mnie na posadę, którą wcześniej piastował pan Broom.

– Broom – wycedził baron, łypiąc spode łba, jak gdyby rzeczony człowiek osobiście zagrażał jego bezpieczeństwu. Naraz stał się niecierpliwy; zdawało się, że przypomniał sobie o jakiejś niezwykle pilnej sprawie. – Rozwiąż mnie natychmiast – rozkazał.

– Nie wolno mi tego uczynić, Wasza Mość.

– Rozwiąż mnie albo pożegnasz się ze swoją posadą.

– Niezmiernie mi przykro, iż muszę z Waszmością polemizować, lecz pan Olderglough wydał mi wyraźny rozkaz i to do jego życzeń się zastosuję.

– Pan Olderglough – powtórzył baron, dla odmiany z wielką czułością. – A gdzież on teraz jest?

– Tutaj jestem, jestem wciąż – odpowiedział pan Olderglough, który właśnie w owej chwili wkroczył do komnaty, niosąc miskę z zupą, za którą ciągnął się tren pary. Wydawał się doskonale wypoczęty. – Gdziekolwiek się znajdę, tam trwam. – Zasiadł u wezgłowia i odnotowując przytomność baronowego umysłu, wielce się uradował. – Ach, witamy, witamy. Oczy me cieszy widok Waszej Mości, a mówię to zupełnie szczerze.

Baron uśmiechnął się.

– Jak się miewasz, Myronie?

– Ech, raz na wozie, Wasza Mość, raz pod wozem.

– Czyli po staremu?

– Cóż począć? Życie nas doświadcza.

– A pozwól, że spytam: nadal miewasz napady melancholii?

– Niestety nie chce mi dać spokoju.

– Gdybyż tylko skromna radość była równie natrętna, co?

– Samą prawdę Waszmość rzekł!

Baron skinął podbródkiem ku misce, którą pan Olderglough trzymał w dłoniach.

– Co tam masz? Tylko nie mów, że Agnes znów rozrabia w kuchni.

– Obawiam się, że istotnie rozrabia, Wasza Mość.

– Domyślam się, że chcesz, bym skosztował? Czy tak?

– W istocie.

– A mogę spytać, z czego toto przyrządzono?

– Sądzę, że lepiej będzie, gdy Wasza Mość spróbuje w ciemno. Za to posiłek niewątpliwie będzie z korzyścią dla ducha! – Pan Olderglough podsunął baronowi łyżkę rosółu. Ów przełknął porcję niechętnie, krzywiąc się i mrużąc oczy.

– Zaiste, jej entuzjazm dla pieprzu nie osłabł ni trochę.

– Przyznać należy, że jest mu niezłomnie wierna.

Baron zajrzał do miski.

– A co tam pływa?

– Jest tylko jeden sposób, by się przekonać, Wasza Mość! A więc do dzieła, a potem sprawdzimy, jakie jeszcze niespodzianki dziś nas czekają. Jak się Wasza Mość na to zapatruje?

Baron przystał na propozycję i karmienie wznowiono. Patrząc na tę dwójkę, Lucy zastanawiał się, ile lat upłynęło im na podobnych rozmowach. Konwersowali tak swobodnie, jak gdyby stanowili jedną całość; to, że jeden karmi drugiego, wydawało się najnaturalniejszą rzeczą na świecie. Gdy miska była już pusta, pan Olderglough spytał:

– I co, takie było niesmaczne?

– Sam wiesz, jakie było – odparł baron, choć trzeba było przyznać, że wracała mu krzepa. – A więc – ciągnął – czas już chyba odnieść się do faktu, iż jestem przywiązany do własnego łóża, pozostaję w neglizju i wymagam co najmniej kilku kąpielii.

– Właśnie, skoro już o tym mowa – odpowiedział pan Olderglough. – Nie muszę chyba zaznaczać, że wielce ubolewam nad tym, iż Wasza Mość znalazł się w tak niefortunnym położeniu. Zarazem jednak trudno byłoby mi twierdzić, że stało się tak bez powodu, gdyż nie byłaby to prawda.

– Czyżbym znów zachowywał się... niekulturalnie? – spytał baron.

– Owszem, i to od paru miesięcy. Czyż Wasza Mość nie przypomina sobie?

– Coś niecoś. – Tu baron wejrzał w głębiny pamięci, lecz wzdrygnął się, spostrzegłszy, co skrywają. – Przykro rozważać te sprawy – dodał.

– W tej kwestii nie będę się spierał, proszę Waszej Mości. Być może najlepiej jest nie rozpamiętywać.

– Otóż to.

- Miast roztrząsać, co minęło, patrzmy raczej w przyszłość.
 - Krzepiąca dewiza, Myronie. Jestem ci za nią wdzięczny. – Baron pociągnął nosem. – Rozwiążesz mnie?
 - Nie uczynię tego, Wasza Mość.
 - A czy przewidujesz jakiś konkretny termin, w którym mogłoby się to wydarzyć?
 - Mam nadzieję, że wydarzy się to całkiem niedługo.
 - Wszak zawsze byłeś człowiekiem z zasadami.
 - Lubię tak o sobie myśleć, Wasza Mość.
- Baron skrzywił się.
- Dlaczego boli mnie głowa?
 - Cóż – odparł pan Olderglough. – Wasza Mość wprowadził się w taki stan, iż zmuszony byłem przyłożyć mu pałką.
 - Pałką, powiadasz?
 - W rzeczy samej.
 - Nie sądziłbym, że stać cię na takie czyny.
 - Ani ja. Było to nawet, jeśli wolno mi się tak wyrazić, odrobinę podniecające.
 - Domyślam się. Radbym kiedyś usłyszeć o wszystkim ze szczegółami.
 - Nie omieszkam opowiedzieć, Wasza Mość.
 - Czy ktoś jeszcze ucierpiał?
 - Jakiś czas temu podciął mi Wasza Mość skrzydełko, lecz dziś już jestem w stu procentach zdrów. Napędził Wasza Mość również strachu obecnemu tu młodzieńcowi o imieniu Lucy, który spotkanie z Waszmością przypłacił pokaźnym guzem. Prawda, chłopcze?

Baron przeniósł wzrok na adresata tego pytania, a jego oczy wezbrały żalem, jak gdyby ujrzawszy opromienione słońcem, porcelanowe oblicze Lucy'ego, przypomniał sobie wszystkie swoje grzechy, toteż w przypływie nagłego wstydu odwrócił się, by ukryć twarz w poduszkach i kołdrze. Ów smutek pochłaniał go przez pewien czas, a spod pościeli dobiegało nikłe, jęklive rżenie; Lucy popatrywał na barona, widząc w nim teraz żalowaną, lecz wielce sympatyczną osobę. W owym współczuciu Lucy nie wytrwał jednak zbyt długo, gdyż chwilę później głos barona nabrał szorstkości

i poczęła się w nim odradzać furia. Teraz, gdy jego duszę na powrót wzięło we władanie demoniczne alter ego, baron począł znów ciskać się, pluć i miotać obelgi. Prócz zgrozy rozwój wypadków przepełnił Lucy'ego goryczą; z kolei po panu Olderglough w ogóle nie było znać zdziwienia. Wyprowadził podwładnego na korytarz i popatrując na niego dobrotliwie, upewnił w przekonaniu, iż mają przed sobą nie lada przedsięwzięcie.

MINĘŁO PARĘ DNI i parę nocy. Lucy i pan Olderglough czuwali przy baronie, niekiedy razem, a niekiedy na zmianę, karmiąc go, zabawiając rozmową i odwodząc od napadów szału tak, jak odciąga się dziecko od wesołego miasteczka. Pewnego ranka Lucy wszedł do komnaty barona i ujrzał, że ich podopieczny nie ma już na sobie więzów, lecz siedzi w wannie, ostrzyżony i ogolony. Spod zaniedbanej brody wyłoniła się teraz twarz przystojnego mężczyzny o ostrych rysach. Ów czytał właśnie list od baronowej i wyglądał na ciężko przerażonego.

– Wasza Mość nie cieszy się na przyjazd małżonki? – spytał Lucy.

Baron złożył list i umieścił go na stoliczku.

– Powiem ci, chłopcze, że życie bywa czasem zbyt urozmaicone. – Po tych słowach zanurzył się i z głębin poczęło wypływać na powierzchnię mnóstwo bąbelków, ponieważ baron krzyczał pod wodą.

NA ZAMKU NASTAŁ czas gorączkowych przygotowań. Gdy Lucy i pan Olderglough doglądali barona, Agnes zdążyła odbyć podróż do Listen i z powrotem. W ciągu kolejnych dni w ślad za nią na zamek poczęły docierać rozmaite towary: przywożono zboże, mąkę, przyprawy, świece, drób, ryby, baryłki piwa, skrzynie z winem i winiakiem, a także najróżniejsze przysmaki, których Lucy nie tylko nigdy dotąd nie kosztował, ale o których nawet nie słyszał. Przybył też krawiec w asyście trzech pomocników, by w nastroju najgłębszej powagi sporządzić nowy strój dla barona; również panu Olderglough należał się nowy komplet, gdyż do starego nie przystawało już nawet miano „sfatygowany”. Ów gorszący łąch trafił wkrótce do pieca, pan Olderglough jął zaś przemierzać zamkowe korytarze w lśniącym atramentowym fraku, stając się naraz uosobieniem elegancji i rezonu. Wykonując swe obowiązki, tryskał wprost energią, co dla Lucy’ego było czymś zupełnie niesłychanym; także u Agnes dało się zauważyć wzmożoną witalność. Miało się wrażenie, iż wraz z odzyskaniem zmysłów przez barona jego wieloletni podwładni również przebudzili się z marazmu. Dopiero teraz Lucy pojął, czemu pan Olderglough i Agnes tak kurczowo trzymają się swych wspomnień, i zrozumiał, że z pracy swej potrafią też czerpać satysfakcję. Ku własnemu zaskoczeniu odkrył u siebie podobny sentyment: zamek tonął w słońcu, a wokół roztaczała się aura nadziei na lepszą przyszłość.

Nie oznaczało to wszakże, iż Lucy miał łatwe zadanie. Na trzy dni przed przyjazdem baronowej pan Olderglough zaprowadził go pod salę balową i oświadczył:

- Chciałbym cię teraz poprosić, byś tu posprzątał.
- Tu, to znaczy gdzie, proszę pana?
- Tutaj, w tym miejscu.
- Ma pan na myśli tę salę?

– Tak, tak. Niech ci będzie.

Lucy ocenił na oko rozmiary pomieszczenia.

– Mówi pan „posprzątać”, czyli...

– Umyć okna. Umyć posadzki. Umyć ściany. Umyć sufit.

– Umyć sufit – powtórzył Lucy.

– Wywietrzyć salę. Wymieść popiół z paleniska. Zdjąć pokrowce z mebli. Wypolerować sprzęty i ozdoby. A kiedy już skończysz tutaj, przejdziesz do następnej sali, potem do jeszcze następnej i tak dalej.

Lucy odparł:

– Odnoszę wrażenie, iż właśnie kazał mi pan posprzątać cały zamek, od piwnic po poddasze. Co więcej, mam z tym wszystkim zdążyć, nim wróci baronowa. Czy dobrze rozumiem?

– A cóż to, chłopcze? Masz z tym jakiś problem?

– Jedynie taki, proszę pana, iż jest to całkowicie niewykonalne.

Pan Olderglough uznał takie podejście do sprawy za wielce niekorzystne, a nadto wyraził ubolewanie, iż Lucy jest tak zuchwały, zważywszy na zajmowaną przez niego pozycję. W końcu jednak poddał się i wydzielił Lucy’emu skromną kwotę, by ten mógł nająć pomoc spośród mieszkańców wioski. Lucy zwerbował do pracy pół tuzina najgroźniej wyglądających kobiet, jakie udało mu się znaleźć. Była to notabene ta sama grupka, która onegdaj szydziła z niego, gdy kupił Klarze pelerynę; Lucy był więc przekonany, iż odznaczają się one takim hartem ducha, jaki przy przedsięwzięciu tej miary jest niezbędny. Plan okazał się owocny o tyle, że kobiety wzięły się do sprzątania z niekłamaną agresją, jak gdyby przyrost brudu stanowił dla nich osobistą zniewagę. W tym aspekcie ich wroga postawa była istnym błogosławieństwem, lecz pod innymi względami okazała się mniej korzystna. Lucy obawiał się tych kobiet, a one dobrze o tym wiedziały; co więcej, wykorzystywały niemiłosiernie tę wiedzę, podszczipując go, szturchając i nękając na rozmaite sposoby. Stroiły sobie z niego niewybredne żarty, tylko po to, by zobaczyć, jak się rumieni; któregoś razu najteższa z nich swym monstrualnym biustem przygwoździła jego głowę do ściany, tak że w stanie najwyższej paniki wymachiwał rękami, nie mogąc złapać tchu.

Jeśli jednak pominąć te upokorzenia, pomysł Lucy'ego okazał się celny: prace ukończono pomyślnie i zamek został na czas przywrócony do stanu godnego baronowej. Wśród zamkowego personelu panowała ożywcza mieszanina euforii i popłochu, które to uczucia starano się w miarę możliwości hamować.

W samym centrum całej tej krzątaniny znajdował się baron. Przez pierwsze kilka dni Lucy nie umiał oderwać od niego wzroku, i to nie tylko z racji jego zdumiewającego powrotu do cywilizacji, lecz również dlatego, iż osoba, która wychynęła z owych upiornych mroków, okazała się najbardziej ponętym dżentelmenem, jakiego można sobie było wyobrazić. Był to istny *danseur noble* na swej własnej scenie, u którego najdrobniejsze nawet gesty odznaczały się stanowczością i wdziękiem i który po książkę, popielniczkę czy dzban z wodą sięgał jednym płynnym ruchem. Owa swobodna, niewymuszona teatralność skłaniała Lucy'ego do rozmyślań o zasadach i wymogach dotyczących szlachetności krwi; zastanawiał się również, czy ktoś o tak skromnym pochodzeniu jak on sam byłby w stanie wysiłkiem woli wyklarować i tym samym udoskonalić swą własną krew. Z żalem konstatawał jednak, iż leży to poza zasięgiem jego możliwości.

Nie chodziło tu zresztą tylko o aspekt fizyczny, albowiem Lucy wciąż odkrywał u barona kolejne podziwu godne cechy temperamentu i osobowości. W dniach poprzedzających przyjazd baronowej jej małżonek sam zarządzał rehabilitacją zamku; wszystko musiało odbywać się pod jego bacznym okiem i przejść przez jego niezawodne ręce. Dla swych podwładnych był jednak nieodmiennie uprzejmy, wzbudzając sympatię i zarazem posłuszeństwo: Lucy rozpoznał w nim cechy prawdziwego przywódcy. Szczególny zachwyty wzbudzało w Lucym to, jak baron radził sobie z kucharskimi niedociągnięciami Agnes. Kosztując, dajmy na to, jej gulaszu, udawał, że raczy się przysmakiem; ukrywszy skrzętnie faktyczne obrzydzenie, obsypywał Agnes pochwałami, które ta spijała niczym śmietankę. Gdy już tak ją udobruchał, rzucał niby mimochodem, jak gdyby o sprawie właściwie nie warto było wspominać:

– Zastanawiam się jednak, moja droga, czy pieprz nie zdominował aby zbyt tego dania, gdy tymczasem niewątpliwie najjaśniejszą gwiazdą spektaklu jest twa cudowna zasmażka.

U Agnes pytanie to wprawiało w ruch umysłowe trybiki i po chwili pytała:

– Czy sądzi Wasza Mość, że moglibyśmy dać mniej pieprzu?

– Wyśmienity pomysł, Agnes! I skoro już to proponujesz, czemu by nie spróbować?

Agnes przygotowywała tedy gulasz od początku, dawkę pieprzu zmniejszając o połowę; potrawa nagle stawała się jadalna, baron ogłaszał wszem wobec, że Agnes jest kulinarnym geniuszem, a ona przez resztę dnia unosiła się na chmurce dumy i samouwiełbienia.

Innymi słowy, baron był uosobieniem wdzięku, a Lucy bez śladu zażenowania otaczał go nabożną wręcz czcią.

WIECZOREM W PRZEDDZIEŃ zapowiedzianego przyjazdu Lucy przyglądał się ze swego okna baronowi, który włóczył się po polach między zamczyskiem a wioską: przez dłuższy czas chodził niewzruszony, ręce splótnięte za plecami, lecz naraz zaczął mamrotać coś pod nosem, potem mówić coraz głośniejszym i w coraz większym ożywieniu, gestykulując obficie i uśmiechając się po szelmowsku. Lucy pojął, że baron wyobraża sobie spotkanie z małżonką i ćwiczy to, co ma zamiar jej powiedzieć. Wtem baron zakrył usta dłonią, najwyraźniej szukając jakiegoś wyjątkowo błyskotliwego zwrotu; po chwili pożądana fraza popłynęła z jego ust, a oczy pojaśniały z radości. Lucy współczuł baronowi, rozumiejąc coraz lepiej, że znalazł w nim pokrewną duszę. A jednak fakt ten go zaniepokoił; skoro bowiem osobę o autoramencie barona miłość poniżyła w tak straszliwy sposób, co też mogła uczynić z nim samym? Składając lunetę, czym prędzej odegnał tę myśl; zbyt była niepokojąca, by przyglądać się jej z bliska.

VIII

BARONOWA VON AUX

W WYZNACZONYM DNIU o wyznaczonej porze baron von Aux stał na stacji, oczekując powrotu małżonki. Włosy miał przyczesane surowo, wyraz twarzy surowy, a po surowości, z jaką ścisnął bukiet zatknięty w garść, dało się poznać, że w zeszywniałym ciele płonie gorączka nadziei. U boku barona stał ponuro pan Olderglough, u boku tego ostatniego zaś Lucy. Wszyscy spoglądali prosto przed siebie, ponad torami, ku niezamieszkałym leśnym ostępom. Można było odnieść wrażenie, że pociąg się spóźnia; było tak w istocie.

– Na pewno sama opóźniła – wymruczał baron.

– Ejże! Niech też Wasza Mość da spokój – odparł pan Olderglough. – Czemu miałyby zrobić coś podobnego? Zresztą, w jaki sposób?

– Już ona coś wymyśliła. Wszystko, byle podrażnić ranę. Założę się też, że jak przyjedzie, to z przystojnym i młodym kamerdynerem u boku.

– Przenigdy by tego nie uczyniła, Wasza Mość.

– Nie? Toś chyba zapomniał o tragicznym incydencie z Broomem.

– O niczym nie zapomniałem. Po prostu nie widzę sensu w snuciu takich domysłów, nim jej Wasza Mość nie ujrzy. Wszak mamy nowy dzień.

– Dzień jak każdy inny.

– Cudny, czyściutki, nowo narodzony dzionek. Jeszcze takiego nigdy nie było.

– Też coś – rzucił baron, po czym odszedł na bok, by sobie posterczeć na osobności.

Lucy spytał pana Olderglough:

– Mógłby mi pan jeszcze raz opowiedzieć, jak doszło do odejścia pana Brooma?

– Nic ci nie opowiadałem.

– To może teraz by pan opowiedział?

Pan Olderglough skrzywił się, jakby coś go zabolalo.

– Broom popadł w nikczemność i nie był już w stanie wykonywać swoich obowiązków. Starał się zzuć z siebie owo nikczemne jarzmo, a ja próbowałem mu w tym dopomóc. Niestety, było już za późno.

– Ale jak on umarł, proszę pana?

– Wpadł do Bardzo Wielkiej Dziury – oświadczył pan Olderglough tonem właściwym dla faktów zupełnie elementarnych.

– Do jakiej znowu bardzo wielkiej dziury? – spytał Lucy.

– No do Bardzo Wielkiej Dziury. Jest tylko jedna. – Pan Olderglough obrócił się i machnął ręką w kierunku pofalowanych wzgórz za zamczyskiem. – Chyba i tak o jedną za dużo! Wystarczy spytać pana Brooma! – Potrząsnął głową. – Ech, marnie młodzik skończył. Przykro mi było. Nie ukrywam, że wiązałem z nim pewne nadzieje. No, ale wyszły mu bokiem te jego chciwostki i żądze, jak to z chciwostkami i żądzami bywa. – Pan Olderglough zachichotał. – Coś mi się właśnie przypomniało, mój chłopcze. Chcesz, bym się tym z tobą podzielił?

– No dobrze.

– Nie chciałem się narzucać.

– Ależ nie, proszę pana, naprawdę jestem ciekaw.

– W porządku. Byłem podówczas zaledwie szkrabem. Siedziałem z ojcem przy śniadaniu. Pod jego nieuwagę spałaszowałem ostatnią kielbaskę, wiedząc doskonale, iż należała się jemu, gdyż sam już byłem najedzony do syta. Gdy zobaczył pusty talerz, spojrzał na mnie i powiedział: „Niektórym chciwość pasuje jak dobrze skrojony strój. Ale tobie, synu, coraz mniej z nią do twarzy”. No i co ty o tym myślisz?

– Sam nie wiem, co myśleć, proszę pana.

– Czyżby te słowa do ciebie nie trafiały?

– Muszę przyznać, że nie bardzo.

– Do mnie podówczas trafiły. Zwłaszcza że później, pamiętam jak dziś, ojciec dźgnął mnie widelcem.

– Widelcem, proszę pana?

– Właściwie to dziabnął. Nie chciałem sugerować, że widelec znajdował się w pozycji poziomej względem mego ciała. Chodziło raczej

o podkreślenie pewnej myśli niż o prawdziwą przemoc fizyczną. Ojciec miewał takie teatralne zapędy.

Na drugim końcu stacji małżonek baronowej przemawiał tęsknie do powietrza przed sobą. Lucy przyglądał mu się przez chwilę, po czym znów zwrócił się do pana Olderglough.

– Prawdę powiedziawszy, nie potrafię sobie wyobrazić, że miał pan kiedyś matkę albo ojca.

– Ach tak? Myślisz sobie pewnie, że się wyląłem z jaja, co? Zresztą może i tak było... Ja tam pary z ust nie puszczę. – Przechylił głowę i nadstawił uszu. – Słyszałeś? To chyba czuch.

– Że co, proszę pana?

– Czuch.

– To jakiś ptak?

– Pociąg tak robi. *Czuch, czuch.*

Do stacji rzeczywiście zbliżał się pociąg, toteż baron znów zajął miejsce obok Lucy'ego i pana Olderglough. Ściśnięty w garści bukiet drżał, a baron wysapał:

– Myronie, dostałem drgawek na całym ciele.

– Niechże Wasza Mość pomyśli o tych wszystkich przemiłych chwilach, jakieście razem spędzili. Toż to ta sama młoda, rzeźwa kobieta, o której rękę Wasza Mość zabiegał przed laty!

– Gdybyż to tylko była prawda. Zaprawdę o nic bym się wtedy nie troskał.

Kiedy pociąg wjeżdżał na stację, baron cisnął bukiet pod rozpędzone koła; cała trójka przyglądała się, jak jazgocząca maszyna pożera drobne płatki. Lokomotywa zatrzymała się i otuliły ich kłęby pary; wszyscy trzej zamknęli oczy.

GŁOS BARONOWEJ, TYMCZASEM jeszcze pozbawiony ciała, był głębszy i pełniejszy, niż Lucy przypuszczał. Choć nie miał w sobie nic męskiego, tkwił w nim jakiś ciężar: głos ten niósł się bez trudu, tnąc powietrze jak papier.

– Czy doprawdy nikt nie zamierza pomóc mi wsiąść?

Zerwał się bystry wiatr, który przemknął obok pociągu, przeganiając skłębioną parę, i oto w rześkim, błękitnym powietrzu ujrzeli ją: stała na szczycie schodków w błyszczącym czarnym futrze, z wyciągniętą dłonią, na której opięta była rękawiczka tej samej barwy. Baronowa była niezwykle wprost piękna, lecz w jej oczach czaił się jakiś mrok i chłód; Lucy z miejsca pojął, że nie była to już ta sama kobieta, którą przedstawiał obraz w sali balowej. Podczas gdy tamtą cechowały skromność i wdzięk, ta była do cna zepsuta. Lucy bał się jej, toteż nie kwapił się do pomocy; również baron stał niczym sparaliżowany. Wreszcie pan Olderglough ruszył ku schodkom i ujął jej dłoń, by mogła zejść i stanąć przed baronem.

Małżonkowie z początku tylko patrzyli na siebie, nie odzywając się słowem, nie wymieniając bodaj uścisku dłoni. Baronowa zdawała się uosobieniem powściągliwości: próżno było zgadywać, co dzieje się w jej umyśle i sercu, gdy tak przyglądała się towarzyszowi życia, przechyliwszy lekko głowę. Z początku baron wtórował jej w tym opanowaniu, lecz wkrótce fasada drgnęła, by po chwili rozprysnąć się w drobny mak. Baronem bez reszty owładnęły wzburzone emocje: łkając groteskowo, padł na kolana i objął nogi baronowej, wstrząsany spazmatycznym szlochem niczym ktoś, kto już doszczętnie wyzbył się wstydu i za nic ma opinię postronnych. Baronowa zrazu w ogóle nie reagowała; obserwowała go tylko z umiarkowanym zainteresowaniem. Im dłużej jednak trwała owa scena, tym bardziej jej rysy łagodniały, aż wreszcie zdjęła rękawiczkę, by pogłodzić barona po głowie. Schylając się ku niemu, wyszeptała mu do

ucha coś pokrzepiającego, a on skinął głową, po czym wyprostował się i odzyskał godność, a przynajmniej podjął taką próbę.

Stali twarzą w twarz. Nasunąwszy z powrotem rękawiczkę, baronowa przeciągnęła kciukiem po jego policzku, by zetrzeć łzy. Następnie pocałowała go. Był to pocałunek tyleż niespieszny, co delikatny, a mniej więcej w połowie Lucy uczył dłoń ściskającą go za ramię. Oczy pana Olderglough były wilgotne; całe to widowisko poruszyło go do głębi. Stąpając ramię w ramię, baron i baronowa ruszyli w stronę zamczyska, rozmawiając półgłosem i zachowując się ze wszech miar jak kochankowie, których los ponownie złączył.

Na peronie za ich plecami bagażowy stawiał jeden na drugim kufry przybyłej. Był przemęczony; kątem oka dostrzegał rozgrywający się nieopodal spektakl, lecz nie zwracał na barona i jego małżonkę żadnej uwagi, gdyż miał dostatecznie dużo własnych zmartwień, by zaprzętać sobie głowę dramatami innych ludzi: co to, to nie!

Jak Memel dziatwę nauczał

PONIEWAŻ BARONOSTWO ZASZYLI się na wieczór w swej komnacie, pan Olderglough po raz pierwszy od wielu dni dał Lucy'emu wolne. Ów pospieszył więc do wioski. Do chaty Klary wszedł bez pukania, spodziewając się, że przyjmą go tam z radością, lecz ogień w piecu zaledwie się tlił, a w izbie nie było żywej duszy. Posłyszał jednak głosy dobiegające z pomieszczenia na tyłach chaty, a udawszy się tam, ujrzał Memela w łóżku, okutanego w kołdry, choć wcale nie było zimno. Jego skóra miała ziemisty kolor i nie było wątpliwości, że jest bardzo chory. Klara i Mewe stali u stóp łóżka, na podłodze przy nich siedziała zaś siódemka czy też ósemka wiejskich dziatek, które spoglądały na Memela, jak gdyby oczekując pouczenia. Memel wziął do ręki kielich wina i przemówił statecznym, łagodnym głosem:

– Którejś zimy – powiedział – gdy byłem jeszcze malcem jak wy, udaliśmy się z ojcem do miasteczka Listen, żeby sprzedać krowę. Żadne z was nie widziało nigdy mego ojca, ale mogę was zapewnić, że był to człowiek honoru. Trzymał się swej wiary i był ogólnie lubiany, choć miał jedną osobliwą cechę: mawiano, że w ciągu całego swego życia ani razu nie roześmiał się w głos. Nie żeby był nieszczęśliwy, ale wiódł żywot, w którym czasu na próżne uciechy po prostu nie było. Pociąg był dla nas za drogi, więc do Listen poszliśmy piechotą. Zajęło to nam trzy dni. Trzeba było przedzierać się przez hałdy śniegu, a nocą rozpalać ognisko przy torach, krowę przykrywaliśmy kocem i wpełzali pod jej cielsko, żeby się ogrzać. Gdy przejeżdżały pociągi, wzbijał się straszliwy, lodowaty

podmuch, od którego furkotał koc i ogień buzował, a z brankardu sypały się iskry i rozżarzone węgle. Nadal nie wiem, czemu ojciec zabrał mnie ze sobą, bo przysparzałem mu tylko dodatkowych trosk, a w domu przydałbym się chociaż matce do pomocy. Być może jednak pragnął mego towarzystwa; to miła myśl. Ale któż by tam wiedział, co człowiekowi tak naprawdę po głowie chodzi. Prawda, dzieciaczki? Do Listen dotarliśmy o zmierzchu. Ojciec prowadził krowę na postronku, a ja trzymałem się jej ogona. Ojcu bardzo zależało, by dobić przyzwoitego targu, bo te pieniądze miały nam wystarczyć na całą zimę. Czekałem na niego przed domem aukcyjnym. Gdy wreszcie wyszedł, na zewnątrz było już ciemno i nie widziałem jego twarzy, więc nie mogłem odgadnąć, czy mu się powiodło. Ale wtedy powiedział: „Przenocujemy dziś w miasteczku, co ty na to?”. Od razu poznałem, że poszło lepiej, niż się spodziewaliśmy, bo oto proponował mi nocleg z prawdziwego zdarzenia, czyli pokój w gospodzie, co było w naszym przypadku niesłychane. Odpowiedziałem, że bardzo mi się ten pomysł podoba, i ruszyliśmy z ojcem przez zatłoczony rynek. Tego wieczoru dobrze nam było razem. Nigdy wcześniej w swym krótkim życiu nie wyściubiłem nosa z wioski, więc wszystkiemu w Listen przyglądałem się w zadziwieniu. Latarnie, witryny sklepowe, ludzie spieszący w każdym kierunku: ze strachu przed tym dziwacznym światem mocno ścisnąłem ojcowską dłoń, ale i tak rozdzielił nas napierający zewsząd tłum. Rozglądałem się na wszystkie strony, ale ojca nigdzie nie było widać. Dokoła tłoczyły się tylko sylwetki obcych ludzi i żaden z nich nie był skłonny poświęcić mi ani odrobiny czasu ni uwagi. Potrącali mnie, spychali na bok, a ja z tego przestachu się rozbeczałem, kiedy nagle uczułem, jak jakieś ręce chwytają mnie z tyłu pod ramiona i unoszą do góry. Oczywiście był to ojciec. Wziął mnie na barana, poklepał po kolanie i powiedział: „Nie trzeba płakać, Memelku. Nie wiesz, że nigdy nie zostawiłbym cię samego? Z tatą nic ci nie grozi, rozumiesz?”. Odparłem, że tak, a moje serce wezbrało miłością do tego człowieka, ponieważ wiedziałem, że mówi prawdę. Gdyśmy już zostawili bagaże w pokoju, zesłaliśmy na dół do gospody. Podobnie jak na rynku było tu bardzo tłoczno, więc kolację musieliśmy jeść przy barze. Ojciec przysunął mi krzesło, a sam stanął obok

i kiedy już złożyliśmy zamówienie, można było zacząć przyglądać się temu ludzkiemu widowisku dokoła. Nigdy nie widziałem ojca w lepszym nastroju. Cenę kolacji miano doliczyć do rachunku za pokój, więc ojciec czuł się jak zaradny bywalec. Popijał piwo i z wyraźną aprobatą spoglądał po innych klientach. Miałem wrażenie, że dostrzegam na jego twarzy zaczątki uśmiechu, ale może to tylko światło padało w określony sposób. Na pewno nigdy nie słyszałem, by roześmiał się w głos, ale jeśli kiedykolwiek był tego bliski, to właśnie wtedy. Gdy podawano nam kolację, obok przechodził akurat jakiś mężczyzna w złachanym płaszczu. Ledwo spostrzegł ojca, cofnął się i z wyrazem zakłopotania na twarzy wskazał go palcem. „Tak? – spytał ojciec. – Czym mogę panu służyć?” Mężczyzna klepnął się w czoło. „No co ty, będziesz udawać, że mnie nie znasz? Chodźże tu, stary draniu!” Człowiek ten wyściskał mojego ojca niezwykle serdecznie, podnosząc go aż do góry i potrząsając nim. Ojciec, ma się rozumieć, był kompletnie zbity z tropu, więc wyswobodził się z objęć nieznanego. Ten jednak wydawał się takim zachowaniem zraniony, a przynajmniej urażony: „Czemu mnie odpychasz, bracie? Cóż to, własnej rodziny nie poznajesz? Aż tak wiele lat minęło?”. Ojciec wyjaśnił, że nie ma brata i że zaszło jakieś nieporozumienie. Z początku mężczyzna nie chciał wierzyć, ale ojciec zapewnił go, że prócz żony i jedyne syna, który siedzi obok, nie ma żadnej rodziny. Po chwili mężczyzna pokręcił głową. Był naraz strasznie zażenowany całą sytuacją i powiedział: „Rzeczywiście, teraz już widzę, że wcale nie jest pan moim bratem. Czy wybaczy mi pan to najście? Głupiec ze mnie! A państwu kolacja stygnie”. Był wręcz zagniewany własną pomyłką, ale ojciec zapewnił go, że nie ma się czego wstydzić, gdyż doszło po prostu do nieporozumienia. Powiedział, iż ma nadzieję, że mężczyzna odnajdzie swego prawdziwego brata, a na koniec życzył mu miłego wieczoru. Tamten uklonił się ojcu i obrócił się, by odejść. Przedtem jednak spojrzął w moją stronę i upewniwszy się, że ojciec nie widzi, mrugnął do mnie. Ojciec zajął się jedzeniem, ale ja wzroku nie mogłem oderwać od tego człowieka, więc patrzyłem za nim, gdy wychodził. Wydawało mi się, że jak na kogoś, kto parę sekund temu błagał o przebaczenie, stąpa nadzwyczaj lekko. Wręcz przeskoczył próg, po czym

zniknął w kłębiącym się na zewnątrz tłumie. „No i co ty o tym wszystkim sądzisz?” – spytał ojciec, siorbiąc gulasz. Odparłem, że sam nie wiem, ale że człowiek ten wydał mi się dziwny. Ojciec przyznał mi rację i zabraliśmy się do jedzenia, a później wróciliśmy na górę do pokoju, gdzie czekał na nas mięciutki piernat. Wśliznęliśmy się do łóżka; z okolicznych ulic do późnej nocy dobiegały odgłosy zabawy. Zapadając w sen, czułem z mym ojcem większą niż kiedykolwiek więź. Tej nocy byliśmy istnym uosobieniem dumy i dosytu. Rankiem jednak wszystko diabli wzięli. Gdy przyszło do uregulowania rachunku, musieliśmy się zmierzyć z okrutnym faktem: ojcu zginęła sakiewka. Przeszukaliśmy pokój i odtworzyli w myślach całą przebytą zeszłej nocy drogę, ale wszystkie te wysiłki na nic się zdały i w końcu trzeba było przyznać, że pieniądze przepadły, i to przepadły na dobre. Ojcu wreszcie zaświtało, że człowiek, który go wyściskał w gospodzie, był szarlatanem i kieszonkowcem. Gdy ojciec mi to tłumaczył, przypomniałem sobie tę beztroskę, z jaką ów mężczyzna przeskoczył próg. Najpewniej już z ciężaru sakiewki wywnioskował, że trafia mu się nie lada wypłata, więc spieszył spożytkować łup. I podczas gdy z jednej strony żał mi było mego ojca i martwiłem się o losy naszej rodziny, to z drugiej czułem kuriozalną sympatię do złodzieja, a nawet pewną nić pokrewieństwa. Przez te wszystkie lata wiele razy zadawałem sobie pytanie: skąd wzięła się ta sympatia? Matka z ojcem w ciągu całego swego życia ani razu nawet nie skłamali, mnie zaś zawsze wbijano do głowy, że im bardziej człowiek się trzyma, tym jest szlachetniejszy, a więc tym prędzej liczyć może na Bożą łaskę w Królestwie Niebieskim. Nie miałem powodu, by wątpić w przestrogi rodziców, ponieważ byli to ludzie dobrzy i serdeczni. A jednak w chwili, w której zobaczyłem tego darmozjada umykającego z ojcowskimi pieniędzmi, dokonała się we mnie przemiana.

Memel pociągnął wina z kielicha i długo nie przełykał, jakby przeżuając, nim wpuści napój do żołądka. Po kolejnym łyku wydał odgłos zadowolenia, coś jakby „Aa” albo „Haa”.

Opowiadał dalej:

– Fascynował mnie nie tylko sam fakt złodziejstwa, ale również nastrój, w jaki tego człowieka złodziejstwo najwyraźniej wprawiało. Marzyłem, by przestępować próg z podobną lekkością! Ponieważ o niczym innym nie potrafiłem myśleć, tylko kwestią czasu było, że podzielę los szarlatana z gospody. I tak też się stało, moje dzieciaczki. Całą energię wkładałem w uciechy, uniki, harce i obiboctwo. Uciekałem od wszelkiej odpowiedzialności, jaka się nadarzała: od obowiązków domowych, od prac szkolnych, od czego tam chcecie. Matka i ojciec zwalczali dzielnie ten mój zryw, ale nie dałem się zniechęcić i wkrótce zaczęła się moja własna kariera kieszonkowca, legendarna skądinąd, i to w pełni zasłużenie, jeśli wolno mi tak to ująć. Być może zaciekawili was to, że w ciągu całej swej złodziejskiej praktyki, a także gdy już osiągnąłem w tym fachu mistrzostwo, ani przez moment nie zapomniałem o swej wierze. W istocie stawałem się coraz nabożniejszy, choć nie czciłem tego samego Boga co starszyzna. Nigdy bowiem nie podobało mi się, że Bóg moich rodziców nagradza swe sługi za harówkę; czemu zresztą pragnie, by mu służyć? Rozczarowany ich Bogiem, stworzyłem własnego, który nie domagał się ciężkiej pracy, lecz nagradzał odważnych. Rolnik, widząc na polu urodzaj, pada na klęczki i dziękuje niebu. Sklepiarz przeglądający zanotowane w księdze rachunkowej zyski czyni to z wdzięcznością. I ja też, gdy tylko natknąłem się na bogatego kupca, śpiącego w przedziale pierwszej klasy, pozwalałem sobie na chwilę refleksji i chwaliłem mego zbawcę. On to bowiem przywiódł mnie na te bujne pastwiska i wskazał owych półludzi, którzy wręcz prosili się, by ich ograbić z dobytku. Bóg pragnął dać im nauczkę, a ja, mężny Memel, byłem narzędziem w Jego dłoni.

W tym miejscu mówiący oderwał wzrok od dzieci i uniósł oczy ku jakiemś miejscu wysoko na ścianie.

– Nawet dziś, gdy zasypiam, widzę przedziały wypełnione śpiącymi cielskami bogaczy. W tych snach sam jestem młodszy, tryskam wprost energią i nie lękam się niczego. Ogołacam ich z majątku, a ich czerwone facjaty są błogie i kontente, gdyż i oni śnią o suto zastawionych stołach, dajmy na to, o bankietach na swą cześć, i co rusz podnoszą dłonie, by to czy tamto pochwycić. Moja Klara od lat twierdzi, że nadejdzie dla mnie

sądny dzień. Dzień, w którym pod stopami uczuję płomienie, pożałuję swych grzechów i czym prędzej zacznę błagać o łaskę. Ale dzień ten chyba właśnie się zbliża i teraz już mogę powiedzieć z całą mocą: to ja miałem rację, a matka z ojcem się mylili. Kochałem ich oboje, lecz byli głupcami. Cierpienie wcale nie uszlachetnia, a bezmyślna harówka nie jest warta zachodu. Działki moje, jeśli zobaczycie coś, co wam się marzy, to sięgajcie po to śmiało. Już z racji tego, że jej chcecie, ta rzecz się wam należy.

Memel zamknął oczy.

– To wszystko, co chciałem wam powiedzieć. Dziękuję, żeście mnie wysłuchały.

Dzieci grzecznie wyszły z pokoju, jedno za drugim.

MEMEL NIEBAWEM USNAŁ, więc Klara i Mewe postanowili mu nie przeszkadzać, a Lucy wyszedł razem z nimi. Cała trójka usiadła w izbie od frontu. Zrazu milczeli, po czym Lucy spytał, co właściwie dolega Memelowi; przez jakiś czas nikt mu nie odpowiadał. Wreszcie Mewe poruszył się i powiedział:

– Nie wiemy.

– Od jak dawna jest w takim stanie?

– W ostatnich miesiącach bywało różnie. Ale aż tak źle jeszcze nigdy.

Po chwili Mewe dodał, że jest zmęczony; Klara odprowadziła go do drzwi frontowych, a gdy wychodził, wyszeptała mu coś do ucha. Mewe skinął głową; wymienili smętne spojrzenia. Gdy Klara zamknęła za nim drzwi, zabrała się do siekania cebuli na gulasz. Lucy podszedł do niej, ale jej nie dotykał, wyczuwając, że prócz choroby Memela trapi ją jeszcze coś innego. Wypowiedział jej imię, lecz ona dalej kroїła cebulę, jak gdyby w ogóle go tam nie było.

Spytał:

– Czy gniewasz się na mnie o coś?

– Nie – odparła.

– Proszę, powiedz, o co chodzi.

– O nic.

Lucy stanął z boku i przyglądał się jej twarzy.

– Znów miałaś wieści o Adolfusie?

Siekanie ustało. Klara była wstrząśnięta, że Lucy spytał ją o to wprost. Odpowiedziała dopiero po chwili, kręcąc głową na nie.

– Czy jest ci bardzo ciężko? – spytał Lucy.

Po kolejnej pauzie odłożyła nóż, odwróciła się twarzą do Lucy'ego i wtuliła w jego pierś. Drżała, obejmując go kurczowo; miał wrażenie, że Klara płacze, choć nie wydała z siebie najmniejszego dźwięku. Spytał ją

jeszcze raz, o co chodzi, ale odpowiedziała tylko, że jest jej przykro. Niczego więcej nie udało mu się z niej wydostać.

Późnym wieczorem wypili nieco Memelowego wina, przez co na powrót zapanował między nimi miły nastrój i odżyła czułość. Klara powiedziała, że jest po prostu zmęczona, że tęskniła za Lucym i że martwi się o ojca. Następnie udali się do jej sypialni i wszystko znów było jak dawniej. Rano Lucy uraczył Memela rosółem, a także garścią zamkowych plotek; staruszka ucieszyło i jedno, i drugie, a gdy Lucy się żegnał, życząc mu miłego poranka, miał wrażenie, że Memel wygląda zdrowiej niż uprzedniej nocy.

Lucy stał już w drzwiach, a Klara pomagała mu włożyć koszulę. Pocałowała go; ujęła jego twarz w dłonie, patrząc mu głęboko w oczy z niezachwianym uwielbieniem, i dopiero wówczas czule się z nim pożegnała. Gdy Lucy maszerował przez wioskę, jego serce było przepełnione. Obiecywał sobie, że już nigdy nie dopuści, by między jedną a drugą wizytą u Klary minęło tak wiele dni, ponieważ czas spędzony osobno wyraźnie ich zalotom nie służył. Lucy uznał, że właśnie w tym tkwi problem, lecz jakiś nikły głos w głębi duszy wciąż podawał tę logikę w wątpliwość. Czemu Szczwany Rzeźnik łąpał na niego porozumiewawczo, gdy Lucy mijał jego stragan?

BARONOWA SIEDZIAŁA W ŁÓŻKU wyprostowana, czytając książkę. Lucy wniósł tacę ze śniadaniem i przystanął, zachowując pewien dystans. Choć baronowa była świadoma, że jej podwładny znajduje się w komnacie, nie od razu podniosła wzrok; westchnąwszy głośno, zatrasnęła wolumin i powiedziała:

– Drażni mnie, gdy opowieść nie zmierza tam, dokąd powinna. A ciebie, młodzieńcze?

– Nie jestem pewien, czy pojmuję, Wasza Mość.

– Czyżbyś nie gustował w rozrywkach?

– I owszem.

– Nie czułbyś się więc rozżalony, gdyby obiecano ci swego rodzaju rozrywkę, a następnie nie spełniono obietnicy?

– Podejrzewam, że tak właśnie bym się czuł, Wasza Mość.

– No więc widzisz.

– Widzę – odparł Lucy.

Baronowa odłożyła książkę na nocny stolik i zmierzyła Lucy'ego wzrokiem.

– Więc to ty jesteś tym niesławnym listopisarzem.

– Niesławnym, Wasza Mość?

– W tym sensie, że zaprzętnąłeś moją uwagę. Co cię podkusiło, żeby napisać?

– Sądziłem, że to całkowicie uzasadnione. Czyżbym rozgniewał Waszą Mość?

– A jak ci się wydaje?

– Mam nieodparte wrażenie, że tak.

– Twój list zupełnie wytrącił mnie z równowagi.

– Jest mi niezmiernie przykro, Wasza Mość.

– Pałam wielką niechęcią do pilnych spraw.

– I ja nie mogę powiedzieć, bym je nadzwyczaj wielbił. Ponieważ jednak sytuacja nie wyglądała różowo, a sednem problemu zdawała się absencja Waszej Mości, pozwoliłem sobie na lekką zuchwałość.

– A więc zuchwałość swą sklasyfikowałbyś jako lekką.

– W rzeczy samej.

– No cóż, ja się oblałam herbatą, czytając ten twój list.

– Wasza Mość, on jadł szczury.

– Co takiego?

– Baron. Jadł szczury. Sytuacja nie wyglądała różowo.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Czy ty sobie ze mnie żartujesz, kolego?

– W żadnym razie, Wasza Mość.

– Dziwny jesteś.

– Być może, Wasza Mość. Zapewne. – Zastanowił się chwilę. – Z pewnością.

Baronowa odgarnęła koc i usiadła na brzegu łoża, dyndając nagimi stopami nad podłogą. Dreszcz przeszedł jej po plecach. Ziewnęła, a następnie spytała:

– Co ty właściwie chcesz osiągnąć?

– Nie mam żadnego konkretnego celu, Wasza Mość, poza takim, by zadowalająco wykonywać swoje obowiązki. Co się zaś tyczy tej konkretnej chwili, żywię nadzieję, iż Wasza Mość wybaczy mi moją impertynencję.

– Sądzę, że to całkiem prawdopodobne.

– I taką właśnie żywię nadzieję. – Lucy uniósł nieco tacę ze śniadaniem. – Gdzie życzyłaby sobie Wasza Mość, bym to postawił?

Baronowa milczała. Zatopiona w myślach, wpatrywała się nieprzytomnie w ścianę, być może wcale jej nie dostrzegając. Lucy odłożył tacę na nocny stolik i oświadczył:

– O ile wolno mi mieć pogląd w tej sprawie, to dobrze się stało, iż Wasza Mość przyjechała.

– Dla kogo dobrze? – spytała baronowa nieobecny głosem.

– Dla wszystkich.

– Nie byłabym tego taka pewna. – Wynurzywszy się ze swej zadumy, baronowa uśmiechnęła się do Lucy’ego, jak gdyby czymś rozbawiona.

– O co chodzi, Wasza Mość?

– Sama nie wiem – odparła. – Po prostu całkiem zniecka poczułam się taka szczęśliwa. Dziwne. – Opuszkami palców dotknęła pięknego, bladego czoła. W owym drobnym geście było coś, co Lucy’ego zaniepokoiło; nagle zrozumiał, jak mężczyzna pokroju barona mógł przez tę kobietę pograć się w tak straszliwej otchłani.

Lucy zapragnął dać jej w jakiś sposób do zrozumienia, iż wie, jak niezwykłą posiada ona moc. Oświadczył więc, co następuje:

– Wszystko, co słyszałem od pana Olderglough na temat Waszej Mości, to prawda.

Baronowa ześliznęła się z wysokiego łoża i przeszła przez komnatę, by usiąść na ławce przed lustrem toaletki.

– Doprawdy? – spytała; jej włosy, sięgające połowy pleców, układały się jak wstęgi. – A co takiego mówił na mój temat? Bardzo ciekawa.

– Że jest Wasza Mość świecą w ciemnicy.

Rzucana na siebie ukradkowe spojrzenia z ukosa, to z jednej strony, to z drugiej; teraz przyglądała się sobie uważnie *en face*. Jakie myśli przychodzą pięknej kobiecie do głowy, gdy patrzy w lustrze na swoje odbicie? Baronowa, wnioskując z miny, nie była zachwycona.

– No, ciemno to tu jest z pewnością – powiedziała.

Ujmując obiema dłońmi loki, jednym płynnym ruchem ukręciła je w schludny kok na czubku głowy, przycisnęła lewą dłoń, a prawą przyspiliła. Na Lucym zrobiło to wielkie wrażenie, gdyż po raz pierwszy był świadkiem tak swobodnej i bezwzględnej pielęgnacji kobiecego piękna. Baronowa przyglądała mu się w lustrze.

– Czy dobrze rozumiem, że mam się z tobą zaprzyjaźnić? – spytała.

– Tak, Wasza Mość.

– A zatem, przyjacielu, przynieś no tę tacę. Będę się szykować, a ty mnie będziesz karmił.

Lucy był pewien, że baronowa żartuje; ponieważ jednak nadal siedziała przed toaletką w wyczekującej pozycji, pojął, że polecenie należy

potraktować poważnie i wykonać. Zasiadł więc obok niej i jął karmić ją owsianką z owocami, urozmaicając od czasu do czasu łykiem herbaty; baronowa przeprowadzała tymczasem oględziny swej twarzy, upiększając ją tu i ówdzie za pomocą kremów, pudrów i cieni, które dobywała z poukładanych równiutko słoiczków, pudełeczek i flakoników z gruszką. Karmienie baronowej sprawiało Lucy'emu ogromną przyjemność. Choć z jej oczu wyzierał tak bezbrzeżny smutek, że Lucy'ego aż ścisnęło w dołku, wcale nie chciał jej przed tym smutkiem chronić ani ukoić go, jak w przypadku Klary; chciał mu się tylko przyglądać, a potem wspominać w samotności. Podziwiał baronową tak, jak można by podziwiać lawinę; bliskość tak wyjątkowej osoby działała na niego odurzająco i w efekcie Lucy błędził gdzieś myślami. W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że baronowa od jakiegoś czasu szczypliwie wierzch jego dłoni.

– Lucy, czy ty słyszysz, co do ciebie mówię?

– Niestety nie.

– Pytałam, czy zechciałbyś towarzyszyć mi później podczas przechadzki.

– Tak, Wasza Mość. A gdzie mielibyśmy się przechadzać?

Jej oczy zaszły mgłą.

– Ja poprowadzę – odparła, a ponieważ zamierzała ubrać się stosownie do okazji, poprosiła go, by opuścił komnatę. Zamknąwszy za sobą drzwi, Lucy jeszcze przez jakiś czas stał na korytarzu, ze zdumieniem przypatrując się pięknej czerwonej prędze na swej dłoni.

Bardzo Wielka Dziura

BARDZO WIELKA DZIURA była bardzo, bardzo wielka. Gdy tylko Lucy ją ujrzął, fakt jej istnienia począł napawać go niepokojem. Nie mógł dać wiary, że choć wszędzie dokoła, jak okiem sięgnąć, dostrzega zbitą ziemię, w tym jednym miejscu zieje jakaś nieboska próżnia. Uznał też, że nie powinno się nazywać dziurą czegoś, co w istocie jest rozpadliną czy kanionem. Wraz z baronową szli teraz w całkowitym milczeniu obrzeżami tej ogromnej pustki, spozierając na nią tak, jakby coś miało się tu wydarzyć. Owego wydarzenia Lucy wyczekiwał w wielkim napięciu, toteż kiedy z czeluści wyfrunął ptak i poszybował w niebo, Lucy aż się wzdrygnął. Baronowa chwyciła go za ramię, by dodać mu animuszu, lecz jego dręczyły wciąż myśli o okolicznościach, w jakich zginął pan Broom; obawiał się, że ziemia zarwie się pod ich ciężarem.

– Nie jestem pewien, czy powinniśmy iść tak blisko krawędzi, Wasza Mość – powiedział.

– A czemuż to?

– Przychodzi mi na myśl wypadek pana Brooma.

Baronowa spojrzała na niego z politowaniem.

– Przecież to nie był żaden wypadek.

Lucy’ego zemdliło na samą myśl.

– Skąd ta pewność?

– Znałam go dostatecznie dobrze – odparła baronowa, po czym spytała radośnie, jak gdyby gawędzili przy podwieczorku: – A ty, młodzieńcze? Myślisz czasem o samobójstwie?

Lucy rozważył pytanie.

– Nie częściej niż inni, Wasza Mość.

Baronowa spojrzała na niego z uznaniem.

– Doprawdy stylowa odpowiedź.

– A dziękuję.

Weszli w smugę słońca, a baronowa przystanęła, by się powygrzewać. Gdy zamknęła oczy, Lucy dostrzegł, że jej powieki znaczy siatka drobniutkich, bladobłękitnych żyłek.

– A czy Wasza Mość czasem o tym rozmyśla? – spytał.

– Mmm – odpowiedziała. Otworzyła oczy. – Jakie to dziwne uczucie znów być wśród was. A taka byłam pewna, że już nigdy tu nie wrócę.

– Ale dlaczego Wasza Mość w ogóle wyjechała z zamku?

– Ech – odparła – już naprawdę nie mogłam z nimi wytrzymać.

– Z kim?

– Z baronem. I z panem Broomem.

Wskazała kępę bujnej trawy w pewnej odległości od dziury, mówiąc:

– Tu zwykliśmy przychodzić z panem Broomem. – Następnie usiadła, pociągając Lucy'ego za sobą, i jęła rozglądać się na boki. Wspominała najwyraźniej czas tu spędzony, a czyniła to z lubością.

– Czy mogę spytać, jakiego rodzaju relacja łączyła Waszą Mość z panem Broomem? – powiedział Lucy.

Odparła:

– Był, rzecz jasna, moim fatygantem.

– A czemu popadł w tak straszliwą rozpacz?

Na to baronowa uśmiechnęła się łobuzersko, lecz nie odezwała się ani słowem. Sięgając pod nogi, zerwała kwiat dmuchawca i jednym tchnieniem rozproszyła nasionka na wietrze. Te po paru chwilach dryfowania znalazły się nad Bardzo Wielką Dziurą i dostały się w ciąg; w oszołomieniu wędrowały do góry, a potem naraz w dół, niemal znikając z pola widzenia, by po chwili znów wzbić się na wysokość wzroku i wyżej, coraz wyżej. Ów hipnotyzujący cykl powtórzył się parę razy. Gdy wreszcie zstępujący prąd pociągnął nasionka za sobą w głąb czeluści, baronowej aż zaparło dech w piersi. Spytała:

– Ile to już czasu, odkąd ostatni raz byłam czymś zaskoczona?

– Nie wiem, Wasza Mość.

– Stanowczo za wiele. – Wyrwawszy garść trawy, oznajmiła: – Wkrótce zjawią się goście, Lucy.

– Czyżby Wasza Mość nie cieszyła się na ich przyjazd? – spytał Lucy, gdyż w głosie baronowej wyczuł nutę niepokoju.

– Już sama nie wiem – odparła. Oboje przyglądali się zielonym źdźbłom, które wymykały się uściskowi jej palców.

– Dlaczego Wasza Mość postanowiła wrócić?

Baronowa potrząsnęła głową. Schylając się, pocałowała go w policzek, a potem wstała i ruszyła niespiesznie w dalszą drogę, teraz już sama, niesiona jakby falą swego przedziwnego, straszliwego piękna.

IX

HRABIA I HRABINA, KSIĄŻĘ I KSIĘŻNA

RANKIEM, TUŻ PRZED przyjazdem gości, pan Olderglough wziął Lucy'ego na stronę i oznajmił:

– Ja się zajmę księciem i księżną, a ty będziesz doglądał hrabiego i hrabiny. Czy taki układ ci odpowiada, chłopcze?

Lucy odparł, że i owszem. Cała sytuacja wydała mu się jednak o tyle osobliwa, że panu Olderglough jeszcze nigdy nie zdarzyło się instruować go tak układnym tonem.

– Czy wolno wiedzieć, czemu woli pan księcia i księżną od hrabiego i hrabiny? – spytał.

Na to pan Olderglough pokiwał głową, jak gdyby przyłapano go na gorącym uczynku.

– Niejedno już razem przeszliśmy, ty i ja, toteż zakładam, że mogę mówić z tobą otwarcie, jak równy z równym. Czy to ci nie przeszkadza?

– Ależ skąd, proszę pana.

– Wyśmienicie. Otóż, mój chłopcze, jeśli mam być z tobą całkowicie szczery, to ani jedna z odwiedzających nas dziś osób nie zasługuje na miano pożądanego gościa. Wnioskując z ich poprzednich wizyt, zaryzykowałbym nawet twierdzenie, iż są gośćmi wysoce niepożądanymi.

– W jakim aspekcie, proszę pana?

– W wielu aspektach, których, jak się obawiam, sam niebawem doświadczysz. Lecz jeśli prawidłowo chwytam sens twych słów, pytałeś, która z tych dwóch partii jest gorsza, nieprawdaż?

– Tak też można by to ująć, proszę pana.

– Wyznam ci zatem, iż to właśnie hrabiostwo zasługuje na to wyróżnienie, i to z nawiązką. I choć z jednej strony, zważywszy na moją rangę, winienem owo cięższe brzemię wziąć na własne barki, to z drugiej zmuszony jestem przyznać, że pewnych umiejętności już się po prostu wyzbyłem. Doglądanie ludzi tego sortu to zadanie dla młokosa, ja zaś

dawno już młokosem nie jestem i przeto pozwalałam sobie wybrać drogę łatwiejszą, choć możesz być pewien, że „łatwiejsza” nie znaczy bynajmniej „łatwa”. Opieka nad księciem i księżną to nie przelewki, o czym zaświadczyć mogę osobiście tudzież obszernie.

Tu pan Olderglough podszedł jeszcze bliżej, a przed oczami miał najwyraźniej jakieś nieprzyjemne wspomnienia.

– Przy tych ludziach, chłopcze, musisz mieć się na baczności. Bo oni nie odpowiadają przed nikim. Tak zawsze było i zawsze tak będzie.

Słowa te dźwięczały jeszcze Lucy’emu w uszach, gdy czekał na przyjazd hrabiostwa. Ze środka wtaczającego się na stację pociągu dobiegł go dziki męski rechot. Gdy hrabia wychynął ze swego przedziału, od razu stało się jasne, że jest pijany; chwiał się w miejscu, a spomiędzy tłustych, oślizgłych warg wystawało cygaro. W jego czaszce, a raczej jaju o kolorze delikatnego różu, pływały przekrwione żółtka oczu. Hrabia cofnął się przed słońcem jak oparzony, a gdy już doszedł do siebie, skupił wzrok na Lucym i uczepił się klapy jego marynarki.

– A, Broom! Miło cię znów widzieć, chłopcze.

– I wzajemnie, Wasza Mość. Z tym że nie jestem Broomem. Mam na imię Lucy.

– Że co?

– Na imię mi Lucy, Wasza Mość.

Hrabia wbił w niego wzrok.

– Przecież ty jesteś Broom.

– Zaprawdę nie jestem nim, Wasza Mość.

– No to gdzie on się podziewa?

– Umarł, Wasza Mość.

Hrabia odchylił się na piętach i rzucił przez ramię, w stronę zaciemnionego przedziału:

– Czyś wiedziała o tym?

– O czym? – usłyszeli głos hrabiny.

– Że Broom nie żyje.

– Kto taki?

– No ten służący. Broom. Bardzo ci przypadł do gustu, gdyśmy tu bawili ostatnio.

– Ach tak! Ładny chłopiec, ładna karnacja. Mówisz, że nie żyje?

– Podobnież zimny trup.

– A jak umarł?

– A bo ja wiem jak. – Hrabia spojrzał na Lucy’ego. – Jak?

Lucy odparł:

– Popadł w nikczemność i w konsekwencji osobiście rzucił się do Bardzo Wielkiej Dziury, Wasza Mość.

Hrabia miał niezadowoloną minę.

– Co on mówi? Do bardzo wielkiej dziury? – spytała hrabina.

– Tak – odparł hrabia.

– Wielkiej dziury?

– Tak.

Hrabina milczała przez chwilę.

– Nie chcę już zatem słyszeć ani słowa na ten temat. – To powiedziawszy, pojawiła się w drzwiach pociągu: była to korpulentna, zasapana kobieta o czarnych, kędzierzawych włosach, karmazynowej szyi i wzroku pałającym skrajną niechęcią. Jak się miało niebawem okazać, to, co Lucy wziął za zmęczenie wożazami, było esencją jej temperamentu. Gdy chcąc pomóc baronowej zejść na peron, Lucy podał jej dłoń, zdzieliła go po kłykciach składanym wachlarzem, tak że aż dech mu zatkało z piekącego bólu. Przepchnęła się obok niego i ruszyła w górę ścieżką wiodącą do zamczyska, mamrocząc pod nosem jakieś niejasne groźby czy też żale. Kiedy już była hen poza zasięgiem ich głosów, hrabia zwrócił się do Lucy’ego. Spowijał go całun niebieskawego dymu; hrabia dyszał ciężko.

– O której podaje się tu kolację? – spytał.

– O wpół do siódmej, Wasza Mość.

– To nie do przyjęcia. – Hrabia wcisnął Lucy’emu w garść monetę. – No chyba że zdołasz załatwić mi coś na przetrzymanie, to może być.

Lucy obejrzał monetę. Była to obca waluta, w tych stronach zupełnie bezużyteczna.

– Na przetrzymanie, Wasza Mość?

- Coś bym podziabiał.
- Coś by Wasza Mość zjadł.
- Byleby na słono. Coś z mięs. I żeby cię tylko nie zdybała hrabina.
- Tak jest, Wasza Mość.
- Jak cię zdybie, to dalej radzisz sobie sam.
- Rozumiem.
- Aha, przydałaby się też kąpiel. Dopilnujesz?
- Oczywiście, Wasza Mość.

– Świetnie. To chwytaj bagaże, a potem zajmij się resztą. Dobrze ci z oczu patrzy, ale gdybyś wiedział, ilu takich już mnie w życiu zawiodło! Ech, szkoda gadać. – Powlókł się na swych pękatych nogach ścieżką wiodącą na zamek, a Lucy odwrócił się do bagażowego, który wyładowywał kufry i walizy. Lucy widział go już wcześniej, podczas przyjazdu baronowej. Byli prawie w tym samym wieku. Lucy podszedł, by pomóc w wyładunku.

– Co ci dał? – spytał bagażowy, a Lucy pokazał mu bezwartościowy pieniądz. Tamten uśmiechnął się i dobył z kieszeni taki sam, po czym obaj cisnęli monety na ziemię. Gdy pociąg ruszał, bagażowy wspiął się na brankard. Posłał Lucy’emu ukłon, a ten odpowiedział podobnym; następnie obaj wrócili do swych obowiązków.

HRABIA GRZEBAŁ NIEMRAWO w swym kufrze. Był nagusieńki jak niemowlę i gdyby nie wzrost, wyglądałby bez mała jak w dniu narodzin. Po drugiej stronie komnaty, na krześle przed toaletką, hrabina podziwiała swe przybory kosmetyczne, rozłożone na blacie podług siebie tylko znanego, nienawistnego systemu. W samym rogu pomieszczenia zaś, za parawanem, niewidoczny dla lokatorów Lucy nalewał z kotła ostatnią porcję wody na kąpiel dla hrabiego. W rękawie skrywał okazałe salami i czekał, aż hrabiny nie będzie w pobliżu, by je odsłonić i sprezentować hrabiemu. Miał nadzieję, że nie potrwa to długo, gdyż dotyk zimnej, tłustej kiełbasy na gołej skórze był mu wstrętny.

Hrabia rozpostarł przed sobą białą jedwabną koszulę. Stał przodem do hrabiny, która powiedziała:

– Włóż lepiej coś ciemniejszego. Ostatnio jesteś taki rumiany.

Hrabia westchnął.

– Za dużo tytoniu – stwierdziła jego małżonka.

– Obawiam się, że to raczej napoje.

– Tak czy inaczej, białych rzeczy powinieneś unikać, o ile to tylko możliwe.

Hrabia stanął naprzeciw przekrzywionego zwierciadła i jął studiować swą facjatę. Minę miał przy tym doprawdy nieszczęsną.

– Ileż to pułapek czyha na człowieka – skonstatował.

– To prawda.

– Zdumiewające, do czego może prowadzić uleganie apetytom. Ale wiesz, co zwykł mawiać mój ojciec: „Kto ma kiepski apetyt, temu i serca brakuje”. – Hrabia wymienił białą koszulę na niebieską i zdawał się usatysfakcjonowany wyborem, gdyż strój ten istotnie lepiej maskował barwę jego policzków. – Skądinąd bardzo jestem ciekaw, co będzie na kolację – rzucił, nie mając na myśli konkretnego adresata.

Lucy wystąpił zza parawanu.

– Zimna zupa koperkowa na jogurcie, siekany ozór cielęcy w maśle, golonka w sosie pokrzywowym, a na deser tarta owocowa.

Hrabiostwo wpatrywali się w Lucy'ego.

– Ty wiedziałaś, że on tu jest? – spytał hrabia.

– Nie wiedziałam – odparła hrabina.

– Ani ja.

– A wolałabym była wiedzieć.

– I ja także.

– Pukałem przed wejściem – usprawiedliwił się Lucy.

Hrabia powiedział:

– Nie słyszałem niczego, co przypominałoby pukanie.

– Ani ja – dodała hrabina.

– Powinieneś pukać mocniej – skwitował hrabia.

– Przepraszam, Wasza Mość – zmitygował się Lucy.

– Lub też zaznaczyć swą obecność pozdrowieniem słownym!

– Nie chciałem przeszkadzać.

– A jednak wyszło wprost odwrotnie, prawda? – powiedziała hrabina. Na powrót obróciła się do lustra toaletki i w przyływie rozdrażnienia jęła zażarcie czesać pukle. Hrabia zaś musiał odłożyć na bok niebieską koszulę, gdyż dokonał jakiegoś niebagatelного znaleziska w pępku i teraz palcami ułożonymi w szczypce starał się wydostać je na wierzch.

– Czy moja kąpiel gotowa? – spytał Lucy'ego.

– Tak jest, Wasza Mość.

Hrabia podreptał za parawan i zanurzył kciuk. Uznawszy temperaturę za zadowalającą, delikatnie przełożył nogę ponad krawędzią wanny i powoli osunął się w wodę, posapując przy tym.

– Opowiedz mi jeszcze o tej tarcie, chłopcze.

– Jest to tarta brzoskwiniowa, Wasza Mość, podlana winiakiem.

Hrabia uniósł brwi.

– Winiakiem, powiadasz?

– Tak.

– A czyś ty jej sam próbował?

– Tak, Wasza Mość.

– I jaka jest twoja opinia?

– W mojej opinii Agnes przyrządza bardzo dobrą tartę, Wasza Mość.

Tak też było w istocie; tarta stanowiła jedyny mocny punkt pośród kulinarnych wytworów Agnes. Hrabia wydawał się zadowolony z tej rekomendacji; złożył usta w ciup, jakby zaciągał rzemyk sakiewki, po czym wyszeptał:

– Mięso przyniosłeś?

Lucy pokiwał głową i klepnął się w rękaw.

– Tu mam, Wasza Mość.

Hrabia przywołał go skinieniem, lecz nim Lucy zdążył wysupłać salami, hrabina, której kroków żaden z nich nie usłyszał, już stała przy parawanie, przyglądając się im z kwaśną miną.

– Wyszorować stopy mi miał właśnie – wyjaśnił hrabia.

– Sam sobie wyszoruj. A ty, młodzieńcze, pozwól no tutaj.

Lucy podążył za hrabiną na drugą stronę komnaty, gdzie niebawem został skonfrontowany z lepкими fałdami jej nagiego ciała, gdyż musiał rozsznurować jej gorset. Oswobodzona hrabina siedziała przez chwilę, nabrzmiewając. Następnie pociągnęła nosem i stwierdziła:

– Czuć od ciebie salami, chłopcze.

– Tak. I bardzo za to Waszą Mość przepraszam.

– Czyli jesteś tego świadom? – spytała.

– Tak.

– A nie sądzisz, że winienesz coś w tej sprawie przedsięwziąć?

– Z pewnością nie omieszkam tego zrobić, Wasza Mość.

– Zaręczam, że jest to wykonalne. Nie trzeba pachnieć jak salami, jeśli się tego nie chce.

– Nie trzeba. Wasza Mość ma całkowitą rację.

– To świetnie – powiedziała. – A teraz zmykaj. Chciałabym wypocząć przed wieczorną uroczystością. Obudź mnie na godzinę przed kolacją.

Ukłoniwszy się, Lucy zrobił w tył zwrot i ruszył ku drzwiom, ociągając się przy parawanie, zza którego zapamiętałe machał do niego leżący w kąpielu hrabia. Lucy podkraść się do wanny, kręcąc nadgarstkiem tam

i z powrotem, by oswobodzić salami, lecz rękaw przylegał tak ciasno do ciała, że laska kiełbasy zakleszczyła się tam na dobre. Lucy gmerał właśnie przy spince do mankietu, gdy hrabina, która cały czas śledziła jego kroki, definitywnie zapobiegła przekazaniu towaru:

– Mówiłam ci, żebyś zmykał, chłopcze! Już cię tu nie ma!

Lucy uśmiechnął się do hrabiego bezradnie i wyszedł na korytarz, gdzie nieomal zderzył się z przechodzącym akurat tamtędy panem Olderglough. Razem ruszyli w stronę kuchni.

– NO I JAK IDZIE, chłopcze?

– Są dokładnie tacy, jak ich pan przedstawił.

– Prawda?

– Jeszcze jak.

– Opowiadaj.

Lucy uraczył pana Olderglough szczegółowym opisem swych przeżyć aż do rzeczonyj chwili, zataiwszy jedynie fakt, iż miał w rękawie laskę salami, była to bowiem okoliczność co najmniej niefortunna, jeśli nie haniebna; na domiar złego kiełbasę Lucy wziął ze spiżarni bez pytania. Pan Olderglough, uważnie i ze spuszczoną głową wysłuchawszy całej reszty, skwitował ją słowami:

– Obżartuchy najpodlejszego sortu.

– Zgoda, proszę pana – odparł Lucy. – A jak się sprawy mają z księciem i księżną?

Tych dwoje Lucy widział tylko przelotem, gdy parę godzin wcześniej przybyli na zamek. Pod względem usposobienia zdawali się idealnie pasować do hrabiostwa, lecz wyglądali na znacznie bardziej eleganckich i zadbanych; zwłaszcza księżna, która okazała się nadąsaną pięknnością o smukłych kończynach, o głowę wyższą od małżonka.

Pan Olderglough stwierdził:

– Mam bardzo podobne doświadczenia. Jakby się sprawowało pieczę nad gromadką dzieci, nieprawdaż?

– Tak.

– Ale dajesz sobie jakoś radę, chłopcze?

– Jak najbardziej, proszę pana.

W istocie Lucy'ego bawiła opieka nad osobnikami tego pokroju, co wywnioskować też można było z jego postawy. Pan Olderglough zamilkł i patrzył tylko na podwładnego z niekłamaną czułością.

– O co chodzi, proszę pana?

Pan Olderglough pomyślał chwilę.

– Po prostu cieszę się, że tu z nami jesteś, mój chłopcze. Przeszedłeś w tych murach prawdziwą próbę odwagi. Nie wiem, czy to dla ciebie coś znaczy, ale ja pozostaję pod wielkim wrażeniem i jestem ci bardzo wdzięczny.

Lucy'ego zdumiały te słowa z głębi serca, wypowiedziane w dodatku ni stąd, ni zowąd. Jeszcze bardziej jednak zaskoczony był własną reakcją, gdyż oto ścisnęło go w gardle, a kiedy się ozwał, mówił całkowicie szczerze:

– Bardzo dziękuję. I mam nadzieję, że wie pan, iż ja też rad jestem być tu z państwem.

– Wspaniale. – Pan Olderglough poklepał Lucy'ego po plecach. Zbliżyli się już do kuchni, a w głosie starszego mężczyzny pojawił się figlarny ton. – Posłuchaj, chłopcze, tuszę, że się nie obrazisz, ale w związku z nadchodzącym wieczorem pozwoliliśmy sobie na drobną zuchwałość.

– Ach tak? – spytał Lucy. – Co ma pan na myśli?

– Postąpiliśmy nieco zuchwale, ot co. Wszystko przez Agnes. Potrzeba było dodatkowej pary rąk, a ona uważała, że się ucieszysz.

Pan Olderglough rozwarł drzwi i puścił Lucy'ego przodem. Gdy ów wkroczył do kuchni, na samym jej środku zastał Klarę, odzianą w strój służącej i popatrującą płochliwie dokoła. Włosy miała umyte i uczesane, ściągnięte do tyłu; ramiona nagie; jej drobną talię opinał ciasno biały, koronkowy fartuszek. Oto miał Lucy przed sobą Klarę, lecz było to zupełnie odmienne wcielenie, jeszcze bardziej eleganckie i kobiece, i chłonąc ten nieoczekiwany sen o pięknie, Lucy czuł, jakby grunt ustępował mu spod nóg, gdyż po raz drugi zakochał się bez pamięci.

AGNES ZAWĘZWAŁA PANA Olderglough do spiżarni, a Lucy został sam na sam z Klarą. Podeszedł bliżej i stanął przed nią.

– Kto cię tak wystroił?

– Nie podoba ci się?

– Podoba mi się.

– Agnes pomogła mi ułożyć włosy.

– Podoba mi się.

– Ma takie szorstkie dłonie! Gorzej niż mój ojciec.

– Uważam, że wyglądasz bardzo ładnie. I bardzo, bardzo mi się to podoba.

Uśmiechała się, patrząc w podłogę.

– Ale naprawdę ci się podoba?

– Podoba mi się. Zachwyca mnie. Ty mnie zachwycasz. Kocham cię.

Uniosła teraz wzrok, zadowolona z jego reakcji i z wyraźną ulgą; w wiosce nigdy nie mogła sobie pozwolić na tak wytworne stroje, a widziała, że Lucy naprawdę jest pod wrażeniem. Podeszła bliżej i wyciągnęła ku niemu dłonie. Chwyciwszy go za ramię, zamarła i cofnęła dłoń.

– Co to?

– Salami.

– Czemu masz w rękawie salami?

– To nie moje.

– Czemu... czemu masz w rękawie salami?

Pan Olderglough wrócił ze spiżarni i zoczywszy Lucy'ego i Klarę w tak bliskiej komitywie, jął głośno klaskać; przekrzykując ten dźwięk, zawołał do nich:

– Nie czas na gruchanie, gołąbki! Klaro, udasz się z Agnes do spiżarni! Lucy, pomożesz mi przygotować salę jadalną! Własnego życia

wyrzekniemy się na rzecz służenia innym! Albowiem służba jest sztuką! Raz i raz! – Nie ustając w klaskaniu i zachęcie, wyszedł z kuchni i ruszył korytarzem. – Szukajcie, a znajdziecie! Doskonałość! Perfekcja!

Lucy i Klara uśmiechali się. Ucałowawszy ją w czoło, Lucy podążył za panem Olderglough, lecz nim opuścił pomieszczenie, jeszcze raz spojrzął przez ramię: Klara wygładzająca sukienkę; jej cudny profil, gdy obróciła się po dziewczęcemu na pięcie i ruszyła w stronę spiżarni. Lucy pospieszył za dźwiękiem klaskania, które wciąż rozlegało się w korytarzu.

BLAT STOŁU JADALNIANEGO lśnił jak nowy, błyszcząły wypolerowane sztucce rozłożone na wyprasowanych serwetach, a pełna przepychu sala skąpana była w złotym świetle niezliczonych białych świec. Równie odświętnie i nieskazitelnie prezentowały się trzy usadowione pary; wszyscy siedzieli prosto i kiwali uprzejmie głowami, nie zamieniając jednak z pozostałymi więcej niż parę słów. Konwersacja utrzymana była w tonie sztucznym i bezosobowym, a dotyczyła przede wszystkim rządowych pogłosek; usilne starania baronostwa, by zająć swych gości lżejszą pogawędką, napotykały opór i spełzały na niczym. Lucy, podając zupę, z min gospodarzy wyczytał uzasadnione obawy: atmosfera była tak bardzo stonowana, że wszyscy czuli się nieswojo, a powodzenie całego wieczoru zdawało się balansować na krawędzi. Gdy jednak podano drugie danie, a do niego wino, nastrój wśród biesiadników rozluźnił się i zaczęli pozwalać sobie na swobodniejsze żarciki. Po trzecim zaś powszechną radość od jazgotu dzielił już tylko jeden krok: goście rzeli, zadzierając głowy do tyłu, a czerwona do tej pory karnacja hrabiego przybrała barwę fioletową, ponieważ zakrztusił się jakimś niedożutym kęskiem, by po chwili wypluć go na talerz. Im więcej pili, tym bardziej zanikały cechy indywidualne, hulanka przeistaczała się w jeden zwarty byt, a na jego obrzeżach poczęła z wolna kiełkować niechęć, a nawet groza.

Lucy miał zrazu podejrzenie, a potem już pewność, że hrabia zerka na Klarę, gdy tylko ta wchodzi do sali. Wpierw były to jedynie ukradkowe spojrzenia, lecz z upływem czasu jego awanse stawały się coraz jawniejsze, a więc kiedy Klara zjawiała się w pobliżu, hrabia dokładał wszelkich starań, by nawiązać z nią najdrobniejszy choćby kontakt: dotknąć jej nadgarstka, gdy zabierała jego pusty talerz, albo pogłodzić jej plecy, gdy przechodziła obok. W takich chwilach Klara zamierała i choć nie dało się tego po niej poznać, Lucy wiedział, że czuje się przytłoczona zalotami hrabiego, więc za

każdym razem żołądek podchodził mu do gardła. W którymś momencie, gdy Klara oddaliła się do kuchni, hrabia spytał barona:

– Skądś pan tamtą wytrzasnął?

– Och, to zwykle dziewczę z wioski.

Hrabiego niezwykle to zaciekało.

– Czyli nie jest u pana na służbie?

– Zazwyczaj nie. Ponieważ jednak nie zdążyliśmy wypełnić wszystkich luk w personelu, jakoś musimy sobie tymczasem radzić. Czemu pan pyta? Czyżby był pan z niej niezadowolony?

– Wprost przeciwnie!

– Mój małżonek się zadurzył, jak sędzę – wyjaśniła hrabina.

– Ach tak – odparł baron, kiwając głową. – Któż by pana za to winił. Podejrzewam jednak, że może pan mieć konkurencję w osobie tamtego młodzieńca.

Sześć par oczu obróciło się ku Lucy’emu, który podczas całej rozmowy stał w drugim końcu sali, aż kipiąc z niemego gniewu.

– Coś podobnego? – zdziwił się hrabia.

– Proszę tylko zwrócić uwagę, jak on się pręży, gdy ona przechodzi obok – powiedział baron, uśmiechając się do Lucy’ego z sympatią. – Proszę się przyjrzeć, jakim żalonym wzrokiem odprowadza ją do drzwi. Bez wątpienia jest jej oddany całym sercem i duszą. – Tu baron przykrył dłoń małżonki swoją. – Coś takiego dostrzeże tylko ktoś, kto sam jest zakochany.

Hrabia łypał na Lucy’ego.

– No to jak, młodzieńcze? Szable o świcie?

Wyzwanie było niewątpliwie żartem, a jednak pobrzmiwała w nim również nuta niekłamanej agresji. Było całkowicie jasne, że gdy hrabia czegoś pragnął, nie musiał prosić dwa razy. „Jakie to by było uczucie – zastanawiał się Lucy – wbić ostrze w ludzkie ciało? Czy poszłoby gładko, tak jak przecina się dłonią promień światła, czy też może opornie, powoli, niczym wiosło, gdy forsuje wodę?” W każdym razie naprawdę miał teraz ochotę przeszyć hrabiego na wylot, toteż w odpowiedzi na jego zaczepkę oznajmił:

– O świetle... albo i przy księżycu... jak sobie Wasza Mość życzy.

Biesiadnicy uznali ripostę Lucy'ego za wyborną i długo się z niej śmiali. Sam baron powstał z miejsca i wypił jego zdrowie, baronowa zaś oklaskała go dłońmi opiętymi w białe rękawiczki. Lucy uklonił się całemu towarzystwu i wyszedł z jadalni. Tuż za drzwiami natknął się na Klarę, rozpromienioną i spłoszoną, gdyż podsłuchiwała całą rozmowę, łącznie z odpowiedzią, jakiej udzielił hrabiemu. W przypływie nadzwyczajnej śmiałości pocałował ją, wsłuchując się z lubością w szelest fartuszka, który ocierał się o udo. Klara zrobiła krok wstecz i przyjrzała mu się zdumiona. Wyczytał z jej oczu, że oto podjęła jakąś niejasną dla niego decyzję. Złapała go za rękę i zostawiając jadalnię w tyle, pociągnęła za sobą do ogromnej sali balowej, gdzie zatrzasnęła za nimi drzwi.

PONIEWAŻ SIĘ NIE wstydziła, to on zaczął się wstydzić. Przeszli na sam koniec sali, gdzie przyparła go do ściany. Patrzył, jak rozpina mu spodnie, i ubóstwiał ją tak bardzo, że w jego sercu uczucie to nabrało cech fizycznych; przeraziły go rozmiar i waga miłości, ponieważ czuł, że nie potrafi jej w sobie pomieścić. Gdy zaczęli się kochać, Klarę ogarnęła taka gorączka, że nie wydawała się już być sobą; Lucy miał wrażenie, że opętał ją jakiś duch, o którego istnieniu nie miał dotąd pojęcia. Gdy przytulał jej głowę, zdumiewało go, że jest tak drobna, tak delikatna; gdzie w tym kruchym naczyniu mogła kryć się ta moc, którą miała w sobie Klara? U szczytu namiętności całe jego ciało wezbrało falą światła. Nic jeszcze nigdy tak bardzo go nie poruszyło.

Klara wyprostowała się i doprowadziła ubiór do porządku, jednym trzeźwym ruchem nadgarstków obciągając rąbek spódnicy. Uśmiechnęła się przebiegle i z nieskrywaną dumą oświadczyła:

– Pójdę pierwsza.

Lucy skinął głową, ale nic nie odpowiedział. Wyszła, a on stał oparty o ścianę, na niepewnych nogach i ze spodniami wokół kostek. „Ileż to rzeczy dzisiaj mi się przytrafia” – pomyślał.

PRAWDZIWOŚĆ TYCH SŁÓW jeszcze się pogłębiła, gdy drzwi rozwarły się gwałtownie i do sali całą rozhisteryzowaną zgrają wpadli biesiadnicy. Lucy wśliznął się bokiem za kotarę po swej prawej; nie był w stanie podciągnąć spodni tak, by jednocześnie nie zwrócić na siebie uwagi, musiał tedy zostawić je w spokoju. Przez jakiś czas tkwił bez ruchu w ciemności, skryty za ciężkimi fałdami kotary, lecz wkrótce odciągnął brzeżek, by zerknąć na tamtych; i to właśnie ten punkt obserwacyjny pozwolił Lucy'emu stać się mimowolnym świadkiem, a także kronikarzem Kuriozalnych i Straszliwych Zajść w Sali Balowej. Obecni byli wszyscy z wyjątkiem hrabiego, który przybiegł chwilę później, niańcząc w ramionach tacę z tartą niczym noworodka. Przekonanie o własnej nieśmiertelności miał wypisane na twarzy.

– Patrzcie go, jaki uradowany – skwitowała hrabina.

– Niebywale wręcz – dodała księżna.

– Ciekawe, czy można być zanadto uradowanym? – zastanawiała się baronowa.

– Nie można – obwieścił hrabia, kładąc tacę na blacie stołu. – Albowiem radość nie pociąga za sobą żadnych konsekwencji, a jej jedynym pragnieniem jest dalej przysparzać radości.

Podczas gdy towarzystwo trawiło sens tej deklaracji, hrabia stanął przy stole i jął podziwiać deser, uśmiechając się sennie: istny ideał spełnienia i potulności. Wtem jednak jego myśli zmącił mrok agresji, a twarz wykrzywiła się okrutnie. Hrabia wbił pięść w samiuteńki środek dziewiczej tarty.

Kuriozalne i Straszliwe Zajścia w Sali Balowej

W SWYM NIEDBALSTWIE, które zdawał się wręcz kultywować, hrabia jadł tartę prosto z ręki, a czynił to z galanterią godną wieprza, co to dorwał się do cebra ze zlewkami. Zacisnąwszy pięść, przyglądał się brei przeciekającej przez palce na podłogę, po czym wytarł dłoń o nogawkę spodni i powiódł po pozostałych szklanym wzrokiem. Wówczas to baron powiedział do baronowej:

- Moja droga, nasz gość wydaje się zadowolony z tarty.
- Rzeczywiście, można odnieść takie wrażenie – odparła baronowa.
- A jeśli on jest zadowolony, to i my jesteśmy zadowoleni, nieprawdaż?
- Ależ naturalnie.
- Co jest bowiem rolą gospodarza?

Odpowiedź baronowej brzmiała jak ćwiczenie poprawnej wymowy:

- Rolą gospodarza jest zapewnić gościom komfort i rozrywkę.

Baron poklepał leciutko jej dłoń, po czym małżonkowie wymienili spojrzenia pełne szczerego zachwyty. Teraz baron zagadnął pozostałych:

- A co z resztą naszych przyjaciół? Czy są równie kontenci?

– Co do mnie, czuję się znakomicie – stwierdził książę, po czym odwrócił się do małżonki: – A tobie, kochana, niczego nie trzeba?

Księżna pokręciła stanowczo głową.

- Zupełnie niczego?

Księżna nie przestawała kręcić głową, uśmiechając się przy tym; wydawała się zbyt odurzona, by wydobyć z siebie choćby słowo. Prawdę rzekłszy, całe towarzystwo było już podówczas pijane w sztok, policzki

pały od wina i ogólnej wesołości; całkiem naturalne było tedy, iż mimo swych pozycji społecznych biesiadnicy wyzbyli się przesadnej rezerwy. Lucy był jednak wzburzony widokiem hrabiego, który trzewikiem opiętym w getry wdeptywał kawałki ciasta w dywan, nie dostając za to najmniejszej nawet reprimendy, choć jego zachowanie niewątpliwie przekraczało granicę dzielącą żywioł zabawy od zwykłego chamstwa. Dlatego Lucy ucieszył się, gdy hrabina przemówiła ze swego miejsca na kanapie:

– Aleś rozbabrał. Przecież wszystkim się odechce deseru.

Hrabia zaprzestał deptania tarty i przyglądał się hrabinie. Ta wodziła teraz palcem po obrębie kieliszka, najwyraźniej żałując swej wypowiedzi.

– No, wybacz – dodała – ale wydawało mi się, że wszyscy stracimy przez ciebie ochotę na deser.

Jego wzrok odplynął w drugą stronę, prześlizgując się po sali, jak gdyby hrabia lustrował stojące w niej sprzęty. Naraz zrobił rozanieloną minę i wydawało się, że doznał olśnienia. Zerknąwszy na tartę, nabrał kolejną garść i zmierzał teraz przez całą salę ku hrabinie z uporem właściwym komuś, kto pomimo alkoholowego zamroczenia z całych sił stara się poruszać w sposób celowy. Stał przed żoną, wyciągając przed siebie ociekającą ciastem pięść. Oddychał niespokojnie.

– No i co masz zamiar z tym zrobić? – spytała.

Hrabia wziął zamach i trzepnął ją wściekle w twarz. Hrabina upadła na kanapę i przez chwilę leżała na wznak, nieruchomo i w milczeniu, choć można było przypuszczać, że przeżywa katusze. On tymczasem, usatysfakcjonowany ciosem i dumny niczym z dobrze wykonanego zadania, wrócił na swój posterunek przy tarcie. Hrabina podniosła się i usiadła. Chociaż krwawiła obficie z nosa, nikt nie pospieszył jej z pomocą; wyglądało wręcz na to, że pozostali zupełnie nie przejmują się jej losem, a jedynie śledzą przebieg tej sceny, jak gdyby była częścią widowiska lub jakiejś innej rozrywki. Dowodziły tego niezbitcie ich zaaferowane miny i skupione milczenie. Lucy nie mógł się oprzeć wrażeniu, iż ów spektakl przemocy odbywa się nie po raz pierwszy, a może nawet któryś raz z rzędu.

Hrabina wstała z kanapy i ruszyła przed siebie. W rozmaśloną na twarzy tartę wsiąkała krew, okruchy pęczniały na karmazynowo. Mimo to hrabina nie dawała jakichkolwiek oznak niezadowolenia czy urazy; wręcz przeciwnie, jej mina była po królewsku wyzywająca, jak gdyby hrabina miała się za najbardziej ponętną kobietę w całym towarzystwie. Kiedy zaczęła się rozbierać, u jej boku natychmiast znalazły się księżna i baronowa, by w milczeniu pomóc jej oswobodzić się z sukni i rozsznurować gorset. Wkrótce stanęła przed resztą pań i panów zupełnie naga; z podbródka kapłała krew, której czerwona strużka zdobiła biust, gromadząc się w dekolcie i wijąc po krągłym brzuchu. Hrabina podeszła do stołu i wzięła z niego całą tacę z tartą, po czym sprezentowała ją księciu, skłoniwszy przy tym głowę. Ów instynktownie przyjął dar, lecz na jego twarzy malowała się wątpliwość. Zwrócił się tedy do hrabiego.

– I co ja mam teraz począć, przyjacielu? – spytał.

– Dżentelmen nie może odmówić damie – odparł hrabia.

– Jest pan pewien?

– Bardziej niż czegokolwiek w życiu.

Księżę schwycił więc garść tarty i naśladując hrabiego, rozmaślił ją na twarzy hrabiny.

– Mocniej – powiedziała.

Kolejną garść księżę zaaplikował z taką siłą, że hrabina poleciała do tyłu, nakrywając się nogami niczym gimnastyczka. Tak jak wcześniej leżała chwilę bez ruchu, przekładając ból na sobie tylko znany język. Tymczasem rozbierać się zaczęła również księżna, a w jej ślady poszli hrabia i księżę. Lucy zauważył, że suknia, z której wystąpiła księżna, wciąż stoi pionowo obok swej właścicielki: sztywna, ścięta, istne widmo.

A baron i baronowa? Lucy był tak pochłonięty obserwowaniem reszty, że nie zwrócił uwagi na ich reakcję; gdy w końcu przyszło mu to do głowy, ze zdumieniem odkrył, że tych dwoje, których darzył bałwochwalczym niemal szacunkiem, również rozdiewa szaty, obłapia jedno drugie, patrząc sobie przy tym w oczy, przepelnione zwierzęcą chucią. Niczym jeden organizm całe towarzystwo ewoluowało bądź też degenerowało się: rosło napięcie i gorączkowość, a sala nabrzmiewała tak straszliwym wyczekiwaniem, że

Lucy miał żołądka czuł tylko mocno ściągnięty supeł wstrętu, jak po dzikich jabłkach. Pragnął opuścić pomieszczenie, ale było to niewykonalne. Chciał oderwać wzrok, ale nie potrafił. Z niemą trwogą śledził więc wszystkie poczynania, a umysł i ciało w zupełnym odrętwieniu czekały tylko, aż ów korowód obrzydliwości się skończy.

W pewnym momencie laska salami, która przez cały ten czas pomału wysuwała się z rękawa Lucy'ego, spadła na podłogę, uderzając o nią z kłaśnięciem i czyniąc nie lada łoskot; i choć nikt z obecnych tego nie odnotował, Lucy lękał się, iż wędrownie salami, odkryte na podłodze, i to tak blisko jego osoby, z pewnością pociągnęłyby za sobą poważniejsze śledztwo. Ponieważ nie śmiał się po nie schylić, postanowił, że oddali je od siebie kopniakiem; tak się jednak pechowo złożyło, iż Lucy uczynił to zbyt skwapliwie, skutkiem czego salami potoczyło się na sam środek sali, zatrzymując się ledwie paręnaście centymetrów od nagiej stopy hrabiego. Ów dostrzegł je kątem oka i teraz przyglądał mu się uważnie, tudzież z pewnym niepokojem. Uniósł wzrok i rozejrzał się po sali, jak gdyby szukając kolejnych wskazówek. Nie znalazłszy ich jednak, trącił salami paluchem u nogi, a potem oddalił się chwiejnym krokiem, by dołączyć do reszty.

Księżę zaciągnął hrabinę za włosy przed oblicze barona, gdzie kazał jej uklęknąć.

– A może i pan da się namówić, panie baronie? – spytał księżę, podając gospodarzowi talerzyk z tartą.

Baron uśmiechnął się dobrotliwie do hrabiny, baronową zaś spytał:

– Co mam zrobić, moja droga?

Jego małżonka zgarnęła z talerza porcję tarty i umieściła w jego dłoni.

– Jesteś pewna? – spytał.

Skinęła głową, a baron lekko spoliczkował hrabinę. Mina klęczącej kobiety była nietęga; spojrzała ku pozostałym, jak gdyby domagając się interwencji.

– Nie, nie tak – rzekł hrabia.

– My to robimy mocniej, panie baronie – dodał księżę.

– Znacznie mocniej – uzupełnił hrabia.

– Niech pan spróbuje jeszcze raz, tyle że bardziej energicznie – powiedział książę.

– Tak mocno, jak się panu baronowi podoba – wyjaśnił hrabia.

Ale baron nadal się wahał.

– Na pewno chce pani, bym to zrobił? – spytał hrabinę.

– Mocno – powiedziała niemal bez tchu.

Wtedy to ogólny nastrój udzielił się również baronowi, który rezygnując z tarty, przyłożył hrabinie tak, że znów leżała na ziemi jak długa. Ze strony pozostałych posypały się gromkie brawa; wydawać by się mogło, że baron poczynił właśnie jakąś dowcipną uwagę lub też błyskotliwe spostrzeżenie. Hrabina kolejny raz pozbierała się z podłogi i uklękła przed baronem, który nakazał jej otworzyć usta. Gdy to zrobiła, począł wpychać jej garściami tartę, aż się zakrzuszyła i dostała torsji, przez co mimowolnie wypluła tartę na ziemię. Baron nakazał jej zlizać wszystko z podłogi, co też uczyniła z wielką gorliwością, jak gdyby nigdy jeszcze na nic nie miała tak wielkiej ochoty. Podówczas wszyscy byli już rozebrani; krąg nagich ciał zacieśniał się, coraz bardziej przypominając skupisko.

Wkrótce nastąpiła faza powszechnej kopulacji. Lucy nie wiedział, jakiego protokołu przestrzegają uczestnicy, ani też nie umiał wywnioskować, lecz miał nieodparte wrażenie, iż porządkiem zespoleń, aktów oraz pospiesznych i chłodnych separacji rządzi jakaś tajemna etykieta. Bodaj najbardziej wstrząsającym aspektem całej sprawy był zupełny brak człowieczeństwa, gdyż nie wymieniano tu żadnych pocałunków, jednej nawet pieśczoły. W pewnym momencie hrabia zwlókł się z księżnej i podreptał po leżące na podłodze salami. Wróciwszy zaraz na miejsce, wszedł w nią od nowa, tyle że od tyłu i dzierżąc salami niczym pałkę, jął okładać nim księżnę po plecach, pośladkach i głowie. Reszta towarzystwa, zakończywszy już swe własne transakcje, zgromadziła się wokół hrabiego i księżnej, by obejrzeć finał spektaklu. Pchnięcia hrabiego stawały się coraz bardziej szaleńcze i w tym samym tempie narastała siła smagnięć kielbasą; gdy skończył, salami eksplodowało i w ociekającej tłuszczem garści został zaledwie kikut. Hrabia podniósł się znad księżnej: cielsko miał umazane i lepkie, a pierś i kałdun falowały w naprzemiennym rytmie. Księżna była

całkowicie wyczerpana; leżała na brzuchu, pojękując, a jej plecy były czerwone od pręg i usiane drobinami mięsa. Hrabia cisnął w nią resztką kiełbasy, która odbiła się rykoszetem od głowy księżnej i poleciała, koziołkując, pod kanapę. W ten oto sposób zakończono sprawę.

– No dobrze – powiedział baron – kto reflektuje na cygaro?

Entuzjazm księcia i hrabiego wydał się Lucy’emu niewspółmierny do propozycji: klaskali i wiwatowali ochoczo. Baronowa również zachowywała się osobliwie. Na jej policzku i szyi rozgorzał rumieniec, usta zaś ściśnięte były w wąski uśmiech, jakby starała się zataić jakąś prywatną rozkosz; podeszła do stołu na środku sali i wdrapała się na blat. Baron rozdał panom cygara z cedrowej szkatułki, po czym cała trójka podeszła do baronowej, rozkoszując się każdym krokiem, jak gdyby o pięknym wiosennym poranku przechadzali się po promenadzie. Baronowa przyjęła już odpowiednią pozycję: twarzą przywarłszy do blatu i rozłożywszy ręce szeroko na boki, wysunęła wysoko w górę pośladki. Podczas gdy książę i hrabia podziwiali jej nagi zadek, baron wgramolił się na stół, sięgnął ku żyrandolowi i zdjął jedną z płonących świec, po czym zszedł, pilnując, by płomień nie zgasł.

Dostrzegłszy barona sięgającego po świecę, Lucy miał niejasne przeczucie nadchodzących wydarzeń, uzupełnione szczerą nadzieją, że jego przewidywania okażą się błędne. Sprawdziły się jednak, i kiedy drugi koniec świecy aż do połowy zniknął w tyłku baronowej, Lucy zadumał się nad mroczną kondycją człowieczeństwa, tudzież nad różnym pojmowaniem wolności; zbierało mu się przy tym na wymioty. Mężczyźni nachylali się jeden po drugim, odpalali cygara, a potem stawali prosto, delektując się dymem, wpatrzeni z czcią w rozdygotany płomień. Po jakiejś minucie baron zwrócił się do księcia:

– Jak tam w końcu z transportem na pańskich ziemiach?

Książę wydał dolną wargę, kręcąc głową.

– Burza w szklance wody.

– Gdyśmy się ostatnio widzieli, wydawał się pan zaniepokojony.

– Niepotrzebnie. Związkowych podżegaczy przepędzono z miasta i od razu wszystko ucichło.

- Miło słyszeć. A jak tegoroczne zyski?
- Coraz lepiej.
- Pogoda dopisuje?
- Zimę mieliśmy, Bogu dzięki, łagodną. A panu jak idą interesy?
- Bez zmian.
- Pieniądze zawsze lgnęły do pana.
- Owszem, nie mogę zaprzeczyć.
- Pieniądze lgną do pieniędzy – odpowiedział hrabia.
- Tak ludzie mówią i coś w tym jest – odparł z uznaniem baron.

Księżna i hrabina grzały się tymczasem przy piecu. Na kominku stał obfity bukiet żółtych róż; kobiety jeły wyciągać z niego pojedyncze kwiaty i ciskać je w ogień. Baronowa leżała do tej pory bez ruchu na blacie, lecz teraz wyciągnęła świecę z zadka i dołączyła do koleżanek. Sięgnąwszy po różę, również rzuciła ją na pożarcie płomieniom, po czym złapała następną. Sytuacja przedstawiała się zatem następująco: trzy nagie, milczące kobiety ciskały do pieca kolejne róże, aż w końcu z bukietu nic nie zostało. Mężczyźni ponownie zasiedli na kanapie i z tej pozycji spoglądali posępnie na swe żony i ich zagadkowy rytuał. Nikt się nie odzywał, gdyż nie było już doprawdy czego mówić. Gdy spopieliła się ostatnia róża i zgaszono cygara, towarzystwo ubrało się, życząc sobie dobrej nocy, po czym wszyscy oddalili się parami: pierw księstwo, potem hrabiostwo, a na końcu baron i baronowa.

Lucy wreszcie został sam, więc podciągnął spodnie i wyszedł z za kotary. Był już przy drzwiach, gdy do sali weszła Agnes.

- Gdzieżeś ty się, do diaska, podziewał? – spytała.
- Tutaj, proszę pani. Goście poszli spać.
- Tak, ten cały hrabia wspomniał, że już skończyli. Sądzisz, że zabawa była udana?
- Tak.
- A kolacja?
- Też.
- A tarta?
- Też.

– Smakowała im?

– Tak.

– Mówili, że smaczna?

– Nie.

– Ale odniosłeś wrażenie, że im smakowała?

– Tak – odparł Lucy. W jego głowie zakiełkowała nieprzyjemna myśl. –

Kiedy rozmawiała pani z hrabią, że tak spytam?

– Zaszedł przed chwilą do kuchni. Po przekąskę, jak to ujął.

– A gdzie Klara?

– Tamże. Zmywa naczynia.

– Jest z nimi jeszcze ktoś?

– Nie.

Lucy wyszedł na korytarz, a przestąpiwszy próg, puścił się pędem. Zostawił za sobą Agnes, która naląła sobie winiaku i wzdychając głęboko, przysiadła na kanapie. Sączyła trunek, rozglądając się nieufnie dokoła. Z jakiegoś powodu w sali balowej zawsze czuła się nieswojo.

GDY LUCY WPADŁ do kuchni, w kącie ujrzał Klarę przypartą przez hrabiego do ściany. Hrabia zadzierał jej sukienkę, macał między udami i lizał ją po twarzy; gdy spróbowała mu się wyrwać, zaczął ją tłuc, szarpać i miotać o ścianę. Lucy w kilku susach przemierzył kuchnię, jak gdyby leciał na skrzydłach albo sunął po tafli lodu; chwyciwszy z bloku rzeźniczego należący do Agnes marmurowy tłuczek, zamachnął się, chcąc przyłożyć hrabiemu w głowę i pozbawić go przytomności, lecz hrabia obrócił się w ostatniej chwili i oberwał tłuczkiem w twarz. Głową odbił się od muru, po czym w zupełnym osłupieniu padł na kolana. Tam, gdzie jeszcze do niedawna znajdował się górny rząd zębów, teraz ciekła obficie ciemnoczerwona krew, spływając po twarzy na gors koszuli. Lucy nie miał pojęcia, że krew może płynąć tak wartko. Skinął na Klarę, która czym prędzej stanęła za jego plecami. Tłuczek ścisnął tak mocno, że paznokcie wpiły mu się w dłoń; gdy dotarł do niego związany z tym ból, Lucy rozluźnił uścisk, a tłuczek upadł na podłogę i pękł na dwoje. Lucy nigdy wcześniej nikogo nie uderzył.

Hrabia wstał, opierając się o ścianę i patrząc na nich wzrokiem tak święcie skonsternowanym, jakby widział ich po raz pierwszy, a właściwie jakby po raz pierwszy widział jakiegokolwiek ludzkie istoty. Przejechał palcem po brodzie i dokładnie go obejrzał. Słaniając się na nogach, dotarł do zlewu, wziął głębszy oddech i wypluł odłamki zębów. Wygladzając kłapy marynarki, obrócił się na pięcie ku Lucy'emu i w słowach, które za sprawą lejącej się gęsto krwi oraz poważnych braków w uzębieniu brzmiały dość krągło, spytał:

- Jak wyglądam, chłopcze?
- Całą twarz ma Wasza Mość zakrwawioną.

Hrabia wydobył z kieszonki na piersi chusteczkę i parę razy musnął nią policzek.

– A teraz?

– Nadal nieco krwiście.

Hrabia wytarł chusteczką całą twarz, rozsmarowując wszędzie krew, a tym samym znacznie pogarszając swój wizerunek. Spojrzał na Lucy'ego pytająco.

– Bez porównania, Wasza Mość.

Hrabia skłonił się Lucy'emu, a następnie Klarze.

– Hm, tak – powiedział – Morfeusz mnie wzywa, toteż udam się już na spoczynek. Dziękuję państwu za przemiły wieczór.

– Nie ma za co, Wasza Mość – odparł Lucy.

– Naprawdę nie ma za co – dorzuciła Klara.

Hrabia wyszedł z kuchni, ale Lucy i Klara nie przestali wpatrywać się w pustą futrynę. Naraz znów stanął w niej hrabia, a Klara mocniej ścisnęła dłoń Lucy'ego.

– A która jest moja komnata? Jakoś nie mogę sobie przypomnieć.

Lucy wskazał palcem:

– W górę po schodach, Wasza Mość, i potem drugie drzwi po prawej.

Hrabia znów wyszedł. Lucy'emu zrobiło się słabo; uczuł, że się rumieni, więc wstydził się pokazać Klarze oblicze. Gdy objęła go w talii i przytuliła mocno do siebie, wciąż miał zamknięte oczy. Stali w objęciach, całując się, tak bardzo w sobie zakochani.

RANKIEM OCZOM HRABINY zamiast twarzy męża ukazał się istic rzeźnicki widok zaschniętej krwi i mięsa tak spuchniętego i obolałego, że aż lśniło. Hrabina podniosła tedy straszliwy wrzask; wrzeszczała jeszcze długo potem.

HRABIA ZUPEŁNIE NIE pamiętał incydentu z tłuczkiem. Lucy zawczasu uprzątnął z kuchni krew i odłamki zębów, a także starł guzikowate krople, które znaczyły drogę przez korytarz. W związku z tym, że krwawe ślady brały teraz swój początek u stóp schodów, niemal sam nasuwał się wniosek, iż hrabia musiał tam się potknąć. O poranku goście w asyście gospodarzy rekonstruowali całe zajście i byli tym niezwykle podekscytowani, może z wyjątkiem hrabiego, który stał w pewnej odległości, upiornie fioletowy. Baron przyklęknął na schodach, by dotknąć tępego kamiennego rantu – być może właśnie tego, z którym hrabia wszedł w pechową kolizję – i wszystkich zebranych przeszył dreszcz. Hrabia usiłował coś powiedzieć, lecz jego słowa były całkowicie niezrozumiałe. Powtórzył więc, ale tylko hrabina była w stanie pojąć, o co mu chodzi, a następnie przetłumaczyć na użytek pozostałych:

– Zastanawia się, gdzie się podziały jego zęby.

Księżę nachylił się do hrabiego:

– Najpewniej je zjadłeś, dobrodzieju!

Ów skrzywił się na samą myśl, po czym skrzywił się od tego krzywienia.

– Sądzę, że wkrótce się pan przekona! – dodał księżę.

Księżna, której doskwierała migrena, zrugła go:

– Mój drogi, hrabia nie ogłuchł. Mów trochę ciszej, bardzo cię proszę.

Całe towarzystwo przeniosło się do jadalni i tam przy śniadaniu ustalono, że nie obejdzie się bez pomocy medycznej. Hrabia przystał na to, upierając się jednocześnie, iż udzielić jej może wyłącznie jego nadworny lekarz. Baron chciał czym prędzej posłać po tego człowieka, lecz hrabia stwierdził, iż wolałby odzyskać siły w zaciszu własnej posiadłości; próbowano odwieść go od tego pomysłu, lecz on twardo obstawał przy swoim. Położyło się to cieniem na nastroju całej ekipy, gdyż przedwczesny wyjazd hrabiostwa był równoznaczny z rozpadem ich gromadki. A jakie plany

mieli księżę i księżna? Owszem, wyglądało na to, że i oni przymierzają się do wyjazdu; już zaczęli wspominać o przyszłych spotkaniach w tym samym gronie i ubolewać nad wypadkiem hrabiego: taka szkoda, taki pech! Baron przyglądał się temu wszystkiemu rozgoryczony, a z jego oczu poczynąła wyzierać rozpacz. Jął tedy błagać gości, by przedłużyli wizytę, kusząc ich obietnicami wyśmienitych kolacji i roztaczając wizje nieodpieczętowanych jeszcze beczek najprzedniejszego wina; nikt jednak nie dał się namówić i wkrótce wszyscy umilkli, tak więc jedynym dźwiękiem był szcęk sztućców.

Uprzedniej nocy coś popsuło się na dobre i nie dało się nijak naprawić. Któż umiałby stwierdzić, czy wszyscy wstydzili się dziś straszliwie zajść w sali balowej, czy też może wśród zgromadzonych zapanowała na stałe wzajemna niechęć: Lucy wcale nie był pewien, czy wczorajszy spektakl już się aby skończył. Coś jednak sprawiło, że z gości uszła wszystka wesołość. Tyczyło się to również barona, najgorzej całą sytuację zniosła zaś baronowa, która pojąwszy, iż czas zabawy znów dobiegł końca, wstała od stołu i nie żegnając się nawet z przyjaciółmi, zniknęła za drzwiami swej prywatnej komnaty i zamknęła się tam na cztery spusty.

CAŁY DZIEŃ, AŻ do późnego popołudnia, Lucy i pan Olderglough mieli pełne ręce roboty, musieli bowiem pomagać gościom pakować bagaże, a następnie przenieść je na stację. Choć hrabia zachowywał się jak małe dziecko, bycie w centrum troskliwej uwagi niewątpliwie sprawiało mu przyjemność. Lucy czuł się przy nim nieswojo, ponieważ obawiał się, iż ów przypomni sobie nagle okoliczności, w jakich doznał urazu; hrabia widział w nim jednak wyłącznie kolejną osobę, na której można się oprzeć i sobie pobiadolić. Lucy i pan Olderglough odeskortowali hrabiego na stację; gdy pociąg odjechał, przełożony Lucy'ego oznajmił:

– Chyba będziemy mieli trochę spokoju, chłopcze. I sędzę, że sobie na to zasłużyliśmy. – Na twarzy pana Olderglough Lucy dostrzegł igrający uśmieszek, który tamten starał się ukryć.

– O co chodzi, proszę pana?

Pan Olderglough odchrząknął.

– Hm, tak się zastanawiam, co dokładnie przytrafiło się ubiegłej nocy hrabiemu. Ty oczywiście nic nie wiesz na ten temat?

– Och, podobnież przytrafił mu się upadek ze schodów.

– Owszem, w teorii. Ależ to musiał być koszmary upadek, co?

– Zaiste, koszmary.

– Jeśli to faktycznie był upadek, prawda?

– Tak.

Pan Olderglough milczał przez chwilę, pogrążony w myślach.

– Zastanawia mnie również – ciągnął po chwili – ta cała historia z tłuczkiem Agnes.

– Z tłuczkiem, proszę pana?

– A tak, z tłuczkiem. Czyżbyś nie wiedział, że dziś rano znalazła go na podłodze w dwóch kawałkach?

– Nie może być!

Pan Olderglough przytaknął.

Lucy pokręcił głową.

– Przykra sprawa.

Pan Olderglough znów przytaknął.

– I jest jeszcze jedna rzecz – dodał. – Ciekawi mnie mianowicie, co się stało z fartuszkim naszej Klary.

– Z fartuszkim, proszę pana?

– Agnes twierdzi, że jest rozdarty przy kołnierzu i rękawie. Tuszę, iż Klara nie doznała uszczerbku?

– Nie, proszę pana.

– Zatem dotarła do domu cała?

– Cała i zdrowa.

– Dzięki Bogu. Wygląda na przesympatyczną pannicę.

– Tak jest w istocie, proszę pana. Dziękuję za te miłe słowa.

Przez jakiś czas szli obok siebie w milczeniu; teraz już obaj się uśmiechali. Wreszcie pan Olderglough powiedział:

– Czy zgodziłbyś się, że tym, co nas najbardziej pociąga w tajemnicy, jest sam fakt jej tajemniczości?

Lucy rozważył pytanie przełożonego.

– Może i bym się zgodził, proszę pana.

– I że ten sam fakt przyprawia nas jednocześnie o czarną rozpacz?

– Niewykluczone, proszę pana. Chociaż, jak to nierzadko bywa, muszę przyznać, że nie do końca wiem, o co panu chodzi.

– Nie?

– Nie.

– To nic. – Pan Olderglough odwrócił wzrok. – Jeśli chcesz, możesz dziś wieczorem wziąć wolne.

– Z wielką radością, proszę pana. Bardzo dziękuję.

– Nie ma sprawy, chłopcze. Zmykaj.

Lucy szedł w stronę wioski, wsłuchany w cykanie świerszczy, które wypełniało wieczorne powietrze. Po raz kolejny oczarował go widok dymu z komina nad domem Klary. Pragnął po wsze czasy mieszkać w tej cudownej chatynce.

Gdy był już bliżej, dostrzegł wielkie zbiegowisko. Przepchnąwszy się na sam przód, ujrzał obiekt powszechnego zainteresowania: przed drzwiami Klary stał Adolfus, wychudły i wycieńczony, w brudnych, zakrwawionych szmatach, a z każdej strony podtrzymywał go towarzysz broni. Któryś z nich zapukał do drzwi i po chwili w progu pojawiła się Klara; stała teraz nieruchomo, patrząc na Adolofusa w milczeniu, jakby był zjawą. Gdy wzięła go w objęcia, wśród wieśniaków podniosła się radosna wrzawa; potem weszli razem do chaty, a ludzie poczęli się rozchodzić. Wreszcie na placu został tylko Lucy. Kiedy zdał sobie sprawę, że nie będzie mógł wejść do środka, odwrócił się i poszedł.

X

CHŁOPIEC W SMĘTNYM HUMORZE

NASTAŁY PONURE CZASY. Lucy sam nie wiedział, jak wygląda teraz jego relacja z Klarą. Jeszcze parę dni temu wydawali się związani krwią; teraz nie miał żadnych wiadomości ani od niej, ani od Memela czy Mewe'a. W wiosce słyszał ciągle o torturach i głodzie, jakie nieprzyjaciół zgotował Adolfusowi; mówiono też, że ów w każdej chwili może umrzeć, lecz czas mijał, a wieści o jego śmierci nie było, z komina nad chatą w najlepsze zaś buchał dym, więc jasne było, że Klara wciąż dogląda Adolfa, karmi go i opatruje. Tymczasem na zamku, jak gdyby tutejsza atmosfera sprężnięta była w jakiś sposób z wydarzeniami w wiosce, stosunki między domownikami stawały się coraz chłodniejsze. Baronowa raz po raz wyrywała się mężowi i biegła do swej komnaty, by tam spędzać samotne godziny, baron zaś podążał za nią i błagał wątłym dyszkantem, by nie wyjeżdżała. W końcu jednak każde udawało się w swoją stronę, a na zamkowych korytarzach i krużgankach zalegała okrutna cisza. W kuchni rozmawiano już tylko niepewnym szeptem: Agnes i pan Olderglough oboje mieli złe przeczucia. Był to więc etap ze wszech miar przejściowy, a Lucy coraz częściej wymigiwał się od obowiązków, by przez lunetę śledzić wioskowe życie, jak wówczas, gdy przyjechał na zamek.

Któregoś ranka w wiosce zobaczył Klarę, jak niesie do chaty wiązkę drewna na opał. Jej twarz była zupełnie bez wyrazu; od powrotu Adolfa minęło siedem dni i w sercu Lucy'ego poczęło kiełkować twarde ziarno nienawiści. Czemu do niego nie przyszła? Z pewnością wiedziała, że pobyt Adolfa w jej chacie nie jest dla niego tajemnicą; z pewnością wiedziała, jaki mu sprawia ból. Co to mogło oznaczać, że nawet nie zadała sobie trudu, by wyjaśnić tę sytuację? Ha, cóżby innego? Wmawiał sobie, że jest zbyt dumny, by samemu udać się do wioski, zamiast czekać na jej wizytę, lecz w istocie paraliżował go zwykły strach. Na samą myśl o tym, że mogłaby oznajmić mu ich rozstanie, dostawał mdłości.

Nagle Klara upuściła szczapy na ziemię i jęła z nabożną czcią wpatrywać się w jakiś odległy punkt. Oto w progu chaty ukazał się Adolfus i stał tam teraz o własnych siłach. Jego twarz opromieniało słońce i choć najwyraźniej nie był jeszcze zupełnie zdrow, wyglądał znacznie lepiej niż przed kilkoma dniami. Uśmiechał się bez wysiłku, wyciągając do Klary ramiona, by podeszła bliżej, co też uczyniła. Przez chwilę stali twarzą w twarz, z pewnością szepcząc чулóstki. Gdy Klara uniosła dłoń i pogładziła policzek Adolfusa, Lucy zrozumiał, że już jej nie odzyska. W ten oto kapitalny sposób złamała mu serce.

LUCY NIE MIAŁ najmniejszej ochoty opuszczać zamku, więc szwendał się po korytarzach, taszcząc swe brzemię z jednego zakamarka w inny; jadł niewiele, spał jeszcze mniej, a odzywać nie odzywał się wcale, ponieważ przyprawiliby go to o okrutne katusze. Wreszcie skrył się w swym pokoiku, zaczernił okno popiołem, lunetę złożył i zamknął w szufladzie, a sam zakopał się w pierzynie. Zrazu nie pojawiały się żadne konkretne myśli ani idee: Lucy tkwił po prostu wewnątrz głębokiego, jednostajnego bólu. Później jednak nawiedzać go poczęły wizje miłosiernej śmierci, a on, na wpół omdlały, z pietyzmem rozważał raz ten, raz inny wariant. Po trzech dniach takiej stagnacji zajrzał z wizytą pan Olderglough, przyprowadzając mu Rożę. Gdy tylko weszli do pokoju, Lucy nakrył twarz poduszką.

– Błagam – powiedział.

– „Błagam”, ale o co, chłopcze?

– Błagam, niech pan tego nie mówi.

– Ale czego „niech pan nie mówi”?

– Niczego niech pan nie mówi!

Pan Olderglough przycupnął na łóżku.

– Czyżbyś źle się czuł, Lucy?

– Tak.

– Co ci dolega?

– Źle się czuję.

– Zapewne ma to jakiś związek z Klarą. Zgadłem?

Lucy nie odpowiedział. Pan Olderglough spuścił głowę i lok odwinął mu się zza ucha.

– Jak mogę ci pomóc?

– Nijak.

– A kiedy ci się polepszy?

– Wcale nie chcę, żeby mi się polepszyło.

- Toż to fatalna postawa.
- Nic na to nie poradzę.
- Czy naprawdę musisz mówić przez poduszkę?
- Naprawdę muszę!

Pan Olderglough odegnał niesforny lok, a jego twarz z miejsca nabrała surowszego wyrazu.

– Lucy – powiedział – przyszedłem tu przede wszystkim dlatego, że martwię się o ciebie. Aczkolwiek, nie ukrywam, jest jeszcze jedna drobna kwestia, a mianowicie taka, iż płacimy ci za wykonywanie na zamku określonych prac. Ty zaś od kilku dni zaniedbujesz obowiązki. Ja rozumiem, każdy popada czasem w lekkie przygnębienie, ale...

- Ani razu mi pan nie zapłacił – oświadczył Lucy.

Pan Olderglough naburmuszył się.

– Wolnego, młodzieńcze! To nie może być prawda. – Pan Olderglough zastanawiał się przez chwilę. – Czy to prawda?

- Ani razu.

– Hm, to faktycznie okropne. – Pan Olderglough zamilkł, ale już po chwili jego czoło się rozchmurzyło. – A założmy, że teraz bym ci zapłacił! Wróciłbyś do pracy?

- Nie.

– Marnie to wszystko wygląda. Czy mogę cię zagadnąć o twe plany?

- Nie mam żadnych.

– Ejże, jakieś przecież musisz mieć. Jak się przedstawia twoja przyszłość?

- W ogóle się nie przedstawia.

Pan Olderglough westchnął.

– Nie mogę z ręką na sercu powiedzieć, bym czerpał przyjemność z naszej pogawędki. Chyba już sobie pójdę. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zostawię z tobą Rożę, bo od rana pałęta się po korytarzach.

- Dobrze. Do widzenia panu.

– Tak, do widzenia – rzucił pan Olderglough na odchodnym. Roza wgramoliła się na łóżko, by przywrzeć do boku Lucy’ego, który teraz znów pogrążył się w żalu nad sobą samym niczym w bagnie. Owa atmosfera,

przewyborna w swej okropności, gdyż wytworzona niejako z własnych zasobów, przyniosła mu pewną ulgę: pływając się w niej, Lucy odczuwał nawet swego rodzaju zadowolenie. Melancholia zawsze dodawała mu otuchy, jak gdyby uczestniczył w jakiejś uświęconej tradycji.

Nazajutrz po południu przyszedł Memel. Lucy tym razem nie zakrył twarzy poduszką, ale odwrócił wzrok i gapił się w sufit. Memel oznajmił:

– Mewe ma grypę. Może poszlibyście ze mną na spacer, ty i Roza?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo nie mam nastroju.

Memel zacisnął usta.

– Nie powinienes tak gadać.

– Czemu.

– Nie uważasz, że to dość obrzydliwe? – Memel pociągnął nosem. – A nocnika czemu nie myjesz?

– Nie dbam o to.

– Najwyraźniej.

Głos Memela pozbawiony był swej zwyczajowej harmonijności; spojrzawszy wreszcie na niego, Lucy doznał szoku. Jego rozmówca wyglądał bardzo niezdrowo: stracił na wadze, był zupełnie blady, a całym jego ciałem wstrząsały dreszcze.

– Nadal tak źle się pan czuje?

Memel odparł:

– Coś mi się w bebechach popsowało. Nie wiem, co to za cholerstwo, ale nie mogę się go pozbyć. – Spojrzał na brzuch, a potem znów przeniósł wzrok na Lucy'ego. – Może jednak mi potowarzyszysz? Nie mam dziś ochoty być sam. No i chciałbym ci coś pokazać.

Perspektywa ta ani trochę Lucy'ego nie pociągała, ale z racji swej prośby Memel wydał mu się naraz tak kruchy i delikatny, że Lucy poczuł się w obowiązku mu towarzyszyć, wstał więc z łóżka i włożył ubranie, i niedługo potem ruszyli na przechadzkę. Roza biegła przodem; Memel, pragnąc wyczarować rozmowę z niczego, poczynił parę spostrzeżeń na temat pogody, lecz z Lucy'ego nie dało się wydusić więcej niż parę słów.

Wreszcie Memel spytał go wprost o przyczynę jego strapienia. Gdy Lucy odburknął, że nic go nie trapi, Memel wytknął mu kłamstwo.

– Czy nie chodzi przypadkiem o to, że nie układa ci się z Klarą?

– Może i chodzi.

– To przez tego żołnierza?

– Owszem. – Lucy czuł się nieswojo, rozmawiając z Memelem o Klarze. – Zupełnie nie wiem, czego ona chce – dodał bezbarwnym głosem.

– Na to nie umiem ci odpowiedzieć, chłopcze. I wątpię, by ona sama umiała. – Memel położył dłoń na ramieniu Lucy'ego. – Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co ona w tamtym widzi.

– Nie lubi go pan?

– Jak mógłbym mieć szacunek do kogoś, kto się tak bardzo pali, by życie oddać za jakąś ideę – wyjaśnił Memel i aż splunął na ziemię z oburzenia.

Lucy, dla którego wojna terytorialna nadal była jedną wielką zagadką, spytał:

– Ale co to za idea? O co właściwie chodzi?

– Dobre pytanie – odparł Memel, przystając, by zaczerpnąć tchu, choć nie szli wcale szybko. Lucy podał mu ramię, a Memel wsparł się na nim i w takiej pozycji ruszyli dalej, ku skrajowi lasu. Rozciągały się tu tereny, których Lucy zupełnie nie znał; wreszcie drzewa się przerzedziły i wyłonił się zza nich trawiasty pagórek, na którym w nierównych rzędach stały zgrzebne nagrobki, mieścił się tu bowiem należący do wioski cmentarz. Szli teraz między grobami, aż Memel zatrzymał się nad jednym z nich i wskazując nań, powiedział:

– Matka Klary. Miała na imię Alida – i dodał, klękając: – Wkrótce pewnie do niej dołączę.

– Niechże pan nie mówi takich rzeczy.

– A czemu? Przecież to prawda. Już nawet epitafium sobie napisałem. Chciałbyś usłyszeć?

Lucy odparł, że chętnie, więc Memel odchrząknął i zwróciwszy twarz ku niebiosom, jął recytować, co następuje:

Wędrował tu i tam wśród bujnych wzgórz.

*Nie widział nigdy oceanu, lecz
Niezmiernie często marzył, by tam być.*

Umilkłszy, Memel spojrział na Lucy'ego badawczo.

– Bardzo ładnie – ozwał się ów.

Memel uklonił się skromnie.

– A ty? Byłeś kiedyś nad oceanem?

– Nie.

– Mówił mi kiedyś pewien człowiek, że ocean jest szeroki jak niebo i dwakroć bardziej błękitny. Dałbyś wiarę?

– Chyba tak.

Memel kręcił głową, nie mogąc się nadziwić. Potem spytał:

– A jak myślisz, co napiszą na twoim nagrobku?

Lucy'emu nigdy jeszcze taka myśl nie przyszła do głowy. Bo czym właściwie miało być epitafium? Podsumowaniem osiągnięć? Zarysem życiowej filozofii? Wszystko pięknie, tylko że Lucy niczego jeszcze nie osiągnął i nie umiałby w jakimś ogólniejszym sądzie zawrzeć doświadczeń z własnego żywota, a cóż dopiero mówić o cudzych. Lucy był w kropce: mógł jedynie wstrząsnąć ramionami.

– Z czasem pewnie samo przyjdzie – pocieszył go Memel.

Lucy nie był taki pewien.

– Czemu mnie pan tu przyprowadził? – spytał.

Memel skinął głową w stronę grobu Alidy.

– Ciekaw byłem, czy wiesz, że ona zrobiła mi to samo, co Klara robi teraz tobie. W dodatku z moim najserdeczniejszym przyjacielem Tomasem.

Myśl, że Memel mógłby mieć jeszcze jakiegoś przyjaciela prócz Mewe'a była intrygująca.

– Ja żadnego Tomasa nie znam – stwierdził Lucy.

– I nic dziwnego, bo już od wielu lat nie żyje. Był z niego karciarz co się zowie. A my dwaj byliśmy nierozłączni, i to już od najmłodszych lat.

– A kiedy umarł?

– Zaraz po tym, jak te jego nieprzystojne postęпки wyszły na jaw. Bo trzeba ci wiedzieć, że został zamordowany.

– Ach tak?

– Właśnie tak.

– A kto go zamordował?

– Ja.

Lucy spytał:

– Zamordował pan najlepszego przyjaciela?

– Tak.

Lucy zadumał się.

– Ale jak do tego doszło?

– Mam opowiedzieć?

– Niech pan opowie.

– A zatem uczynię to.

Jak doszło do tego, że Memel zamordował swego serdecznego przyjaciela Tomasa

MEMEL ZŁOŻYŁ TOMASOWI pewnego ranka wizytę i zastał go w łóżku, wczepionego pajęczko w jego żonę, przy czym oboje byli nagusieńcy. Nie zauważyli, że wszedł do izby i w osłupieniu przygląda się ich wysiłkom. On zaś miał przed oczami całkowicie obcy obraz, gdyż do tej pory nawet go nie tknęło, że między tą dwójką może dziać się coś zdrożnego. Ujrzawszy go w progu, Alida wydała z siebie wrzask, a Memel wyszedł przed chatę. Stał tam w porannym słońcu, miętosząc gors koszuli i łapiąc gorączkowo powietrze.

Po chwili ze środka wychynął Tomas, w półnegliżu i do cna przelękły. Objął Memela, ale ten wyczuł od niego zapach swojej żony, więc odwrócił się na pięcie i sztywnym krokiem ruszył na wzgórze za wioską. Tomas puścił się jego śladem, nawołując go co chwila. Dzień był suchy i upalny; Tomas wkrótce ochrypł, lecz szedł wciąż za Memelem, starając się nie stracić go z oczu. Maszerowali tak w pewnej odległości od siebie, ponad wioską i skroś lasu, aż dotarli na skraj Bardzo Wielkiej Dziury, gdzie Memel kompletnie opadł z sił. Tomas przysiadł nieopodal; gdy już złapał tchu, powiedział:

– Pamiętasz, jakeśmy tu przychodzili jako mali chłopcy? I próbowaliśmy dorzucić kamieniem do drugiego brzegu?

– Pamiętam.

– Ale nigdy nam się nie udało, prawda?

– Prawda, nie udało się.

– A dziś już pewnie jesteśmy za starzy.

– Raczej tak.

W istocie wcale nie byli starcami; ramiona wciąż mieli umięśnione, plecy proste i mocne. A jednak przekroczyli już półmetek życia i zdawali sobie sprawę, że za tą linią wszystko zaczyna pomału przygasać.

– Każdego dnia nieco bliżej do śmierci – stwierdził Tomas.

– Ale tak jest przecież od samego początku – zauważył Memel.

– Zgoda, ale czy miewałeś takie myśli, kiedy byłeś młodszy?

Memel przyznał, że nie. Tomas wstał, podniósł kamień i cisnął nim w rozpadlinę. Memel poszedł za jego przykładem. Żaden z kamieni nie poleciał zbyt daleko.

– Chyba stać mnie na więcej – powiedział Memel.

– Też tak myślę – odparł Tomas. – Trzeba spróbować jeszcze raz. Dajmy z siebie wszystko.

Każdy podniósł z ziemi po kamieniu i rzucił najmocniej, jak potrafił. Oba poszybowały znacznie dalej niż przy pierwszych próbach, ale Memelowi udało się zdystansować Tomasa.

– Brawo – powiedział Tomas.

Stanął na samym brzegu Bardzo Wielkiej Dziury, ręce oparł na biodrach i zapatrzył się w otchłań. Memel podszedł i zastygł tuż za nim w bezruchu.

– No i co my z tym wszystkim zrobimy, Tomasiu? – spytał.

– Nie wiem. Naprawdę chciałbym wiedzieć.

– A czego chce Alida?

– Któż by to wiedział! – Tomas zaśmiał się sam do siebie.

Memel zrobił krok do przodu. Zaświtało mu, że powinien stąpać delikatnie.

– Pozwolimy jej to rozstrzygnąć?

Z gardła Tomasa dobiegał osobliwy dźwięk, ponieważ ów zaczął płakać.

– Chyba nie mamy innego wyjścia – odpowiedział.

Memel zrobił kolejny krok.

– A z nami jak będzie?

– To już twoja decyzja.

– Czyżby?

– Tak. Ja pragnąłbym, żeby nasza przyjaźń przetrwała.
Jeszcze jeden krok.

– Chciałbyś i mojej żony, i mojej przyjaźni, co?

– Wiem, że to niemożliwe. Ale tego właśnie bym sobie życzył. – Tomas wciągnął powietrze, zanosząc się drżącym szlochem, po czym powiedział: – Och, Memelu. Ja cię tak bardzo kocham.

Memel rzucił się do przodu i zepchnął Tomasa w ziejącą w dole pustkę. Impet był tak wielki, że Memel sam nieomal wpadł do rozpadliny; gdy już odzyskał równowagę, stanął na skraju dziury i zadumał się nad tym, jak całkowicie nieobecny był teraz jego przyjaciel: jak gdyby mrok połknął nie tylko Tomasową teraźniejszość, ale także jego przeszłość – jak gdyby człowiek ten nigdy nie istniał. Memel pospieszył z powrotem do wioski. Chciał zobaczyć minę Alidy, gdy powie jej, co się stało.

NAMACALNOŚĆ SZCZEGÓŁÓW w opowiedzianej przez Memela historii przejęła Lucy'ego grozą. Wstrząsnęły nim nie tylko zawarte w niej obrazy i sam uczynek, ale i powściągliwość, z jaką Memel je przedstawił. A jednak historia ta również go wzruszyła. Czyż przecie w postępku tym nie można było dopatrzeć się jakiejś sprawiedliwości? Nie powinno więc dziwić, że wyobraźnia Lucy'ego jęła od razu wszystko przetwarzać: to Adolfus stał na skraju Bardzo Wielkiej Dziury, a on sam podkradał się do niego chyłkiem. Zastanawiał się, czy byłby rzeczywiście zdolny do takiego czynu, lecz w sercu czuł wątpliwość.

– To musiało być bardzo trudne – powiedział do Memela.

Ów potrząsnął głową.

– Pchnąłem go. I tyle. Nawet nie pisnął. Pomyślałbyś, że będzie się darł w niebogłosy, a tu nic.

– Pewnie był zbyt zaskoczony.

– Bo też trudno nie być zaskoczonym, prawda? Nagle lecisz gdzieś na łeb, na szyję. – Memel zamilkł na chwilę, rozważając sens własnych słów. – Cóż, Lucy, nie mogę powiedzieć, bym tego żałował. Biada tym, co igrają z Erosem. Zgodzisz się?

– Coś w tym jest.

– Skoro Amor uzbrojony, to i my winniśmy zadbać o broń, prawda?

– Prawda.

Memel spochmurniał.

– Tęsknię za Tomaszem. I za Alidą też. Szczerze mówiąc, nigdy nie zdołałem się pogodzić z tym, że już ich nie zobaczę.

Lucy spytał z niejaką trwogą:

– A jak umarła Alida?

– W połogu, dziewięć miesięcy po śmierci Tomasa. – Memel zerknął na Lucy'ego filuternie, jak gdyby rzucając mu wyzwanie, by ten pytał dalej.

– Dziewięć miesięcy – powiedział Lucy.

Memel skinął głową.

– Czy mam rozumieć, że Klara to jego córka?

– Masz rozumieć, że Mewe to jego syn.

Tego nowego faktu Lucy nie umiał przyswoić, albowiem miał rozwiewać wątpliwości, rodził on ich jeszcze więcej.

– Czy Mewe wie o tym?

– Nie.

– Nigdy nie spytał o swoje pochodzenie?

– Nigdy nie spytał mnie.

– To kiedy ma pan zamiar mu powiedzieć?

– W ogóle nie mam takiego zamiaru.

– Ale dlaczego mu pan nie powie?

– A dlaczego miałbym mu mówić? To cenniejsze pytanie.

Lucy pomyślał chwilę, ale nie umiał znaleźć kontrargumentu. Spytał:

– A po co mi pan opowiedział tę historię z Tomaszem?

Memel uniósł dłonie, ale nie odpowiedział, temat najwyraźniej uznając za zamknięty. Gdy przechadzka dobiegła końca, życzył Lucy'emu i Rozie miłego wieczoru, a następnie rozchwianym, niepewnym krokiem udał się w stronę wioski.

Tej nocy Lucy leżał w łóżku z nadzieją, że uda mu się zasnąć, lecz sen, choć wabiony na różne sposoby, nie nadchodził. Wreszcie Lucy usiadł w pościeli i oświadczył:

– No to będę musiał go po prostu zabić, i basta. – Po czym znów opadł na poduszkę i jął snuć konkretne plany.

ADOLFUS STAŁ NA SKRAJU Bardzo Wielkiej Dziury i zaglądał do niej, pogwizdując piskliwie. Lucy siedział w kucki kilka kroków za nim. Przez całą noc nie zasnął nawet na chwilę, więc w czasie czuł uporczywy, ćmiący ból. Ugniatając skronie opuszkami palców, poprosił Adolfusa, by ten przestał gwizdać, co ów zresztą uczynił. „Tylko że teraz zaczniesz splotać” – pomyślał Lucy i jak się za chwilę okazało, miał słusność. Żołnierz z zaciekawieniem śledził trajektorię swych płwocin.

– No, chłopcze, gdzie ta Klara? – spytał.

– Zaraz przyjdzie. – W głosie Lucy’ego musiał Adolfus wyczuć jakiś odcień niepokoju bądź wątpliwości, gdyż odwrócił się i przyjrzał mu się z ukosa. Lucy miał oczy podkrążone na szaroniebiesko, oddychał zaś płytko i nerwowo.

Adolfus oznajmił:

– Wiem, co się między wami działo podczas mojej nieobecności.

Lucy nic nie odpowiedział. Chwilę wcześniej dobył z kieszeni fajkę i teraz stukał jej główką o kamień.

– Chcę, byś wiedział, że nie mam do ciebie pretensji. Nasze pragnienia wymykają się spod kontroli i nic się na to nie poradzi. W każdym razie trudno mi cię obwiniać. Już bardziej dziwi mnie zachowanie Klary, ale ona nigdy nie robi tego, czego się człowiek po niej spodziewa. – Znów splunął, po czym spytał: – A z tobą co? Chory jesteś?

– Nic.

– Co?

– Nie jestem chory.

Adolfus przestąpił z nogi na nogę.

– Ale czemu poprosiła ciebie, żebyś mnie tu przyprowadził? I dlaczego chciała się spotkać akurat tutaj? Nie widzę w tym ani krzty sensu.

– Przepraszam.

– Za co?

Lucy patrzył niemo. W jego głowie nie było żadnych słów, jedynie pewien wektor, a może instynkt. Adolfus prychnął i znów utkwiał wzrok w rozpadlinie.

– Wcale mi się tutaj nie podoba – przyznał.

„Jak jeszcze raz splunie, to wtedy” – pomyślał Lucy. Adolfus splunął; Lucy odłożył fajkę na ziemię i wstał.

– Przepraszam – powtórzył. Wziął głęboki oddech i rozpostarłszy szeroko ramiona, rzucił się na Adolfa. Tamtego jednak już wcześniej zaniepokoił osobliwy błysk w oczach chłopaka, więc spodziewał się jakiegoś nieczystego zagrania. Adolfus odwrócił się przeto w porę i uskoczył na bok, a Lucy przebiegł mimo i momentalnie przepadł w Bardzo Wielkiej Dziurze, głową w dół, całkiem udatnie.

Adolfus czas jakiś wpatrywał się w rozpadlinę, po czym potrząsnął głową i poszedł. Wydało mu się dziwne, że Lucy, spadając w przepaść, nie wydał z siebie najmniejszego dźwięku. W każdym razie Adolfus rad był, że nie musi już zawracać sobie głowy chłopakiem i że skończy się wreszcie ten cały ambaras z Klarą. Zaledwie zeszłej nocy przyznała mu się, iż kocha tego chłystka bardziej niż jego, Adolfa, choć prawdę mówiąc, nie mieściło się to przecież w głowie. Być może boczyła się dla zasady; pewnie miała to po ojcu. Teraz wszakże znów będzie kontenta, Adolfusowi zaś wreszcie dane będzie skupić się na wojnie terytorialnej, która nurtowała go nade wszystko, dając mu też najwięcej szczęścia.

LUCY, SPADAJĄC W PRZEPAŚĆ, nie wydał z siebie najmniejszego dźwięku.

Zaledwie chwilę wcześniej jego serce biło tak gwałtownie, jakby miało zaraz pęknąć; teraz zdawało się nie bić wcale. Koziółkując w powietrzu, z każdym obrotem widział najpierw jaśniejące nad nim niebo, a za chwilę całkowity mrok tego, co pod nim. Gdy tak spadał i spadał, światło stawało się coraz bledsze i robiło się mroźniej. Na samiutkim dnie Bardzo Wielkiej Dziury czekało go jednak spore zaskoczenie: pieniała się tam mianowicie woda, w którą Lucy wpadł z taką siłą, że aż stracił przytomność. Po dłuższej chwili jego ciało wynurzyło się z głębin i, niesione leniwym prądem, popłynęło w dół rzeki.

– Masz go? – spytał w mroku jakiś zdyszany głos.

– Mam go – odpowiedział mu inny i wokół kończyn Lucy’ego zacisnęła się para rąk.

W OSZOŁOMIENIU SWYM LUCY zrazu nie pojmował, co się wokół niego dzieje, ponieważ wzrok nie zdążył jeszcze przywyknąć do otaczających go ciemności; lecz kiedy oswoił się już nieco z sytuacją, doszedł do wniosku, iż wyłowiono go z wody, a następnie ułożono na wznak na jakiejś piaszczystej skarpie. Krzątało się przy nim dwóch mężczyzn, z których jeden był młody, a drugi stary. Ich wygląd wskazywał na to, iż od dłuższego czasu nie mieli styczności z cywilizacją: ubrani byli w łachmany, ich włosy, polepione w strąki, sterczały w nieładzie na wszystkie strony, a bujne brody zupełnie nie licowały z panującą modą. Mimo takiej aparycji wydawali się w pełni władz umysłowych, jak również dobrego zdrowia, a nawet w niezłym nastroju, toteż Lucy nie opierał się ich działaniom.

Młodszy trzymał głowę Lucy'ego i odchyłał raz w tę, raz w tamą.

– Nie widzę, skąd to leci – stwierdził. – A Ty?

Z mroku wychynęła twarz starszego mężczyzny. Ten, mrużąc oczy, odpowiedział:

– Nie, ja też nie wiem. Może napełnię kozaczek, żeby obmyć mu twarz?

– Dobrze, zrób tak.

Starszy oddalił się, a młodszy kontynuował inspekcję głowy Lucy'ego. Gdy ich oczy się spotkały, Lucy rzekł:

– Dzień dobry.

– No, dzień dobry panu! Jak się pan czuje?

Lucy wstrząsnął ramionami. Oblizał usta, a wyczuwając smak krwi, skrzywił się.

– Zrobił pan sobie krzywdę – powiedział młodzieniec, kiwając głową. – Chociaż za diabła nie umiem znaleźć źródła krwotoku. Jest to bez wątpienia niepokojące; ale przyzna pan chyba, że lepiej tak, niż gdyby rana była widoczna od razu.

– Przyznam.

– Wolno spytać, z kim mam przyjemność?

– Mam na imię Lucy.

– A zatem, Lucy, noga ci się powinęła. To tak na wypadek, gdybyś się jeszcze nie zorientował. Ale bez paniki; obmyjemy cię w trymiga, a potem zjesz z nami kawałek rybki. Co ty na to? – Ponieważ Lucy nie zareagował, tamten upewnił się: – Mam nadzieję, że lubisz rybę? – Z jego tonu wynikało, że kwestia ta jest dość istotna.

– Lubię – odparł Lucy.

Odpowiedź wyraźnie uspokoiła młodzieńca.

– Świetnie – powiedział. – To się świetnie składa.

Tymczasem wrócił starszy mężczyzna, trzymając w garści damski kozaczek, w którym chlupotała woda z rzeki. Klękawszy, przechylił but i oblał zawartością twarz Lucy’ego, zmywając z niej krew. Teraz obaj mężczyźni przyglądali się jego obliczu z nieskrywanym zaciekawieniem.

– Toż to chłopak zaledwie – zauważył starszy. Młodszy zaś tuż pod linią włosów Lucy’ego odnalazł ranę w kształcie rombu i poprosił pacjenta, by przycisnął ją palcem i zatamował krwotok. Lucy wykonał polecenie i nie protestował w ogóle, gdy tamci podciągnęli go nieco, usadzili i podparli z tyłu. Z tej perspektywy przyglądał się teraz swemu otoczeniu.

Była to obszerna jaskinia, przypominająca rozmiarami i kształtem wnętrze okazałego kościoła. Z wysoko sklepionej groty w północnej ścianie wybijała średnich rozmiarów rzeka, okrążając następnie piaszczystą wysepkę, na której siedzieli, i znikając gdzieś w ścianie zwróconej ku południu. Z góry docierał tu słup światła słonecznego i niczym reflektor oświetlał okrągłą połąć rzeki nieopodal. Przyglądając się w roztargnieniu tej plamie światła, w samym jego środku Lucy zobaczył nagle wynurzającą się rybę. Gdy tak obserwował kręgi, rozchodzące się równomiernie po tafli wody, zaświtała mu pewna myśl. Zwracając się do starszego mężczyzny, powiedział:

– Pan jest Tomas, ten karciarz. I wcale pan nie umarł. – Młodszemu zaś oznajmił: – A pan nazywa się Broom. Mam nadzieję, że nie poczyta mi pan tego za nietakt, ale pożyczyłem sobie pana lunetę.

Po tych słowach obu panom na czas jakiś odjęło mowę, ich miny zaś zdradzały niepokój i zdumienie. Wreszcie młodszy zwrócił się do swego sędziwego towarzysza tymi słowy:

– No, ciekaw jestem, co na to powiesz. Na tę zesłaną z niebios zagadkę.

– Przyznam, że się zaciekawił.

– To całkiem naturalne. Ja oczywiście odczuwam to samo. Czy jednak powinniśmy tak z miejsca zarzucać go pytaniami? Czy też raczej powstrzymać się i wprawdzie zadbać o jego dobre samopoczucie?

Starszy mężczyzna przygryzł w zamyśleniu kciuk.

– Bóg mi świadkiem, że najchętniej bym go zarzucił... – odparł – ale nie. Musimy oprzeć się tej pokusie.

– Zgoda.

– Jest naszym gościem, a więc przede wszystkim musi się pokrzepić.

– Tak jest, brawo. – Młodzieniec położył Lucy’emu dłoń na ramieniu. – Zwłaszcza że chłopak zdaje się gustować w rybach.

Na to obaj wybuchnęli gwałtownym śmiechem, który rozbrzmiewając w tej rozległej pieczarze, zwielokrotnił się jeszcze, a jego dudnienie, jednocześnie niewyraźne i dobitne, przypominało grzmot burzy. Lucy’emu zdało się, że napad śmiechu trwa dłużej, niż jest to przyjęte, toteż wcale nie miał pewności co do tego, jak winien odbierać swoje obecne położenie. Przemyślawszy sprawę, uznał, że należy odczuwać strach. Natychmiast więc go poczuł.

XI

PAN BROOM I KARCIARZ TOMAS

PODANO KOLACJĘ. ZGODNIE z obietnicą była to ryba, choć wcale nie w kawałkach, jak zapowiedział pan Broom, tylko w całości, to jest po jednej na głowę; nadmienić przy tym należy, iż była to ryba nieobrana i nieugotowana, ponieważ ani ognia, ani ostrza nie można było w Bardzo Wielkiej Dziurze uświadczyc. Żywe ryby wyławiano prosto z wody; pan Broom i Tomas korzystali z kamiennych zagród, zbudowanych własnoręcznie wzdłuż koryta rzeki, opodal głównego nurtu. Nieświadome niczego ryby zapędzały się między ścianki z kamieni, a zauważywszy, że dalej popłynąć się nie da, zawracały; tymczasem odwrotu już nie było, gdyż któryś z panów zdążył zastawić wlot. Ryby znajdowały się więc w potrzasku. W swej więziennej celi nudziły się śmiertelnie, aż wreszcie wyciągano je stamtąd, dawano po łbie i spożywano. Metoda ta wydała się Lucy'emu bardzo sprytna, co jednak ani na jotę nie zmniejszyło obrzydzenia, jakie odczuwał na myśl o posiłku. Zerkał na trzymaną w garści rybę, zwisającą wiotko na boki, a jego mina zdradzała niemałe rozczarowanie.

– No to do dzieła, panowie – powiedział Tomas, po czym obaj z Broomeem wgrzyźli się w lepkie bebechy swoich ryb, ze zwierzęcym zapamiętaniem odrywając całe kawały mięsa. Niebawem ich brody lśniły od krwi i łusek, który to widok już doszczętnie pozbawił Lucy'ego apetytu. Odkładając rybę na ziemię, Lucy postanowił, iż jej nie skosztuje; przynajmniej na razie, zdawał sobie bowiem sprawę, że nie przetrwa tu długo, o ile nie pójdzie za przykładem pozostałych. Ewentualność ta napawała go jednak wstrętem. Mężczyźni siedzieli teraz w kręgu, którego środek wyznaczał damski kozaczek, służący po ponownym napełnieniu wodą jako wspólne naczynie. Lucy pociągnął z niego łyk, by spłukać samą myśl o smaku, który go czekał.

Po skończonym posiłku nadszedł czas na pytania. Gdy już ustalono, w jaki sposób Lucy odgadł tożsamość Tomasa i pana Brooma, obaj panowie, uradowani towarzystwem i odmianą, domagali się, by opowiadał o najdrobniejszych szczegółach swego żywota, począwszy od czasu narodzin, a na chwili terażniejszej skończywszy. Lucy z chęcią spełnił to życzenie, skądinąd nie mijając się zasadniczo z prawdą. Rozprawiał na przykład o melancholii swego dzieciństwa, i to ze szczerością, która zaskoczyła nawet jego samego. Gdy wspominał decyzję, by opuścić Bury i pożegnać wszystko, co swojskie, nie przeinaczył ani jednego faktu. Kiedy jednak przyszło mu wytłumaczyć, jak znalazł się na dnie Bardzo Wielkiej Dziury, prawda okazała się nie dość zadowalająca. Czyż bowiem ów kojący nastrój nie przysłby w jednej chwili, gdyby Lucy był zmuszony przyznać, że dybał na życie ludzkie, do tego kalkulując na chłodno i tchórzac zarazem? Lucy przyjął więc pozę człowieka złamanego ciężarem niebywałych trosk. Przemawiał teraz ostrożnym, łamiącym się głosem:

– Nie jestem dumny z mojego czynu – powiedział.

– Powolutku – uspokoił go pan Broom.

– Ależ jak najbardziej, nie spiesz się – wtórował mu Tomasz.

Lucy skinął głową na znak wdzięczności.

– Tak. Hm. Skoro naprawdę chcecie wiedzieć, tak się składa, że osobiście rzuciłem się w przepaść.

– To znaczy celowo? – upewnił się Tomasz.

– Tak jest – odparł Lucy.

– Ale co cię pchnęło do takiego kroku? – chciał wiedzieć pan Broom.

– Byłem przygnębiony.

– Tak, to dość jasne – powiedział Tomasz. – Ale co wprawiło cię w takie przygnębienie?

– Bardzo wiele rzeczy.

– Na przykład?

– Ogólne okoliczności mej egzystencji na tym świecie.

– Czyli życie, tak w ogóle? – spytał pan Broom.

– Tak.

– To znaczy wszystko, w całej rozciągłości? – upewnił się Tomasz.

– Właśnie.

– Znikąd pociechy? – dorzucił pan Broom.

– Ja w każdym razie, mimo najszczerzych wysiłków, nie umiałem jej znaleźć.

– Aż tak źle, co? – spytał Tomas.

– Niestety.

Pan Broom i Tomas pokiwali współczująco głowami. Po chwili temu drugiemu coś zaświtało i twarz mu się rozchmurzyła.

– Ale może teraz twój los się odmieni. Zastanawiałeś się nad tym?

– Właściwie to nie – odparł Lucy.

– To może być dla ciebie nowe otwarcie.

– Jest to jakaś myśl.

– Taka chwila, w której wszystko zaczyna się od nowa. – Tomas szturchnął pana Brooma. – Od dzisiaj: nowy początek!

– Tak – powiedział pan Broom. – To mi się podoba.

– Czyż nie tak było z nami, przyjacielu?

– Było właśnie tak, i tak właśnie było.

Przez jakiś czas duet brodaczy milczał, oddając się trawieniu. Tomas dłubał w zębach ością, a pan Broom chwycił palcami koniuszek języka – zrobił to raz, drugi i trzeci; zeskubał zeń drobinę mięsa i począł ją gruntownie studiować. Lucy przyglądał się swym towarzyszom i dreszcz go przeszedł na myśl, że miałyby wkrótce stać się częścią tej społeczności. W smak mu to nie było ani trochę, toteż czuł się w obowiązku spytać o widoki na wydostanie się z opresji. Obaj panowie skinęli głowami, niejako wyprzedzając jego zamiary; Tomas, uniósłszy po nauczycielsku palec, stwierdził:

– Widoków nie ma żadnych.

– Jakies przecież muszą być – odparł Lucy, rozglądając się po pieczarze, jak gdyby rozwiązanie znajdowało się w zasięgu wzroku.

– Po ścianach nie da się wspiąć – oznajmił pan Broom.

– No to zostaje rzeka.

Tomas potrząsnął głową.

– W dół rzeki pójść nie można, co od razu widać, bo woda znika tam w litej niemal skale. Jediną opcją jest zatem wyprawa w górę rzeki, ale stwierdzić muszę, bez cienia wątpliwości ani też wstydu, że i tu nic się nie wskóra.

– A więc próbowaliście?

– Ależ jasne, że próbowaliśmy. Będąc tu w pojedynkę, podejmowałem takie wysiłki więcej razy, niż chciałbym pamiętać, aż wreszcie porzuciłem na dobre myśl o ocaleniu. Później, gdy zjawił się pan Broom i zaraził mnie swym młodzieńczym entuzjazmem, próbowałem jeszcze parę razy u jego boku, ale za każdym razem kończyło się to całkowitą porażką. Spodziewam się, że będziesz chciał sam się przekonać, i masz do tego pełne prawo, ale ja się na to nie piszę, a i pan Broom, jak podejrzewam, nie pali się do takich eskapad. Nieprawdaż?

Pan Broom pokiwał stanowczo głową.

Tomas wskazał ścianę, z której wypływała rzeka.

– Wchodzi się do tamtej groty – powiedział – i po jakichś stu metrach droga się rozwidla. Można pójść w lewo albo w prawo, ale nie ma to żadnego znaczenia, ponieważ tak czy inaczej dotrze się wkrótce do następnego rozwidlenia, a potem jeszcze następnego i tak dalej, bez końca, lub pozornie bez końca, w zupełnych ciemnościach. Pod prąd idzie się powoli, grunt pod nogami jest śliski i zdradziecki, no i, jak można się domyślić, temperatura wody nie sprzyja takim przechadzkom. – W tym miejscu Tomas zrobił pauzę; wyraźnie coś sobie przypomniał. – Nasza ostatnia wyprawa okazała się kompletną katastrofą. Po paru dniach skręciłem kostkę i pan Broom musiał nieść mnie na plecach. Majaki z głodu, mróz do szpiku kości... nie przesadzę, jeśli powiem, żeśmy już wówczas porzucili wszelkie widoki na ocalenie. Wreszcie poddaliśmy się po prostu prądowi rzeki, a on poniósł nas z powrotem w mrok. Nadzieję mieliśmy już tylko na to, by łepetyny nie roztrzaskać o niewidoczne głązy. W połowie drogi pan Broom złamał rękę. – Tomas zwrócił się ku panu Broomowi, który podkasał rękaw, odsłaniając nadgarstek wykrzywiony pod groteskowym kątem. – Wyobraź to sobie, chłopcze – ciągnął Tomas. – Niesie cię prąd rzeki, wokół wszystko czarne jak smoła, bez ustanku

drżysz, że czaszkę rozbijesz o skały, a nad szum lodowatej wody wybijają się tylko wrzaski pana Brooma, niesione echem pod skalne sklepienie. – Zrobił kwaśną minę i potrząsnął głową. – Mówię ci, tam biesy harcują, a jeśli nie dowierzasz, to sprawdź na własną rękę, droga wolna.

Lucy spoglądał na rzekę, głowiąc się nad zawłościami losu, który rzucił go w to miejsce. Cóż mogłoby go tutaj czekać? I co dalej z życiem, które zostawił tam, na górze? Zastanawiał się, jak też Adolfus wytłumaczył Klarze jego zniknięcie. Zapewne powiedział prawdę, a ona go teraz oplakuje. Już sama myśl o tym, że mogłaby cierpieć, jemu samemu przysparzała cierpień, a co dopiero wizja Adolfusa w charakterze pocieszyciela!

– Trzeba spróbować raz jeszcze – orzekł Lucy.

– Czyżby? – zdziwił się Tomas.

– Oczywiście, że tak. My tu inaczej wszyscy pomrzemy.

Odpowiedź Tomasa była łagodna, przesycona spokojną mądrością:

– Otóż, Lucy, my to widzimy inaczej.

– A jak to widzicie?

– Wszyscy tu przeżyjemy.

SPALI WTULENI W SIEBIE, by nie zmarznąć, a rano przywitał ich perspektywą kolejnego posiłku, identycznego w każdym calu z tym, pod którego znakiem minął uprzedni wieczór. Po przebudzeniu Lucy był bardzo głodny, lecz wciąż nie potrafił zmusić się do tego, by wziąć do ust surową rybę. Jego towarzysze nie odezwali się ani słowem, gdyż obaj swego czasu przechodzili tę samą gehennę, wiedzieli więc, że gdy Lucy będzie gotowy, zacznie jeść sam z siebie. Przy śniadaniu Lucy zauważył, że pan Broom przygląda mu się z osobliwą, zgnębiającą miną; jakiś czas później znów odnotował to samo. Ponieważ trwało to już jakiś czas, Lucy spytał wreszcie, czy coś się stało. Pan Broom odrzekł:

– Ciekawym jedynie, czy wiesz, że obaj trafiliśmy tu w podobnych okolicznościach.

– Wiem – odpowiedział Lucy.

– A jakimż to sposobem, jeśli łaska?

– Napomknął mi o tym pan Olderglough, jak również baronowa.

Na wieść o powrocie baronowej pan Broom prędko odwrócił wzrok. Dłuższą chwilę milczał, po czym spytał:

– Kiedy wróciła?

– Parę tygodni temu.

– I jak oceniłbyś jej stan?

– Wydawało mi się, że powrót przyniósł jej ulgę. Przynajmniej z początku można było odnieść takie wrażenie.

– Chcesz powiedzieć, że od tamtej pory coś się zmieniło?

– Istotnie, zaszły pewne zmiany.

– Jakiej natury?

Lucy nie umiał dobrać odpowiednich słów.

– Moim zdaniem jest cośkolwiek słabowita.

– Chora?

– Nie w sensie cielesnym.

– W jakim więc sensie?

Lucy odparł:

– W jej działaniach daje się zaobserwować narastający niedostatek rozsądku.

– Co też przez to rozumiesz?

– Obraca się w podejrzanych kręgach i oddaje nienaturalnym praktykom towarzyskim.

– Mówże po ludzku!

– Nie śmiem.

– Powiedz mi wszystko, co wiesz.

– Nie uczynię tego. Powiem tylko, iż moim zdaniem w zamku panoszy się jakaś niezdrowość.

– Co to znaczy „niezdrowość”?

– Wszechobecna nieprzyjemność.

– Ale co jest takie nieprzyjemne?

– Nie potrafię tego ująć w słowa. Przypuszczam jedynie, że z czasem dotyka to wszystkich mieszkańców zamku. Pan w żadnym momencie swej bytności nie odczuwał zagrożenia?

– Nie.

– Nie czuł pan, że tkwi w szponach czegoś potężniejszego od siebie?

– Nie.

– A jednak puścił się pan w pogoń za śmiercią i w rezultacie trafił aż na dno Bardzo Wielkiej Dziury, gdzie obecnie chodzi pan w łachmanach, zajada się bebechami surowych ryb i jeszcze nazywa to kolacją. A nawet śniadaniem.

Pan Broom nie mógł nie zgodzić się z tezą, jakoby uległ pewnemu wynaturzeniu.

– Ale – zaznaczył – to mogło mi się przytrafić bez związku z miejscem, w którym się znajdowałem. Albowiem to miłość tu zawiniła, ta zaś kwitnie, gdzie jej się podoba. – Wskazał dłonią. – Weź na ten przykład naszego przyjaciela Tomasa. Jest w takiej samej sytuacji jak ja, a przecież nigdy nie był w zamku.

Choć była to prawda, Lucy nie potrafił wyzbyć się natrętnej myśli, że nad zamczyskiem ciąży jakaś straszliwa klątwa. Nawiedziło go wspomnienie: baron, cały nagi, umazany krwią martwego gryzonia. Lucy aż się wzdrygnął. Pan Broom, jak gdyby czytając w jego myślach, spytał:

– A baron? Czy miewa się równie źle co małżonka?

Lucy odparł:

– Podobnie jak ją, cechuje go pewna schyłkowość. Śmiem twierdzić, że skutki tej tendencji będą opłakane.

– A jaki jest obecny charakter ich związku?

– Co ma pan na myśli?

– Czy jest to małżeństwo funkcjonalne?

– Co ma pan na myśli?

– Być może wiesz już, co mam na myśli.

– Być może.

– No i?

– Tak.

– Skąd ta pewność?

– Sam byłem tego świadkiem.

– Ach tak. Panowie wybaczą. – Pan Broom podniósł się ze swojego miejsca i zanurzył się w wodzie, po czym odpłynął od wyspy, znikając gdzieś w rozległym mroku pieczary. Tomas spojrzał na Lucy'ego z pewnym wyrzutem.

– Co niby miałem zrobić? – zdziwił się Lucy.

– Skłamać – odparł krótko Tomas, a Lucy trzepnął się w kolano, ponieważ w tym akurat przypadku takie rozwiązanie nie przyszło mu do głowy.

OBAJ ZAMILKLI I CZAS począł się Lucy'emu straszliwie dłużyć. Że też nie dało się posiedzieć przy ogniu! Wówczas mógłby wpatrywać się weń rzewnie i dumać nad mrocznymi zagadkami życia; lub też, gdyby dopadło go zmęczenie, pogrążyć się w drzemce i śnić o Klarze, stąpającej przez bezkresne pola falujących traw. Tu zaś można było tylko rozmawiać, i to tylko z Tomaszem; Lucy czuł wszelako, że tematy się wyczerpały i że na dobrą sprawę został im jeden. Chcąc na powrót zadzierzgnąć rozmowę, zdecydował się ów temat poruszyć.

– Memel mówił mi, że byliście panowie dość blisko ze sobą.

Czy Tomasz spodziewał się tych słów? Nie wyglądał na zaskoczonego, a w jego głosie nie było słycać wrogości.

– Tak było w istocie – odparł. – Czy słusznie zakładam, że Memel wyjaśnił ci, jak się tutaj znalazłem?

– Słusznie pan zakłada.

– Więc sądzi, że ja nie żyję?

– Tak.

– A czy może mi przebaczył?

– Tej akurat kwestii nie poruszył. Chyba uważa, że jego czyn był uzasadniony. Skruchy w każdym razie nie wyraził. Mimo to wspomina pana czule.

Na te słowa Tomasz wzdrygnął się, jakby nie całkiem dowierzał Lucy'emu. Potem spytał niby od niechcienia:

– A jak się miewa Alida?

Lucy o dziwo nie przewidział tego pytania i teraz żałował wzmianki o Memelu. Zauważywszy to, jego rozmówca spytał:

– Mam nadzieję, że nic jej się nie stało?

Lucy odpowiedział:

– Prawda jest taka, proszę pana, że ona umarła.

Twarz Tomasa zastygła w grymasie niedowierzania.

– Umarła.

– Tak. Bardzo mi przykro, że musiałem o tym donieść.

– Umarła – powtórzył Tomas. – Ale jak?

– W połogu.

Tomas wpatrywał się w twarz Lucy’ego, ale zdawał się zupełnie jej nie widzieć.

– Jak dawno? – spytał.

– Kilka miesięcy po tym, jak pan przepadł.

– Ile miesięcy?

– Dziewięć.

W tym momencie Tomas wykonał nieoczekiwany gest: gwałtownie przesunął dłonią po twarzy, jak gdyby zasnuwając nad swą fizjonomią welon lub też chwytając jakieś straszliwe słowo, nim wymsknie mu się z ust. Lucy zrozumiał, że ma przed sobą człowieka, któremu właśnie pękło serce.

– Czy dziecko też zmarło? – spytał Tomas.

– Dziecko żyje – odpowiedział Lucy. – To chłopak, ma na imię Mewe. Mieszka obok Memela i Klary.

Przez jakiś czas słychać było jedynie szum rzeki; Lucy’emu zdało się nawet, że dźwięk ten narasta. Tomas jął drążyć w piasku niewielki dołek.

– Opowiesz mi o nim? – poprosił. – Czym się zajmuje? Może też jest karciarzem, co?

– Nie. Razem z Memelem pracuje w pociągach.

– Czyli jest złodziejem.

– Tak.

– A ma do tego przynajmniej smykałkę?

– Jeszcze jaką!

Tomas zakopał dołek i wygładził z wierzchu.

– Przez tyle dni nie działo się kompletnie nic – powiedział. – A teraz coś takiego.

– Chłopak jest szczęśliwy, proszę pana. I ludzie go lubią.

Tomas skinął głową.

– A jak miewa się Klara? – spytał. – Dziś to już pewnie pannica.

– Pannica, i owszem – przytaknął Lucy. W jego głosie musiało pobrzmiwać jakieś ewidentne cierpienie, gdyż Tomas przyglądał mu się teraz tak, jakby go przejrzał na wylot.

– Czyżby Klara miała coś wspólnego z twoją obecną sytuacją?

Lucy odparł:

– Nie bezpośrednio, ale owszem.

Tomas buchnął pogardliwym śmiechem.

– No pięknie! Wyborna gromadka, nieprawdaż? Ty, ja i pan Broom?

– W istocie.

– Ktoś nas ładnie wykołował, co?

– Chyba tak.

– Jak widać, Amor jest uzbrojony po zęby.

– A więc i my winniśmy zadbać o broń – dopowiedział Lucy i naraz uśmiechnęli się do siebie, smakując pospołu tę chwilę ukontentowania. Nie trwała jednak długo, gdyż przerwał ją powrót pana Brooma. Ów, wspiąwszy się z wysiłkiem po piaszczystej skarpie, oświadczył:

– Jutro rano całą trójką, jak tu jesteśmy, ruszemy w drogę i albo wydostaniemy się na powierzchnię i odzyskamy nasze życie tam, na górze, albo sczeźniemy od tych wysiłków. – Następnie, jakby wyczerpany tą przemową, padł na kolana i wyszeptał: – W sumie całkiem niewykluczone, że sczeźniemy. – Przyglądał się teraz swym dłoniom, zastanawiając się być może, czy podołają wyzwaniu.

Lucy i Tomas spojrzeli po sobie, unosząc wysoko brwi.

– No proszę – powiedział ten drugi – nasz kolega się cośkolwiek ożywił po kąpieli.

ZE WZGLĘDU NA niebezpieczeństwo, jakie niosła ze sobą nieuchronnie jakakolwiek próba ucieczki, jak również z racji swego wieku i ogólnego zniedołężnienia Tomas nie był zrazu entuzjastycznie nastawiony do całego pomysłu. Po południu zaczął się dąsać i wyglądało na to, że szykuje się rozłam w szeregach, lecz nim nadszedł wieczór, Tomas odnalazł w sobie głębsze pokłady animuszu i oświadczył, być może głośniej, niż było to konieczne, że przyłączy się do wyprawy.

Na pewno nie bez znaczenia była tu wieść o istnieniu Mewe'a; podobnie nowina o powrocie baronowej na zamek natchnęła pana Brooma do tego, by snuć plany ucieczki. Jeśli chodzi o Lucy'ego, ów przemyśliwał o opuszczeniu pieczary, zanim jeszcze pan Broom unaoczniał mu taką możliwość; gdyby było trzeba, spróbowałby i na własną rękę, gdyż jego myśli krążyły wokół Klary, a chęć odzyskania jej przyćmiewała wszystkie inne troski. Co zaś się tyczy przygotowań, nie poczyniono żadnych: panowie omawiali jedynie ze szczegółami sposób na wydostanie się, czy też ucieczkę z Bardzo Wielkiej Dziury. Dyskusja trwała długo, a jej wynikiem była sprzeczka, choć na szczęście nie rozbrat.

Pan Broom był za tym, by działać. Chciał kierować wyprawą, albowiem spośród całej trójki odznaczał się, jak sam stwierdził, największą krzepą, czemu Tomas z Lucym nie mogli zaprzeczyć, choć obaj zachodzili w głowę, komu prócz samego pana Brooma może się przydać jego krzepa. Poza sprawnością fizyczną (stwierdził pan Broom, dość skromnie, właściwie nawet nieśmiało) jego atutem jest również dar jasnowidzenia. Ów dar często daje o sobie znać, toteż pan Broom ma podstawy sądzić, iż jeśli dostatecznie się skupi i w pełni wykorzysta swą moc, to będzie w stanie poprowadzić całą grupę ku wolności.

Tomas siedział przez chwilę bez ruchu, mrugając.

– No toś mnie teraz, przyjacielu, zaskoczył.

– Nie jest to wszak coś, czym człowiek się przechwala bez powodu.

– Ach tak? Omawialiśmy tu już naprawdę najrozmaitsze rzeczy. Doszliśmy nawet do ulubionych liczebników. – Tomas zamknął oczy. – No to powiedz: o czym teraz myślę?

Pan Broom potrząsnął głową.

– To tak nie działa.

Tomas schował dłoń za plecami.

– Ile palców?

– Kiedy mówię, że to tak nie działa!

– No to jak to działa?

– Mam przeczucie, że będę umiał nas stąd wyprowadzić – odparł pan Broom.

– A jednak sztuka ta nie udała ci się podczas żadnej z poprzednich wypraw. Dlaczego? Rozumiem, że li tylko przez skromność.

Pan Broom poczerwieniał.

– No to może sam masz lepszy plan.

– Może i mam.

– No to masz czy nie masz?

Tomas wyprostował się.

– Jeśli ktoś ma kierować naszą wyprawą – oświadczył – to tym kimś powinienem być ja.

– Ciekawostka – odparł pan Broom. – A czemu? Proszę, oświeć mnie.

– Ponieważ jestem najstarszy i za moją kandydaturą przemawia mądrość wieku.

– Mądrość wieku? – powtórzył pan Broom, wyraźnie rozbawiony.

– To właśnie powiedziałem – odparł surowo Tomas.

– A czy jedno zawsze towarzyszy drugiemu?

– Uważam, że tak, przynajmniej jeśli o mnie chodzi. Ponadto, i jest to sprawa bezsprzeczna, odbyłem znacznie więcej wypraw w górę rzeki niż ty, toteż lepiej znam te tereny.

– Można tak to ująć. Ale można też ująć to inaczej, a mianowicie tak, że lepiej znasz smak porażki, którą za każdym razem na tych terenach ponosiłeś.

Tomas wycelował palec w Brooma.

– Widziałem tysiące zachodów słońca, zanim ty wziąłeś pierwszy oddech.

– No i?

– Obcowałem z kobietami, jak ty jeszcze robiłeś w majtki.

– No i?

– Gardło człowiekowi poderznąłem, kiedy ty jeszcze nie umiałeś wydoić krowy.

– Ja dalej nie umiem wydoić krowy. A i tak uważam, że twój plan jest głupi.

– Nie jest głupszy od twojego.

– Zgoda, ale mój plan jest mój, więc podoba mi się bardziej.

– I z tych samych, równie oczywistych powodów mnie bardziej podoba się mój.

Osiągnąwszy w ten sposób sytuację patową, Tomas i pan Broom wciągnęli w swą kłótnię Lucy'ego, zachęcając, by opowiedział się po którejś stronie. Ponieważ oba plany wydawały się Lucy'emu równie felerne, przyznał on, że nie ma w tej materii żadnych preferencji, czym skutecznie uraził obu towarzyszy. Ci jęli go tedy do spółki besztać; biedzą się tu nad rozwiązaniami, a on siedzi bezczynnie, bąki zbija i niczego nie wnosi.

Jednym słowem, doszło do niesnasek, a rezon topniał z minuty na minutę. Wreszcie Lucy wymyślił swój własny plan i szczęśliwie okazało się, że cała trójka jest gotowa nań przystać.

Sposób na wydostanie się, czy też ucieczkę z Bardzo Wielkiej Dziury

LUCY POŚCIĘ JUŻ WÓWCZAS całe trzy dni. Tomas i pan Broom byli zaniepokojeni tym faktem, ponieważ mógł on mieć zgubny wpływ na powodzenie ucieczki, dlatego też przynieśli Lucy'emu jeszcze jedną rybę i usiedli naprzeciw; o ile wcześniej nie interesowali się szczególnie tym, czy zaczął jeść, teraz doglądali go bardzo gorliwie, ów zaś czuł ze strony towarzyszy presję i nie chciał ich rozczarować. Jego głód nabrał niepokojącej wyrazistości, która krystalizowała się nieomal w określoną barwę; coś go w brzuchu kłuło, obracając się jak dziecięcy wiatraczek. Mimo to zwyczajnie nie umiał zdobyć się na rozszarpanie metalicznych łusek zębami, zakomunikował więc pozostałym, że nie zrobi tego.

– Musisz, choćby dla kurażu – oświadczył Tomas.

– Jeśli, jak mówił pan Broom, wyruszamy rankiem, to poradzę sobie bez tego.

Pan Broom potrząsnął głową.

– Parę dni będziemy szli po ciemku, więc przyda ci się każda odrobina siły, jeśli chcesz doprowadzić nasz zamysł do końca. O ile w ogóle da się go do końca doprowadzić... Tak że wybacz, Lucy, ale naprawdę nie damy ci w tej kwestii wyboru.

Lucy wbił w rybę wściekły wzrok, zrozumiał, że nie uchroni się przed jej skonsumowaniem, i szczerze jej za to nienawidził. Nie bardzo wiedział, jak się do rzeczy zabrać. Tomas czubkiem palca dotknął rybiego brzucha.

– Tu – powiedział. – Po prostu odgryzaj po jednym kęsie.

W końcu Lucy zbliżył rybę do ust i wgrzyzł się w jej ciało. Ryba nieomal eksplodowała, bryzgając kleistą ikrą, była to bowiem samica, która w kamienną pułapkę zapędziła się w drodze do tarliska. Lucy nie mógł uwierzyć, że przytrafiło mu się coś takiego; siedział całkiem nieruchomo, z ikrą zwisającą z policzka i podbródka. Pan Broom i Tomas, opanowawszy atak śmiechu, zabrali feralną rybę i przynieśli na jej miejsce samca. Tym razem Lucy zupełnie się nie ociągał, tylko rzucił się na rybę, jakby ze złością. Wkrótce zostały z niej tylko głowa, ogon i szkielecik; i gdy tylko Lucy poczuł, że jego ciało przyjmuje pokarm z wdzięcznością, zrobiło mu się rażniej. Wyciągnął się tedy na piasku i jął wpatrywać w daleki, fioletowy okrąg, czyli w ciemniejące niebo, obrębione wylotem Bardzo Wielkiej Dziury. W żołądku dalej coś skręcało się głośno i niemiłosiernie, lecz teraz już przysłuchiwał się temu z beznamiętnym rozbawieniem. Naraz, niczym ptak przez otwarte okno, do głowy wpadła mu niebagatelna myśl i przycupnęła opodal. Lucy, oprzytomniawszy momentalnie, usiadł i powiódł wzrokiem po swych towarzyszach, którzy już także skończyli jeść, a teraz na leżąco trawili swe własne troski.

– Na tarło ryby płyną w górę rzeki, czyż nie? – spytał Lucy.

– Zgadza się – odparł Tomas.

– A jak daleko się zapuszczają?

– Nie żebym się orientował. A pan, panie Broom?

– Na pewno dość spory kawałek – odpowiedział pan Broom. – Czemu pytasz?

– Załóżmy więc – powiedział Lucy – że ruszylibyśmy tropem takiej ryby. Czy nie wyprowadziłaby nas na zewnątrz?

Na te słowa pan Broom również usiadł. Mina Tomasa wciąż zdradzała sceptycyzm, ale i on jakby zeszywniał i spoważniał. Spytał teraz:

– A jak niby mielibyśmy tego dokonać, nawet pomijając fakt, iż będziemy iść w zupełnych ciemnościach?

Lucy przyglądał się damskiemu kozaczkowi, tkwiącemu znów w samym środku ich kręgu. Sądził, że wie, jak odpowiedzieć Tomasowi, lecz nie uczynił tego od razu, z trudem opanowując emocje. Podniósł but i wylał

z jego wnętrza wodę. Wysupławszy z kozaczka sznurówkę, rozciągnął ją przed sobą na ziemi i patrzył na nią przez chwilę, po czym powtórzył tę samą czynność na własnych trzewikach, sznurowadła zaś związał końcówkami, potrajając tym samym ich długość. Zdumiony pan Broom przyłożył naraz dłoń do ust w geście olśnienia; chwycił teraz własne buty i począł je gorączkowo rozsznurowywać. Tomas nie rozumiał całego zamieszania i trzeba go było oświecić, lecz nawet wówczas nie chciał rozstać się ze swymi sznurówkami. Lucy i pan Broom błagali go jednak tak długo i usilnie, że choć Tomas wcale nie był przekonany do całego pomysłu, nie chciał też psuć im zabawy; wniósł przeto swój sznurówkowy wkład, który związano następnie z resztą, i w efekcie powstało pojedyncze sznurowadło całkiem słusznej długości. Leżało teraz rozprostowane między nimi, a oni dłuższy czas przyglądali mu się niemal z czcią: uosabiało przecież ich ostatnią szansę ucieczki. Później posnęli, rojąc dufne marzenia, a obok na piachu, niczym półżywe, leżały z wywieszonymi jęzorami ich buty.

POMYSŁ, RZECZ JASNA, polegał na tym, by końcówką sznurówkowej liny obwiązać ogon ryby zmierzającej do tarliska i podążając za nią jak za psem na smyczy, trafić do źródeł rzeki. Zdaniem Lucy'ego był to pomysł nie tyle dobry, ile jedyny; nie było mianowicie innego logicznego sposobu, by odnaleźć drogę, nie zdając się na łut szczęścia czy tężyznę fizyczną. Lucy nigdy jeszcze nie czuł tak wielkiej dumy, toteż raz po raz wciągał swych towarzyszy w omawianie okoliczności, w jakich pomysł ów powstał, tudzież sprytu i błyskotliwości, których niezbitnie dowodził. Lucy miał jednak wrażenie, że koledzy nie wykazują w tym względzie należytego entuzjazmu i uznania. Zdawało się wręcz, że pan Broom całą koncepcję uważa za wspólne dzieło lub też za coś na tyle oczywistego, że prędzej czy później sam wpadłby na podobny pomysł.

Spośród ryb uwięzionych w zagrodach wybrali samicę średnich rozmiarów. Ponieważ schwytana została zaledwie poprzedniego ranka, żywiono nadzieję, że nie zdążyła jeszcze zbojętnieć. Tomas ją przytrzymał, a Lucy obwiązał ogon końcówką sznurowadła. Ryba stawiała zdecydowany opór, dopóki nie trafiła z powrotem do rzeki; tam, pod bacznym okiem przejętych mężczyzn, jąła dryfować w miejscu. Lucy szarpnął lekko sznurówkę, lecz bez rezultatu. Szarpnął więc jeszcze raz, nieco mocniej: wciąż nic. Zdał sobie wówczas sprawę, że w ogóle nie przewidział porażki, toteż w jej obliczu uczuł, że wzbiera w nim najczarniejsza rozpacz. Teraz jednak spostrzegł, i to z niemałą ulgą, że sznurówka napina się, a ryba ciągnie ich ku grocie. Zniechęcona pojmaniem i niewolą, lub też skonsternowana faktem, że ma spętany ogon, potrzebowała najwyraźniej paru chwil, by zebrać się w sobie, lecz instynkt godowy powrócił i miał teraz znaleźć swe naturalne zwieńczenie.

Lucy, pan Broom i Tomas, pod przewodem coraz bardziej niecierplivej ryby, wstąpili na oślep do huczącej groty.

„JEST MROK – MYŚLAŁ LUCY – i jest mrok. To jest właśnie mrok”.

Z początku wołali do siebie, życząc sobie nawzajem powodzenia, i śmiali się z tego, jak przedziwnie ułożyły się ich losy; niósł ich duch przygody. Lecz Tomas odzywał się coraz rzadziej i wkrótce umilkł zupełnie, w ślad za nim Lucy, a wreszcie i pan Broom. Dopiero wówczas w całej krasie objawiło się wyzwanie, jakim była próba ucieczki, mimo to podjęli je, dokładając wszelkich starań.

Woda nigdy nie sięgała wyżej niż do pasa, a prąd rzeki nie był szczególnie silny, lecz fakt, że musieli się z nim nieustannie zмагаć, wystarczył, żeby nadwątlić ich entuzjazm. Wkrótce spokornieli: dopadły ich niehumanne zmęczenie i chowany głęboko w sercu, dotkliwy, a przy tym dotkliwie oczywisty lęk przed śmiercią. Potem stracili czucie w kończynach, co wprawdzie przyćmiło ból, ale i skazało na niezdarność. Czasem potykali się o niewidoczne skały i głazy i na moment przykrywała ich woda; wynurzali się gwałtownie, łapiąc gorączkowo powietrze i cierpiąc straszliwe męczarnie.

Raz po raz natrafiali na rozwidlenie rzeki, poznając je po tym, że ściana dźwięku przed nimi dzieliła się na dwoje; i raz po raz ryba bez chwili wahania prowadziła ich ku jednej z odnóg, szarpiąc rzeźwo sznurówkę, którą Lucy obwiązał wcześniej wokół palca. Choć nie sposób było odróżnić dnia od nocy, nie ustawali w marszu, starając się dotrzeć jak najdalej. Gdy już niemal zupełnie opadli z sił, któryś wymacał w ciemnościach piaszczyste wypiętrzenie, wygramolili się więc i złożyli tam swe znużone ciała. Ryba nie miała jednak najmniejszej ochoty na odpoczynek i sznurowadło drżało bezustannie; wreszcie Lucy, zirytowany tym naporem, przywiązał je do wystającej skały, bo inaczej nie zmrużyłby oka. Po przebudzeniu nie potrafili powiedzieć, jak długo spali; jasne było tylko, że spali za krótko. Mimo to, podniósłszy się i rozprostowawszy obolałe

mięśnie, znów podjęli wędrówkę w górę rzeki, ponieważ zdawali sobie sprawę, że nie ma czasu do stracenia. Mogli przecież doznać kontuzji, umrzeć z głodu, stracić zapal, zamarznąć: najważniejsze było, żeby pozostawać w ruchu, póki mają siłę. Choć nikt nie mówił tego na głos, wszyscy rozumieli, że ich szanse na przeżycie maleją z każdą chwilą. Mrok był tak zupełny, że Lucy z zamkniętymi oczami widział tyle samo, co z otwartymi; niezwykłość czy wręcz nierzeczywistość tego faktu porównać by można do sytuacji, w której po klaśnięciu w dłonie nie rozlega się żaden dźwięk.

Zatrzymywali się tylko po to, żeby jeść; każdy miał ze sobą dwie ryby, po jednej w każdej kieszeni spodni. Gdy już je spożyli, zrobiło się jeszcze dziwniej i bardziej złowieszczo. Jak to przy długich podróżach bywa, mężczyznom odechciało się porozumiewać i pograżyli się w milczeniu; teraz na dobrą sprawę każdy był sam, a myśli coraz częściej odpływały ku abstrakcjom. Lucy miewał chwile całkowitego spokoju, kiedy przestawał myśleć o sromotnym głodzie i wychłodzeniu, a ryba, jak gdyby równie oszołomiona, nie szarpała sznurówką, tylko płynęła wolniej; Lucy mógł wtedy zapomnieć zarówno o jej istnieniu i celu, jak i o własnym. Chwile te były zbawienne, acz przelotne; troski wkrótce powracały, dając o sobie znać w sposób okrutny, hałaśliwy i nieuznający sprzeciwu.

Tak mijał dzień za dniem i wreszcie Lucy przekroczył jakąś bezimienną granicę, za którą cała obecna sytuacja zaczęła mu się wydawać doprawdy zabawna. Przypuszczał, że to znak, iż zbliża się jego koniec, co jednak nie obeszło go szczególnie. Miał wrażenie, że sznurowadło już od jakiegoś czasu zwisa luźno, odgiął więc dłoń i zdał sobie sprawę, że nie ma go już na palcu. Fakt ten na jakiś czas go otrzeźwił, więc Lucy zaczął nawoływać pana Brooma i Tomasa, ale żadna odpowiedź nie nadchodziła. Przystanął i czekał, sądząc, że tamci wkrótce go dogonią, lecz tak się nie stało. Pośród spienionego szumu napierającej zewsząd wody Lucy nie umiał już utrzymać równowagi. Wydawało mu się, że znajduje się na stromym zboczu, chociaż wiedział, że to nieprawda; gdy zamknął oczy, czuł, że usypia na stojąco. A gdyby po prostu upaść w wodę i pozwolić jej ponieść się z powrotem ku piaszczystej wysepce? Lecz jeśli tak zrobił, to czy nie

groziłaby mu śmierć, czy nie roztrzaskałby głowy o ostre skały? „To bez znaczenia” – pomyślał, a jego ciało już przechylało się do tyłu, gdy zauważył, że za zasłoną powiek mrok jest odrobinę ciemniejszy. Mrugnął kilka razy, żeby przekonać się, czy tak jest w istocie; upewniwszy się w swym pierwotnym wrażeniu, Lucy z samego środka swego jestestwa wysupłał resztkę determinacji. Dał sobie chwilę, by pozbierać myśli, a potem ruszył szparko przed siebie. Dokoła robiło się jaśniej.

XII

LUCY OSWOBODZONY

BYŁ JASNY, SŁONECZNY, późnowiosenny poranek, a przed Lucym rozpościerała się równiutka łąka, pełna smukłych zielonych traw. Pośrodku rosła jabłoń. Podszedł pod sam pień i padł przy nim jak długi. Przez gałęzie sączyło się słońce i nawet od ziemi biło ciepło; czekał, aż przedostanie się do jego krwi, potem do kości. Wszędzie dokoła leżały jabłka i gdy Lucy jadł teraz jedno za drugim, życie zdało mu się istnym marzeniem, pełnym wygod i luksusów. Niebawem zasnął; zbudziwszy się koło południa, wrócił do wylotu pieczary i jął wołać pana Brooma i Tomasa. Czekał tam ponad godzinę, a potem ruszył na wschód, w stronę zamczyska. Być może powinien był wleźć do jaskini i ruszyć na poszukiwania przyjaciół, lecz plan ów zaświtał mu w głowie dopiero później, i nawet wówczas przedstawiał się dość mgliście. Lucy pocieszał się myślą, że prąd rzeki osadził jego towarzyszy z powrotem na piaszczystej wysepce, nietkniętych, i że teraz plotą sobie trzy po trzy, jak to mieli w zwyczaju. W głębi serca wiedział jednak, że nie żyją.

Świat dokoła wydawał mu się dziwnie obcy, więc Lucy miał się na baczności. Po kilku godzinach jego oczom ukazała się wioska, co natychmiast przywiodło mu na myśl Klarę i przysporzyło udręki. Wszystko, co w ostatnich dniach przeszedł – jakież to miało znaczenie? Ocalał, lecz właściwie po co? Ujrzawszy w oddali jej chatę, zrozumiał, że musi się tam udać, nie zwlekając ani chwili. Wypatrzył opodal ciężki kamień, dźwignął go z ziemi i teraz ścisnął kurczowo, zamierzał bowiem unicestwić nim czaszkę Adolfusa. Choć nie zastanowił się nad tym, co zrobi później, miał niejasne wrażenie, że nowe możliwości objawią się wraz z dokonaniem tego czynu.

MEWE SIEDZIAŁ PRZED swoją chatą, ze wzrokiem utkwionym w pustce; zmizerniał i sprawiał wrażenie wygłodniałego. Gdy Lucy stanął przed nim, tamten przestraszył się i wyprostował na zydelku.

– To ty nie umarłeś? – spytał zadziwiony.

– Nie, nie umarłem. Witaj.

– Ale gdzieś ty się podziewał?

– Daleko.

– Coś zrobił z butami?

– Zgubiłem.

– A liberia czemu w strzępach?

– Ostatnio niespecjalnie dopisywało mi szczęście.

– To tak jak nam – stwierdził Mewe, opadając znów na oparcie. Wskazał zydelek obok siebie, a Lucy skorzystał.

– A ten kamień, który ściskasz w garści, to na co?

– Żeby zabić Adolfusa.

– To by dopiero była sztuczka.

– Nie wierzysz, że mi się uda? – spytał Lucy.

– Nie, nie wierzę. Bo udało się już komuś innemu.

– Jak to? – zdziwił się Lucy.

– Adolfus nie żyje. Wyszadzili go.

– Wyszadzili? Ale kto?

– Tamci.

– Co to znaczy „wyszadzili go”?

– No, że się już nie pozbiera.

– Gdzie on teraz jest?

– Tu i ówdzie. Toż ci tłumaczę.

– Mewe! Gdzie jest jego zasadnicza część?

Mewe wskazał chatę Klary. Lucy podniósł się i wszedł do środka. Adolfus leżał na stole w izbie frontowej, nagi od pasa w górę i pozbawiony głowy. Oderwano ją dość precyzyjnie, aż po nasadę szyi. Brzegi rany były nadwęglone, ale poza tym na ciele nie było znać żadnych urazów. Lucy stał nad nim, dumając nad sprzecznością, jaką uosabiało: zdrowe, acz bezgłowe! Przyglądając się trupowi, Lucy nie czuł nic: żadnej ulgi ani krzty triumfu. Po jakimś czasie w miejscu, gdzie powinna była znajdować się głowa, położył kamień. Do chaty wszedł Mewe i stanął przy Lucym:

– Kula armatnia, wyobrażasz sobie? Urwało mu głowę.

– Ach tak? – odrzekł Lucy.

– Mówią, że jeszcze przez chwilę stał bez głowy, a jak już upadł, to się tak ułożył, jakby się kładł spać. Potem go tu przynieśli, do Klary. Tyle że ona już wtedy wyjechała.

– Wyjechała? – spytał Lucy.

– Tak, baronowa zabrała ją ze sobą.

Lucy potrząsnął głową.

– Zaraz, zaraz, jak to?

– Klara poszła na zamek, żeby spytać o wieści o tobie. Tam spotkała się z baronową i się dogadały. Klara powiedziała mi później, że dostała posadę u baronowej i będzie damą dworu. W każdym razie wyjechały razem.

– Ale dokąd?

– Klara powiedziała tylko, że na zachód. I Rozę też zabrały ze sobą.

– A gdzie Memel? – spytał Lucy.

Mewe wskazał drzwi do pokoju Memela i Lucy zajrzał tam. Memel leżał na swym materacu, odziany w garnitur, kamizelkę i trzewiki, z włosami zaczesanymi w przedziałek, rękami skrzyżowanymi na piersi i skórą szarego koloru, albowiem i jemu się zmarło. W izbie płonęły świece, na ciele nieboszczyka zaś i na klepisku dokoła rozsypano kwiaty o smukłych łodygach. Lucy stał w nogach łóżka, wdychając kwiatną woń. Mewe wciąż tkwił w progu, spoglądając smętnie na swego druha.

– A więc, jeśli dobrze rozumiem – powiedział Lucy – Memel zmarł, Klara z Rozą wyjechały, baronowa też się ulotniła, a Adolfus stracił głowę?

– Wszystko się zgadza – odparł Mewe.

– Czy byłąś łaskaw wyjaśnić mi, co tu się właściwie działo podczas mojej nieobecności?

Mewe odchrząknął, po czym naświetlił sprawę:

– Przyszedł Adolfus. Twierdził, że nastawałeś na jego życie. Jakoś nie mogliśmy sobie tego wyobrazić, ale że przepadłeś jak kamień w wodę, to poszliśmy z Klarą na brzeg Bardzo Wielkiej Dziury, żeby cię szukać. No i znaleźliśmy twoją fajkę. – Mewe wyciągnął z kieszeni rzeczony przedmiot i rzucił go Lucy’emu. Lucy chwycił fajkę w locie i trzymał ją teraz w dłoni.

– A więc Klara sądziła, że ja nie żyję – powiedział.

– Tak. Kiedy zobaczyliśmy fajkę, to już żadne z nas nie miało złudzeń i było nam bardzo przykro. Klarze to nawet było bardziej niż przykro. Na domiar złego Memel czuł się coraz gorzej; po jego śmierci Adolfus ciągle kręcił się w pobliżu. Wbił sobie do głowy, że mają z Klarą wziąć ślub, i nie dawał jej z tym spokoju, więc musiała mu w końcu wyjaśnić, że to niemożliwe.

– Niemożliwe? – powtórzył Lucy.

– Tak.

– Dlaczego?

Mewe odparł:

– Przecież ona go nie kochała w ten sposób, Lucy. W każdym razie nie odkąd poznała ciebie.

Lucy jął uważnie przyglądać się swemu rozmówcy. Tak bardzo pragnął wierzyć, że Mewe mówi prawdę.

– Adolfus nie umiał sobie poradzić z odtrąceniem – ciągnął Mewe – więc kiedy mu donieśli, że na zboczach góry zaatakowano jego oddział, pospieszył tam, żeby spełnić obowiązek. Żołnierze, którzy znieśli jego ciało do wioski, mówili, że wykazał się czymś więcej niż odwagą. Walczył jak lew, a potem to już pobiegł prosto na armaty, no i taki był jego koniec.

Lucy wrócił do izby i znów stanął przed tym, co zostało z Adolfusa. Muchy urządziły sobie schadzki na grubo skrzepionej dziurze po szyi, a Lucy uczuł coś na kształt współczucia dla swego antagonisty.

– Nadal nie rozumiem, o co oni właściwie walczyli – powiedział Lucy.

– Mam wrażenie, że niektórzy ludzie po prostu znajdują przyjemność w zabijaniu się nawzajem – odparł Mewe, wciąż stojąc w drzwiach chaty i spoglądając na Lucy’ego przez ramię. – A ty co teraz zamierzasz? – spytał. – Zostaniesz na zamku?

– Nie sędzę.

– Czyli wrócisz do domu?

– Nie.

– To kiedy wyjeżdżasz?

– Właściwie to zaraz.

Od jakiegoś czasu Mewe stał do niego plecami, ukrywając twarz, więc Lucy spytał:

– Wszystko w porządku?

Gdy Mewe znów odwrócił się ku niemu, Lucy dostrzegł, że tamtym wstrząsa bezgłośny płacz.

– Wszystko się kończy – rzucił Mewe i niemal wybiegł z chaty, a Lucy popatrzył za nim. Później stał jeszcze chwilę w izbie, w której panował cichy, chłodny bezruch. Lucy przypominał sobie chwile spędzone w tym miejscu i zaczęło mu szumieć w głowie; szum ten narastał, aż wreszcie Lucy’ego raził grom najprzedniejszego smutku. Smutek wdarł mu się do duszy, niemal stłamsił oddech i sprawił, że nogi pod nim zadrżały.

Wróciwszy do pokoju Memela, Lucy odgarnął klapę u marynarki nieboszczyka i wetknął mu do kieszeni swą fajkę. Sam nigdy nie umiał się nią cieszyć i wydawało się zupełnie na miejscu, że Memel weźmie ją w wieczne posiadanie.

Lucy opuścił chatę i udał się na zamek.

GDY LUCY WSPINAŁ się po schodach do swojego pokoiku, wszędzie panowała całkowita cisza. Stan jego garderoby wołał o pomstę do nieba, toteż zzuł liberię i na jej miejsce włożył ubranie, w którym onegdaj przyjechał na zamek. Spodnie były sfatygowane na kolanie, pończochy się przetarły, a płaszcz miał zaledwie jeden guzik. Na głowę Lucy wciągnął baranicę i, na dobre czy też na złe, znów stał się sobą. Spakowawszy kuferek, ruszył na poszukiwania pozostałych domowników. Przy stole w jadalni dla służby zastał Agnes, która w jednej dłoni trzymała filiżankę herbaty, a na drugiej wsparła podbródek. Gdy Lucy przywitał ją pozdrowieniem, obróciła się ku niemu.

– Opuuszczam zamek, proszę pani – oświadczył. – Uznałem, że powinna pani wiedzieć.

– Co ty nie powiesz? – spytała. – A ja sądziłam, że już dawno nas opuściliś.

– Rzeczywiście, jakiś czas mnie nie było, ale wróciłem.

– Żeby znów nas opuścić?

– Tak się złożyło. – Lucy usiadł naprzeciwko Agnes. – A gdzie pozostali?

– Baronowa czmychnęła na dobre, więc nadąsany baron zaszył się w jakimś kącie. Nie wiem, co dolega panu Olderglough, ale i on się dąsa. – Gesty Agnes były cośkolwiek sztywne, jak gdyby przy każdym ruchu dokuczał jej ból; gdy Lucy spytał, czy dobrze się czuje, odparła: – Och, Lucy, chyba rzeczywiście nie czuję się najlepiej.

– A powie mi pani, co jej dolega?

Przyjąwszy poufały ton, powiedziała:

– Mam wrażenie, chłopcze, że wszyscy tu karlejemy.

– Karlejemy, proszę pani?

– Tak. Marniejemy w oczach.

– Nie do końca rozumiem, co ma pani na myśli.

– Puścijemy. Pustoszejemy. – Nagle twarz jej pojaśniała. – O, mam: wysychamy. Wszyscy tu wysychamy i niedługo nic z nas nie zostanie. – Pociągnęła łyk herbaty, po czym zajrzała nieufnie do filiżanki. – Zimna.

– Życzy sobie pani, bym zaparzył jeszcze herbaty?

– Po co się trudzić? Przecież i tak znów wystygnie. – Zaczęła mamrotać coś pod nosem, a Lucy zauważył, że spiżarnia jest w opłakanym stanie: tu i ówdzie piętrzyły się stosy brudnych naczyń, obrusy były usiane plamami, a posadzkę znaczył rozdeptany popiół.

– No dobrze, proszę pani – powiedział. – Chciałem tylko podziękować za całą pomoc, jakiej mi pani udzieliła.

– Czy ja ci rzeczywiście pomogłam? – spytała w roztargnieniu.

– Ależ tak.

– W jaki niby sposób?

– Dzięki pani wyrozumiałości nie czułem się tu aż tak samotny.

Zerknęła na niego filuternie, acz z lekkim zakłopotaniem, jak gdyby uważała, że Lucy stroi sobie żarty.

– Masz jeszcze tę monetę, którą ci dałam?

Lucy poklepał się po kieszeni.

– Tu jest, proszę pani.

– Czy teraz zrobisz z niej wreszcie użytek?

– Zrobię.

– Chociaż tyle dobrego. – Wzięła kolejny łyk herbaty i skrzywiła się.

– Do widzenia pani – powiedział.

Lucy wyszedł z jadalni dla służby, Agnes zaś znów poczęła mamrotać pod nosem.

PAN OLDERGLOUGH SIEDZIAŁ przed lustrem toaletki w swym wymiętym szlafroku, nieogolony i z przekrzywioną szlafmycą na głowie. Przez pręty klatki, która spoczywała na jego kolanach, mówił coś do Petera. Gdy Lucy się przywitał, pan Olderglough podniósł wzrok do lustra.

– Serwus, chłopcze – powiedział. – Gdzieś ty bywał?

– Dzień dobry panu. Najmocniej przepraszam za moje zniknięcie, ale wpadłem do Bardzo Wielkiej Dziury i zmuszony byłem walczyć zaciekle, by się stamtąd wydostać.

– Coś podobnego?

– Owszem, proszę pana.

– Spadłeś na sam dół, a mimo to wyszedłeś cało z opresji?

– Wyszedłem, proszę pana.

– I teraz stoisz przede mną jako ten, który śmierć oszukał?

– Chyba tak, proszę pana.

– Ten, który bieg losu odwrócił?

– Być może, proszę pana.

– Zapewne było ci bardzo trudno?

– O tak, zdecydowanie.

– A nudno?

– Tego słowa akurat bym nie użył.

– Nie? Bo brzmi to, dalibóg, dość nudno. Ale co ja tam wiem! W łepetynie same trociny. Bardzo się w każdym razie cieszę, że wróciłeś.

– Dziękuję za te miłe słowa. Ale ja wcale nie wróciłem.

– Nie?

– Nie. W gruncie rzeczy przyszedłem panu oznajmić, iż opuszczam zamek.

– Opuszczasz zamek? – powtórzył pan Olderglough, jak gdyby była to najdziwniejsza decyzja na świecie.

- Opuuszczam, proszę pana, i to już zaraz.
- Ale cóż cię natchnęło do takiego czynu?

Lucy odrzekł:

- Wydaje mi się, proszę pana, że w obecnej sytuacji nic tu po nas.
- Ależ, chłopcze, sprawy mają się zgoła inaczej.
- Baronowa znów wyjechała, prawda?
- Prawda.
- Czyż nie jest więc prawdopodobne, że i baron ulegnie wynaturzeniu, tak jak wcześniej?

– Jest to wysoce prawdopodobne. Nie pojmuję jednak, jaki jest związek między tym faktem a sugestią, iż miałbym opuścić swój posterunek. Przeto nie mam nawet zamiaru takiej sugestii rozważać. – Pan Olderglough wzdrygnął się i pociągnął nosem, po czym powrócił do okazywania względów Peterowi; Lucy zdążył się już zorientować, że ptak milczy jak zaklęty.

- Czyżby znów zatracił swą pieśń?

– Hm – odparł pan Olderglough, po czym raz jeszcze się wzdrygnął i pociągnął nosem jak uprzednio. Lucy przyjrzał mu się dokładniej i zrozumiał, że resztki rozsądku wyparowały staruszkowi z głowy. Ów cmokał teraz do Petera; zwracając się właściwie do ptaka, oświadczył: – Nie ustane w pełnieniu swych obowiązków. Nie zawiodę mego przełożonego.

- A jeśli to przełożony zawiedzie pana? – spytał Lucy.

– To już nie moja sprawa.

- A właśnie że pańska, i to w każdym calu.

Pan Olderglough potrząsnął głową i pogрузzył się w milczeniu. Lucy nie wiedział, co jeszcze mógłby rzec, gdyż po prawdzie nie było już nic do dodania; odwracał się właśnie, by wyjść, kiedy pan Olderglough zawołał za nim wzruszonym głosem:

– Powiem ci, Lucy, że stałeś mi się bliski jak syn, którego nigdy dobrze nie poznałem. – Wypowiedziawszy te słowa, odstawił klatkę na blat toaletki, a dłonie złożył na kolanach. Popatrując na wioskę i porośnięte lasami wzgórza, które ciągnęły się aż po horyzont, stwierdził: – Tak sobie

myślę, mój chłopcze, że resztę życia mógłbym spędzić, wyglądając przez okno.

– Jakiegolwiek okno?

– Jakiegolwiek. Na przykład to tutaj.

Pan Olderglough patrzył przed siebie. Lucy wyszedł z komnaty.

PRZYSZŁA I PORA NA rozmowę z baronem. Lucy odnalazł go w sali balowej, gdzie ów stał przed portretem jednego ze swych przodków; ręce splótnięte za plecami, baron kołysał się w przód i w tył, nucąc coś pod nosem. Był bosy, a kiedy odwrócił się ku Lucy'emu, od razu stało się jasne, że w jego umyśle na powrót zagnieździło się szaleństwo. Choć nie był jeszcze całkowicie opętany, to już bytował gdzieś na pograniczu dwóch światów. Lucy wciąż nie mógł pojąć, co właściwie wydarzyło się w ciągu kilku ostatnich dni; miał wrażenie, iż jakaś złowroga chmura prześliznęła się nad doliną i pomieszała wszystkim zmysły.

Do ust barona przyłgął na stałe krzywy uśmiech, a jego właściciel zrazu nie skojarzył, kim jest osoba, która wyrosła przed nim.

– Lucy! – rzucił w końcu. – Jak się miewasz, chłopcze? Doniesiono mi, żeś się rozplątał w powietrzu.

– Dzień dobry, Wasza Mość. Niedokładnie, to znaczy nie rozplątałem się. A jak miewa się Wasza Mość?

Baron skinął radośnie głową, po czym znów jął wpatrywać się w portret. Lucy stanął obok niego, a baron wyjaśnił:

– Mój prapradziadek, Victor von Aux. To właśnie on kazał zbudować zamek. Co o nim wiesz, jeśli mogę spytać?

– Nic zgoła, Wasza Mość.

– Naprawdę nie słyszałeś żadnych historyjek?

– Nie, Wasza Mość.

– Że gustował w podróży balonem, a także parał się czarną magią?

– Nie wiedziałem tego, Wasza Mość.

– Że był wyborowym strzelcem, który miał słabość do opium?

– Nie.

– Że hodował konie krwi arabskiej? Że zdarzało mu się raczyć swych gości pokazowymi egzekucjami?

– Nie, Wasza Mość.

– Cóż. Dziwię się, że żadna z tych anegdot nie doszła do twych uszu.

– Tak, ja również – stwierdził Lucy. – Zdaje się, że był to człowiek o nader złożonej osobowości.

– Diabeł wcielony – odparł bezbarwnym głosem baron. Nie odwracając oczu, przesunął się o krok i znalazł się przed portretem baronowej, po czym oznajmił: – Znów wyjechała, chłopcze.

– Wiem, Wasza Mość, i wieść ta bardzo mnie smuci. – Lucy zrobił krok w tę samą stronę. – Czy wiadomo, dokąd się udała?

– Nad ocean. Oświadczyła mi też, że tym razem już nie wróci.

– Któż by umiał to stwierdzić, Wasza Mość.

– Ona najwyraźniej umie, i właśnie to stwierdziła. Jestem skłonny jej wierzyć. – Baron spojrział na Lucy’ego. – Mówi, że nic już do mnie nie czuje. I co ty o tym sądzisz?

– No nie wiem, Wasza Mość. Mnie się wydawało, że jednak czuje.

Baron przytaknął.

– Mnie także, chłopcze. Cóż, może kiedyś tak było. Niechybnie jednak czas ten minął. – Baron przełknął ślinę i odchrząknął. – Tak jak opuszcza nas pomyślność, opuszcza nas i miłość – powiedział, po czym odwrócił się i wyszedł z sali. Lucy pozostał jeszcze przez chwilę przed portretem, patrząc na baronową i rozważając sens usłyszanych przed chwilą słów. Wreszcie chwycił kuferek i na zawsze opuścił Zamek von Aux.

GDY KIEROWNIK POCIĄGU zagadnął go o cel podróży, Lucy spytał, czy moneta, którą trzyma w garści, wystarczy, by dostać się nad ocean.

– Tak, ale reszty nie będzie – odparł tamten, więc Lucy rozsiadł się w pustym przedziale. Mniej więcej po godzinie zaczęło się ściemniać. Przygody, jakie stały się w ostatnich dniach jego udziałem, ciężko go doświadczyły; czuł się tak wycieńczony i słaby, że mógłby przez parę dni tylko spać. Przestał walczyć ze znużeniem i pogrążył się we śnie, w którym królowały nieruchome czarne zasłony i dość niskie temperatury. Przespawszy całą noc, zbudził się i ku swemu zdumieniu ujrzał, że naprzeciwko siedzi jego stary przyjaciel, ksiądz Raymond, i przygląda mu się wyczekująco. Gdy tylko Lucy otworzył oczy, kleryk dał wyraz swej wielkiej radości, sięgając ku jego siedzeniu i chwytając dłonie Lucy’ego w swoje.

– Nie chciałem zakłócać twej drzemki, chłopcze – powiedział ów – ale zapewniam cię, że to czekanie było dla mnie udręką!

– Dzień dobry. Co ksiądz tutaj robi?

– Właśnie wracam z Listen. Mam tam siostrę, o czym być może onegdaj wspominałem.

– Nie, nigdy ksiądz nie wspominał. Sympatycznie było?

– A gdzie tam. Prawdę mówiąc, myślałem tylko o tym, żeby brać nogi za pas, i to jak najprędzej. Co też mi strzeliło do głowy, żeby tłuc się taki kawał po to tylko, by odwiedzić moją siostrę, tę królową zdychających psów i ziemistych woni!

– Doprawdy nie wiem, proszę księdza.

– Chłopcze, ona nie gotuje. Ona zalewa wrzątkiem!

– Przykro mi to słyszeć.

– W każdym razie, wracam już do Bury i całkiem mi to odpowiada. Ale ciekawym, co u ciebie? Opowiesz to i owo? Co tam na zamku? Domyślam

się, że żyjesz jak panisko.

– Wcale nie. Prawdę mówiąc, właśnie stamtąd wyjechałem.

– Wyjechałeś? Tuszę jednak, że nie na stałe?

– Niestety tak.

– Ale dlaczego?

– Powodów jest bez liku.

– A byłbyś łaskaw przybliżyć mi jeden lub dwa?

Lucy nie bardzo wiedział, od czego zacząć. Oświadczył więc:

– W moim odczuciu panuje tam niezdrowa atmosfera.

– Niezdrowa?

– Niezdrowa, a nawet cośkolwiek niebezpieczna.

Ksiądz Raymond pokręcił głową.

– Masz ci los – powiedział. – Ale nie martw się, chłopcze, znajdziemy ci w Bury jakąś lepszą posadkę.

– Proszę księdza, ja nie mam zamiaru wracać do Bury.

– Co takiego? A czemuż to?

– Otóż uganiam się, proszę księdza, za pewnym dziewczęciem.

Albowiem tak się składa, że się zakochał.

Ksiądz Raymond pochylił się ku niemu.

– Zakochał, powiadasz?

– Zgadza się.

– I jak to jest? Często się nad tym zastanawiałem.

Lucy odparł:

– Euforia i tortura, proszę księdza.

– Ach tak? Zatem nie polecasz?

– Polecam, i to gorąco. Ale to nie dla osób o słabym sercu.

Ksiądz Raymond pogrążył się na jakiś czas w rozmyślaniach. Wyglądał na zatroskanego, toteż Lucy spytał, czy coś się stało, a ów odparł:

– Nie chciałbym szargać dobrego imienia twojej wyprawy, chłopcze, ale zastanawia mnie, czemu jesteś zmuszony uganiać się za tą dzierlatką. Innymi słowy: czemu ona się tak przemieszcza? Czyżby ta młoda dama nie odwzajemniała twego uczucia?

– Oczywiście, że odwzajemnia. Uciekła tylko dlatego, że miała mnie za nieboszczyka.

– Za nieboszczyka! – Ksiądz Raymond trzepnął się w kolano. – To ci dopiero!

– Właśnie.

– Zamierzasz ją skutecznie wyprowadzić z błędu, he?

– Chciałbym, proszę księdza. Oczywiście, jeśli uda mi się ją odszukać.

– Z pewnością ci się uda.

Tak też przegadali cały ranek, wielce radzi ponownemu spotkaniu. Ksiądz Raymond domyślił się, że Lucy nie ma grosza przy duszy, i wcisnął mu parę miedziaków, żeby ten nie musiał głodować. Gdy pociąg wjechał na stację w Bury, Lucy wyjrzał przez okno. Miasteczko wyglądało tak samo jak zawsze, lecz znajomy widok wcale go nie pokrzepił; Lucy nie uczuł w sercu najmniejszej ochoty, by tu wysiąść.

Na peronie dostrzegł żebraka, który klęczał ze spuszczoną nisko głową i dłońmi wyciągniętymi przed siebie. Ktoś przeszedł obok i upuścił pieniądz prosto w garść żebrzącego, a gdy ów podniósł wzrok, by ocenić wartość monety, Lucy rozpoznał w nim mężczyznę w jutowym worze. Z wrażenia aż mu dech zaparło w piersiach.

– O co chodzi? – spytał ksiądz Raymond, starając się uwolnić pasek torby, który zaplątał się w półkę nad siedzeniami.

– O tego żebraka na peronie, proszę księdza. To ten sam człowiek, który mnie odwiedził, kiedy leżałem złożony chorobą. Przypomina sobie ksiądz?

– Masz na myśli tego rabusia, o którym mi wówczas opowiadałeś? – Ksiądz Raymond przyjrzał się żebrakowi, a potem potrząsnął głową. – Mylisz się, chłopcze. Toż to Frederick.

– Ksiądz go zna?

– Owszem, o ile w ogóle można znać takiego prostaczka. Frederick zamiata co jakiś czas w refektarzu za piętękę chleba albo łyżeczek wina. Ludzie mówią, że jak był mały, to dostał po głowie i już tak mu zostało. Wierzaj mi: człek ten nie ma mocy nadprzyrodzonych. Ani też żadnych innych.

Lucy nie mógł oderwać wzroku od żebraka.

– Jestem pewien, że to on – powiedział.

– Najpewniej jeszcze przed swoją chorobą widywałeś go w okolicy, tylko nie zwróciłeś na niego uwagi, a ta cała wizyta to był sen na jawie. Przecież majaczyłeś wówczas w gorączce. Pamiętaj, że sam byłem tego świadkiem.

Kierownik poganiał pasażerów wysiadających w Bury. Na odchodnym ksiądz Raymond powiedział Lucy'emu:

– Bardzo żałuję, że nie chcesz zostać tu choćby na krótko. Naprawdę nie zdołam cię przekonać?

– Niech mi ksiądz wybaczy, ale nie.

– Miłość nie może czekać, co?

– Otóż to.

– Zatem może nawet lepiej, że nie mam z nią nic wspólnego. Nigdy nie przepadałem za pośpiechem. No cóż, cieszę się, że się zobaczyliśmy, Lucy. Uważaj na siebie, dobrze?

– Obiecuję – powiedział Lucy.

Ksiądz Raymond wysiadł, a Lucy dalej obserwował mężczyznę w jutowym worku. Rzeczony osobnik siedział teraz na ziemi i przeliczał zgromadzone monety, układając je w stosiki. Oto był człowiek, który pośrednio wpłynął na decyzję Lucy'ego, by wyjechać z Bury, oraz na wszystko, co przytrafiło mu się później. Gdy z ust żebraka wysliznęła się strużka śliny, ów pośpiesznie wciągnął ją z powrotem do ust, jak gdyby była mu niezwykle droga i bał się ją utracić. Pociąg szarpnął, wytoczył się ze stacji i Lucy znów pędził przed siebie.

Jeszcze nigdy nie był na zachód od Bury, toteż z wielkim zaciekawieniem śledził rozciągającą się wokół równinną scenerię. Nie było tu drzew ani górskich szczytów, tylko płaskie połacie zieleni; Lucy'emu, który siedział wygodnie na poduszkach obitych czerwonym welwetem, wszystko wydawało się teraz niezwykle ciche i spokojne. Wyobrażał sobie moment odnalezienia Klary, układał w głowie scenariusze, w których zaskakiwał ją już to na plaży, już to w foyer majestatycznego hotelu nad samym oceanem. Te ćwiczenia z fantazji cieszyły go i ekscytowały do głębi, lecz po jakimś czasie poczuł się zmęczony i zaprzestał ich. Zaciągnął zasłony w przedziale i przez chwilę siedział w półmroku. Korytarzem szedł

kierownik pociągu i Lucy zagadnął go, ponieważ chciał pożyczyć kartkę papieru i ołówek. Następnie, kuferka swego używszy jako deski kreślarskiej, narysował na kartce odwrócony kształt litery U. Pod kopułą linii spisał parę słów na przyszłość – miał nadzieję, że wciąż odległą. Bez względu na to, czy miały się przydać prędej, czy też później, wiedział, że dobrze będzie je sobie zanotować:

LUCIEN MINOR

*Jego serce było kościołem, który sam sobie wybrał,
światło zaś wpadało do środka
przez barwne witraże.*

Podziękowania

PODZIĘKOWANIA RACZA PRZYJAĆ: Philippe, Emma i Nina Aronsonowie, D. Contumely Berman, Leslie Butler, Rachel Lee Corry (która też jest kusicielką), Eric Issacson, Azazel Jacobs; Megan Lynch, Dan Halpern, Allison Saltzman i całe Ecco Press; Lee Boudreaux, Peter McGuigan i całe Foundry Literary; Sarah MacLachlan, Janie Yoon i całe House of Anansi Press; Leslie Napoles (wszelka łaska!), Rene Navarette, Brian Mumford, Danny Palmerlee, Max Porter, Aidan O'Neill i całe wydawnictwo Granta; Steve Schiller, Scoop Short, Dan Stiles, Libby Werbel; moja mama, tata i bracia.

PISZĄC TĘ KSIĄŻKĘ, rozmyślałem z wdzięcznością nad dziełami następujących twórców: Thomas Bernhard, Italo Calvino, Ivy Compton-Burnett, Dennis Cooper, Robert Coover, Roald Dahl, J. P. Donleavy, C. F., Knut Hamsun, Sammy Harkham, Werner Herzog, Bohumil Hrabal, Shirley Jackson, Pär Lagerkvist, Harry Mathews, Steven Millhauser, Jean Rhys, Robert Walser oraz Eudora Welty.

Krzysztof Majer

Zbrodnie miłości, niedole ironii *O trzeciej powieści Patricka deWitta*

NIE BARDZO WIADOMO, co z deWittem począć. Sami Kanadyjczycy nie są tego zbyt pewni: ich rodak z wyspy Vancouver, od lat związany raczej z zachodnim wybrzeżem USA, zdobywa w ojczyźnie nominacje do wszystkich liczących się nagród, lecz bliżej mu chyba do tradycji amerykańskiej. Jest tak już choćby ze względu na geografę jego książek. Scenerią dla nietłumaczonego jak dotąd na polski debiutu pod tytułem *Ablutions: Notes for a Novel* jest nocne życie dość nieprzyjemnego zakątka Hollywood; akcja *Braci Sisters*, utrzymanych w konwencji czarnego, ponowoczesnego westernu, rozgrywa się oczywiście na Dzikim Zachodzie w dobie gorączki złota. Jeśli Kanadyjczykom marzyło się, że po niespodziewanym, ogólnoświatowym sukcesie *Braci Sisters* deWitt zapragnie opisać rodzimą przestrzeń, to musieli się – w tym przynajmniej aspekcie – srogo zawieść. Fabułę swej trzeciej powieści, pod dziwnym tytułem *Podmajordomus Minor*, umiejscowił deWitt w pejzażu przypominającym dziewiętnastowieczną Europę, a w wieńczącej tekst liście artystycznych inspiracji próżno szukać pisarzy z Kanady. Za to dziewięć z dziesięciu nazwisk należy do pisarzy związanych z USA.

Warto przytoczyć okoliczności powstania *Podmajordomusa*. DeWitt porzucił rozgrzebaną powieść o nowojorskim doradcy inwestycyjnym pokroju Bernarda Madoffa; jak sam twierdzi, zabrakło mu do niej entuzjazmu, ponieważ fascynująca zrazu obsesja pieniędzy wydała mu się ostatecznie bardzo płytka. Zamiast kolejnego utworu o tematyce „amerykańskiej” napisał błyskawicznie coś zupełnie innego, a inspiracją były nie nagłówki gazet, tylko – jeśli wierzyć pisarzowi – zbiór europejskich baśni, na który deWitt natknął się w paryskiej księgarni i które czytywał później synkowi na dobranoc. Miłośnikom deWitta historia znalezionej przypadkiem książki wyda się pewnie znajoma; wszak i *Bracia Sisters* inspirowani byli ponoć sfatygowaną broszurą o kalifornijskich poszukiwaczach złota, wygrzebaną na wyprzedazy ze sterty jej podobnych. W obu przypadkach anegdota jest być może przede wszystkim poręcznym sposobem na umiejscowienie własnych tekstów nie tyle w kontekście rzeczywistości, ile wobec książek, mitów czy legend.

Przypomnieć jednak należy, że korzenie pisarskie deWitta tkwią w realizmie – nawet jeśli jest to realizm swoisty, rozedrgany. Choć świat ociekających alkoholem *Ablutions* jest nieco wykoślawiony i podszyty mroczną groteską, to tylko z rzadka osuwa się w fantasmagorię. Mamy tu w zasadzie do czynienia z „powieścią pijacką”, a może nawet „barową”, w której za sprawą nietypowej, drugoosobowej narracji między bohaterem i jego własnymi czynami, a także jego bezpośrednim środowiskiem, ujawnia się znaczny dystans. Z ostatnich wypowiedzi deWitta wnioskować można, że ta krótka powieść (zawierająca ponoć elementy autobiograficzne) przyniosła mu najwięcej pisarskiej satysfakcji; pod wieloma względami należałoby ją też uznać za „najszczerzy” z jego tekstów – innymi słowy, najmniej obarczony intertekstualnymi grami i postmodernistyczną ironią. Dziś Patrick deWitt wydaje się zmęczony tą ostatnią. „Naprawdę uważam, że przedawkowaliśmy ironię” – mówił niedawno w obszernym wywiadzie dla serwisu BuzzFeed, poświęconym głównie *Podmajordomusowi*.

Najpierw jednak była książka, która przyniosła mu rozgłos. Chodzi oczywiście o *Braci Sisters*, gdzie nieustannie nicuje się konwencje

i puszcza oko do czytelnika. Można tu śmiało mówić o czarnym humorze, ponieważ powieść ta, podobnie jak pozostałe utwory deWitta, ufundowana jest na przeczuciu, że kondycja ludzka jest z natury swej niedorzeczna. W rozmowach tytułowej pary płatnych zabójców nieprzypadkowo pobrzmiewają echa literackiego absurdu: oto Vladimir i Estragon na Dzikim Zachodzie, Rosencrantz i Guildenstern przesiedleni ze słynnej szekspirowskiej wariacji Stopparda wprost do dziewiętnastowiecznej Kalifornii. Choć *Braciom Sisters* prędko przyczepiono łatkę antywesternu, to jednak deWittowi znacznie bliżej do absurdystów niż do Cormaca McCarthy'ego; nie proponuje się tu przecież nowych odczytań oficjalnej historii jak, powiedzmy, w *Krwawym południku*. DeWitta interesuje nie tyle „rzeczywistość” amerykańskiego Zachodu – czymkolwiek miałyby ona być – ile raczej tradycyjny popkulturowy model przedstawiania tej rzeczywistości i to, jak można go jeszcze dziś wyzyskać dla literatury.

Fabała drugiej powieści deWitta oscyluje wokół cudownej „mikstury” (ang. *formula*), pozwalającej odnaleźć w korycie rzeki najszlachetniejszy kruszec; podobnie sam autor *Braci Sisters* przekuł niejako w złoto literacką „formułę” westernu, poddając ją ponowoczesnej obróbce. Do narracji opartej na jednopłaszczyznowych konfliktach między nieskomplikowanymi postaciami deWitt wprowadza zatem egzystencjalistyczną wrażliwość, co daje oczywiście humorystyczny efekt. Bracia – którzy na co dzień trudnią się zabójstwami na zlecenie – okazują się ułomni, komiczni, niekiedy nawet delikatni i coraz bardziej świadomi bezsensowności świata, w który ich „wrzucono”. Dotyczy to zwłaszcza młodszego z nich, imieniem Eli, któremu deWitt nie bez powodu powierzył rolę narratora. Żaden z braci nie przypomina jednak enigmatycznych, na poły diabelskich postaci z prozy McCarthy'ego – sędziego Holdena (*Krwawy południk*) czy Antona Chigurha (*To nie jest kraj dla starych ludzi*). Ironia i dystans są tu więc kluczowe, lecz w tej powieści (gdzie trup ściele się gęsto) pojawia się także przeciwwaga dla ironicznego chłodu. Zagadkowy człowiek, którego bracia mają wytropić, nieprzypadkowo nosi nazwisko Warm (ang. „ciepły”), a za jego sprawą do fabuły wkrada się nawet coś na kształt tragizmu.

Zapewne czytelnik *Braci Sisters* pamięta jednak, że „mikstura” jest tyleż pomocna w poszukiwaniu złota, co szkodliwa dla zdrowia; nie należało zatem spodziewać się, że sam autor ponownie skorzysta z tej samej mieszanki fabularnej. Mimo to na pierwszy rzut oka *Podmajordomus Minor* przypomina kolejną grę zastanymi konwencjami. Tym razem jest ich więcej: w utworze z łatwością wyśledzimy elementy baśni, powieści o dojrzewaniu czy romansu gotyckiego, które deWitt potraktował dość swobodnie, podlewając całość charakterystycznym sosem szyderczego humoru.

Akcja rozgrywa się najpewniej w wieku XIX (kolej żelazna spina brzegi kontynentu, na którym wciąż panują struktury feudalne), w bliżej nieokreślonej przestrzeni, noszącej znamiona pejzażu europejskiego. Mamy tu jednak raczej do czynienia z geografiami fantastyczną, gdzie rozpoznawalne nazwy (na przykład Ravensburg) nie wydają się konotować znajomych miejsc, inne zaś bywają znaczące (Bury kojarzy się z angielskim słowem „pochować”, oddając tym samym poczucie beznadziei). Podobny europejski melanz odnajdziemy, przyglądając się imionom i nazwiskom bohaterów: obok anglosasko brzmiących (Minor, Broom czy Olderglough) znalazły się między innymi takie, które kojarzą się raczej z niemieczyną, jak Klara czy Adolfus (!). Ale nazw własnych nie należy w tej książce traktować zbyt poważnie; na przykład dostojnie brzmiące nazwisko von Aux wskazuje na zbitkę niemieckiego i francuskiego przyimka, które same w sobie są pozbawione znaczenia. Wygląda więc na to, że w tej przynajmniej warstwie utworu mamy do czynienia z literackim żartem, mistyfikacją, za którą nierzadko (jak w przypadku nazwiska barona) kryje się drwina ze skostniałego porządku społecznego.

Obok zabaw geografiami, żonglerki narracyjnymi kliszami oraz rozbudowanych anegdot i wątków pobocznych, typowych dla powieści postmodernistycznej, w książce dostrzec można również inną tendencję, a mianowicie faktyczną próbę wydostania się z zakłętego kręgu ironii. Trudno się bowiem oprzeć wrażeniu, że deWitt stara się – niejako na przekór kliszom, które sam nawarstwia – opowiedzieć historię miłosną! Werteryzm i bajronizm mewają się w *Podmajordomusie* całkiem nieźle,

a to za sprawą melancholijnego młodzieńca o delikatnym (ba! kobiecym) imieniu Lucy i na poły szalonego barona von Aux. Tematem przewodnim powieści są niedole miłowania – czy raczej choroba miłosna, *amor hereos*, opisywana niegdyś przez lekarzy. Temat ten deWitt traktuje oczywiście z pewną rezerwą: jedną z figur miłości jest tu przecież Bardzo Wielka Dziura, czyli pieczara, do której wpadają nieszczęśliwi kochankowie (bez wyjątku mężczyźni) i w której tkwią później, rozsiadłszy się kręgiem wokół damskiego kozaczka niczym wokół Graala. W tym obrazie mężczyzn pochylonych nad damskim trzewikiem sparodiowane treści mityczne czy legendarne splatają się z innym aspektem miłosnego doświadczenia, którego apogeum stanowi istny spektakl rodem z de Sade'a, jaki Lucy śledzi ukradkiem zza kotary w sali balowej. *Cierpienia młodego Wertera* płynnie przechodzą zatem w *Zbrodnie miłości*, a miłosne poddaństwo w upodlenie fizyczne, wprawiając Lucy'ego w zadumę „nad mroczną kondycją człowieczeństwa, tudzież nad rozmaitym pojmowaniem wolności”. Miłość w *Podmajordomusie* jest czasem radosna i lekka, lecz bywa także chorobliwa, frenetyczna i bezlitosna, nosząc wszelkie cechy opętania. Nie bez przyczyny w jednej ze scen pozornie niezwiązanych z głównym nurtem akcji Lucy z zapartym tchem śledzi poczynania pająka, który omotał osę, lecz który tuż przed zadaniem śmiertelnego ciosu sam ginie od jadu swej zdesperowanej ofiary.

Podobnie jak w *Braciach Sisters* bohaterom swym przydał deWitt współczesnej wrażliwości. W ocierające się często o absurd dialogi wkłada się co rusz przecucie, że otaczającego świata nie scala żaden sens, a moralność jest zaledwie konstruktem społecznym, któremu hołdują głupcy. DeWitt ma wyraźną słabość do postaci szelmowskich, do wszelkiej maści oszustów, którzy żerują na ludzkiej naiwności: debiutanckie *Ablutions* to w zasadzie galeria takich podejrzanych typów, luźno powiązana epizodyczną narracją oraz postacią narratora-obszwaratora; w „formule” *Braci Sisters* obok westernu ważną rolę odgrywa powieść łotrzykowska; tytuł jednego z opowiadań deWitta – *The Bastard*, czyli „łajdak”, „drań” – mówi sam za siebie. W *Podmajordomusie* również spotkamy postaci tego pokroju, a ich głównym rzecznikiem jest oczywiście

drobny złodziejasek Memel. To jemu właśnie deWitt zdaje się w tej powieści powierzać rolę przewodnika po świecie, a jego przemówienie do wiejskich dzieci wieńczy dobitne słowa: „Cierpienie wcale nie uszlachetnia, a bezmyślna harówka nie jest warta zachodu. Działki moje, jeśli zobaczycie coś, co wam się marzy, to sięgajcie po to śmiało”.

Z owym amoralnym, acz dowcipnym tonem współbrzmia zabawy deWitta z tradycyjną symboliką chrześcijańską. Na pierwszy plan wybija się opozycja światła i ciemności, zabarwiająca niektóre imiona i nazwiska. Przede wszystkim dotyczy to Lucy’ego i Klary – w ich imionach słychać łacińskie słowa *lux* („światło”) i *clara* („jasna, jaśniejąca”) – ale i sędziwego pana Olderglough, którego nazwisko daje się odczytać jako *older glow*, czyli „starszy blask”. Mimo to nie powinniśmy dać się zbyt łatwo zwieść owej światłości; dla otrzeźwienia warto przypomnieć sobie niektóre tytuły rozdziałów (*Lucy Łgarz* czy *Klara Kusicielka*). „Światelkiem w ciemnicy” jest też rzekomo baronowa von Aux, istna *femme fatale*... Najwyraźniejszą kpina z chrześcijańskich symboli jest jednak Bardzo Wielka Dziura (panuje tam oczywiście zupełny mrok, w którym „biesy harczą”): dość powiedzieć, że wśród zaczepnych tropów, jakimi deWitt obudowuje ten wątek, znalazły się ryba i jabłoń.

Tak jak i w pozostałych utworach pisarza bohaterem *Podmajordomusa* jest również sam język. W nowej powieści tendencja ta jest najwyraźniejsza, ponieważ narrator celowo posługuje się językiem napuszonym, świadomie literackim i przestylizowanym, który udziela się postaciom niemal bez względu na ich społeczne pochodzenie. Roi się tu od gier słownych i wiców, ale i od niedomówień, nieporozumień i przesłyszeń; zdałoby się, że język jest tu sam sobie panem i stanowi główny żywioł tekstu. Mimo odżegnywania się od ironii deWitt jest bowiem pisarzem bardzo samoświadomym i w *Podmajordomusie* również dojrzymy mniej lub bardziej subtelne metafikcyjne chwytły. Interesująca jest w tym względzie wspomniana już lista pisarzy i artystów, wobec których deWitt czuje się dłużny: nie powinna dziwić nas obecność autorów takich jak Italo Calvino, Robert Coover, Harry Mathews czy Steven Millhauser. A jednak, jak już zauważyliśmy, w pisarstwie deWitta ironia i dystans często maskują

tematy poważniejsze. Być może dlatego na liście znaleźli się także Thomas Bernhard, Knut Hamsun, Werner Herzog czy Pär Lagerkvist.

Choć *Podmajordomus Minor* to przede wszystkim radość fabuły i przyjemność podążania ścieżkami narracji, to jednak książkę tę warto czytać powoli. Jeśli mamy tu do czynienia z prozą lekką, to jest to raczej lekkość wychwalana niegdyś przez Calvino jako ideał, do którego powinna dążyć literatura postmodernistyczna. Sam tytuł – nieistniejące słowo *undermajordomo* zderzone z nazwiskiem głównego bohatera – podkreśla niejednorodność tej dziwnej prozy. Mamy tu grę między słowami *major* i *minor*, a więc między sprawami ważnymi i błahymi, między tonacją radosną i grobową, ale i aliterację oraz czysto językowe zabawy. Wszystko to znajdziemy w trzeciej powieści deWitta – z którym nadal nie bardzo wiadomo, co począć.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl
dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl
edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa
tel./fax +48 22 621 10 48
agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl
zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl
magda.jobko@czarne.com.pl

Dział marketingu: honorata@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, urszula@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków, tel. +48 12 432 08 52
info@d2d.pl

Wołowiec 2016
Wydanie I